

10
10
SLOBODAN NOVAK ★80★

Pogodzenie ŚWIATÓW



Novak Slobodan

Pogodzenie

Tytuł oryginału Pristajanje

Przygodna semantyka

Godzić się, pogodzenie

1.

Bierne przyjmowanie czegoś, bez wyrażania własnego stanowiska i bez oporu; na przykład: Jeżeli wszyscy się zgodzili, to chyba jest w porządku.

2.

Usłużne godzenie się z kimś lub czymś, przyłączanie się do kogoś lub czegoś złego; na przykład: Duce ha sempre ragione - Duce (wódz) ma zawsze rację (w naszym języku trudno znaleźć na to przykład).

3.

Pozostawanie z kimś lub czymś w harmonii; na przykład: Dama w kostiumie godzącym się z barwą sierści doga.

4.

Przystawanie na coś. Skądinąd można przystawać gdzieś: Statek desantowy czy sportowy niespodziewanie zbliża się do uśpionego wybrzeża (w Słowniku języka chorwackiego z 2000 roku znajduje się w tym miejscu stosowny przykład: „Statek przystaje w porcie Rab”).

Muszę jednak powiedzieć karcer, właśnie tak: karcer. Bo jeżeli powiem klatka, przed oczyma pojawi mi się przezroczysty niedzielny snop słonecznego ranka przez różowe zasłony, a w nim trzepotanie różnobarwnych piór; woda połyskuje w naczynku, ziarenka pękają z trzaskiem, wokół pryskają łuseczki... Dzióbki stukają o drewniane patyczki, podzwania harfa o złotych prętach i nic, tylko idylliczne

obrazki, a ja wcale, do diaska, nie myślałem o czymś takim. Karcer przeciwnie, to niewola! Pomieszczenie dla więźniów i niestety także dla zniewolonej duszy. Właśnie o tym mówię, o karcerze. Wiem, panie profesorze, to przykre słowo.

A mógłbym przywołać jeszcze inne, z tureckiego - kavez...

Ale czy nie wstrętniejsze jest to, co ciągle mi się zwiduje w moim rodzonym ogrodzie? Nawet w rapsodach nie ma bardziej ponurego turcyzmu. Nie jest wstrętne to, co widzę przed sobą czy nad sobą. Ale to, co mi się, jak powiedziałem, zwiduje... No nie, ogród sam w sobie przypomina mezopotamski raj. Ten na początku świata, raj na ziemi, biblijny. Myślę jednak o tym, co, jak powiedziałem, zwiduje mi się, gdy siedzę pod moją wielką, głośno szumiącą hiszpańską jodłą niczym pod drzewem wiadomości dobrego i złego.

Stary leśnik polecił mi ją kiedyś jako „hiszpańską jodłę karłowatą”. I owszem, szukałem jakiegoś karła, bez względu na jego rodowód, jako że u mnie wszystko jest skromne i ciasne, karłowate. Ale jest, a jakże. Przez trzydzieści lat wyrosła jak tysiącletni baobab albo jak ta olbrzymia sekwoja na Okrugljaku, na której musiano założyć piorunochron.

Karłowata jodła zasłania mi teraz połowę ogrodu. I przyciąga pioruny.

Druga fachowa osoba, nasz nowy leśnik, inżynier, starego leśnika syn, mówi o niej „grecka jodła” albo po prostu „okaz” i nie wspomina już o wysokości: ani nanus, pumilus, pygmaeus, ani giganleus, spectabilis, permagnus*. Przezornie milczy, bo dosyć się

już po przyjacielsku naśmiałem z jego sympatycznego ojca. No tak, stary skończył średnią szkołę rolniczą w Krizevcach, a młody, nieprawdaż, zdobył indeks na sławnym uniwerku, i chyba stąd ta olbrzymia karłowata różnica. A może, jak zwykle, jedno i drugie jest prawdą.

W porównaniu, powiedzmy, z grzybem atomowym.

Niektórzy przyjaciele, udając ogrodników, wznoszą obowiązkowo zatroskane oczy ku niebu zasłoniętemu przez jodłę i z dyskretnym obrzydzeniem pytają, po co tu w ogóle to niebotyczne dziwadło, samo w sobie niewątpliwie łaadne, ale zazaciemnia, odbiera... i w końcu nie jest to nic tutejszego, lepiej by sobie rosło gdzieś tam w Fużinach*. A tu powinien rosnać Quercus ilex, dąb korkowy, inaczej - śródziemnomorski. Wszyscy są bardziej papiescy niż sam papież. Bo jak to nic tutejszego?! A Hiszpania? A Grecja?...

Brewiarz śródziemnomorski we wszystkich językach! I co tu gadać o Fużinach?!

Ale tak już jest na tym świecie. A może i na jakimś innym, gdzie rosna jodły.

O czym ja to? Aha. Drzewo wyraźnie już wyłysiało, na byle wiatorku traci ciemne igielki. Nagie u nasady gałęzie zielenią się bujnie dopiero na końcach, a wewnątrz, na tle szarej, suchej siatki tu i ówdzie złoci się orzech, pozostały po noworocznych wygłupach moich synów. Wszystko to otacza jakby zielona krynolina. Zaglądam pod tę spódnicę, widzę mocny, nabrzmiały maszt jej pnia prawie... do samego wierzchołka, a wokół niego, w pustce korony, cienisty ptasi

kosmos.

Ptaki żyją tu jak w kavezie... no dobrze, jak w klatce. Piją wodę z mojej szpiny, czyli z mojego kranu... powiedzmy, z betonowego korytka pod kranem. Horribile dictu*: z mojej tureckiej studni! Glisty, muszki i nasionka serwuje się stale w tym ogrodzie. Proszę bardzo! Mają u mnie wszystko.

Gdyby nie ptasia swawola, nie musiałyby przelatywać nad murem do parku. Kiedy wracają, nie dbam, czy to te same, czy inne. Mam swoje małe wielkie terrarium oraz bestiarium pod gołym niebem i nie muszę się o nie szczególnie troszczyć. Nie kupowałem ptaków, narzędzi, robaczków.

Wszystko to jest.

Ptaków nie wołam, nie wabię, przylatują i odlatują, nie martwię się nawet, kiedy ich wcale nie ma. Wiją gniazda na moich drzewach, z moich prywatnych roślin, trawek i słomek, nitek i wełny. Hodują pisklęta na następny sezon i dla kotów. Śpiewają sobie, jedne dla drugich albo dla Stwórcy, nie dla mnie, bo ja tu nie jestem uznanym gospodarzem ani żywicielem. Tylko, powiedzmy, obserwatorem. Voyeurem. Skrytym wielbicielem. A właściwie - i sprawiedliwie - jednak właścicielem, a jakże! Ale ptaki to nie problem.

Wstrętne jest to, że nie mogę czy nie potrafię dojrzeć wokół siebie wolnej natury. Raz po raz zwiduje mi się wielki kavez.

Dla innych ogród to mały obraz wielkiej natury. Dla mnie ta mała natura... to wielki kavez.

Nawet dzikuski jaszczurki pełzną latem po gałęziach w górę.

Głupi człowiek by nie pomyślał, że i one wspinają się na sam wierzchołek jodły. Ale na dole też jest ich bez liku. Jedna bezczelniej sza od drugiej. Przemykają mi po trampkach. Macham ręką, wierzgam nogą, a to nudne stworzenie ogląda się zdumione, jakby mnie dopiero zobaczyło, i błyskawicznie znika między kamieniami. Wystraszone, niby to w panice. Ale gdzie tam. Zaraz potem wyziera jego spłaszczona zmijowatosmocza główka i patrzy na mnie bez wyrazu, jak poprzednio. Rozdziawia usta szerokie aż do uszu, których nie ma, jak te szkielety Vincenta w Beramie*, albo nawet przygląda się z wyrzutem, czy znów się nie zachowam niestosownie. Potem jak pies drapie się po karku, tyle że przednią nogą.

Darmo wściekam się jak niegdyś nieszczęsny pan Kozłowe*: „To mój kościół, ty przedpotopowa paskudo! Więcej, to moja zakrystia!” Nie pomaga. Teraz ona wierzga nogą - może chce mnie zapędzić pod kamień? Macha tą swoją pazurzastą łapką jakby w odpowiedzi na moje machnięcie... jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. O, bezwstydnica! Na koniec z pogardą odwraca ode mnie oczy jak od pozornego niebezpieczeństwa, które zresztą minęło. Może chce powiedzieć, że nie jestem tym, czego się obawiała? Jej głowa kokieteryjnie ciągnie za sobą serpentynę tułowia oraz wić ogona niby długi tren damskiej sukni, i tak tańczy kadryla po moim ogrodzie. Powoli odchodzi. Po drodze opala się i ślizga. Skubie moje trawki, ale jej nie smakują. Rajgras angielski!

Żyje w moim ogrodzie, w którym beztrosko zamieszkała. Zimnokrwisty samokaleczący się płaz. *Lacerta sicula*.

Właściwie nie beztrosko i nie obojętnie, ale od niechcenia.

Zamieszkała tu od niechcenia w moim świecie i co ja mogę zrobić (nie tylko w stosunku do niej)? Poukładałem kamienie, zasiałem, wyhodowałem, poświęciłem, ogrodziłem, uformowałem... A tyłu innych, nie tylko te jaszczurki, radzi sobie lepiej niż ja i żyje jak na swoim, bo użytkownik jest, jak wiadomo, większym posiadaczem niż właściciel. Nie musimy wkładać rzeczy do kieszeni, żeby były nasze, jak pięknie wyraziła się pani Frieda Lawrence*, a także liczne inne panie... Jaszczurki żyją w swoim świecie, który może sobie zawłaszczyłem, w porządku, niech im będzie, należą do ogrodu, a nie do mnie, ale wobec tego powinniśmy chociaż wypracować jakąś koegzystencję. Bo tylko ja łożę na to wszystko i chodzę koło tego. Aczkolwiek wątpię, by dla nich to się liczyło. Im jest obojętne, czy są tu kamienie, czy nie, gdzie rośnie jaki krzak, czy prawidłowo wykonano ukośne nacięcie, dwa milimetry nad pąkiem... A kulkę drogiego nitrofoskalu wypluwają nawet z obrzydzeniem. I co ja mogę, powtarzam, przeciwko tym, którzy szarogęszą się tu jak na swoim? Machnę ręką, wierzgnę nogą, i tyle... Co może zrobić człowiek przeciwko tym, którzy zagnieździli się w jego życiu i dziele?! Jeszcze im tym dziełem i życiem niechcący służy... Jeżeli zechce, może nimi gardzić, może nienawidzić, ale co mu z tego?

Dawna rajska wieczność u boku Madony* jednak się, chwalić Boga, skończyła. Jak wszystko, co wieczne. Madonę wyekspediowaliśmy, już dawno temu. Zakopaliśmy ją jak wyliniały kozuch, Panie Boże odpuść! Człowiek pozbywa się z czasem

największych kłopotów jak zbytecznego ciężaru.

W końcu obojętnie grzebie nawet wzgardzone ideały, a co dopiero pomyłki, które pielęgnował z samozaparciem, choć od dawna pokryte były odleżynami albo martwe w jego ramionach. Z czasem zrozumiałem, że Madona też nie stanowiła rozwiązania. Odchodząc, powiedziała do nas: „Nie musicie orać ani kopać. Tylko alalaa! Wszystko na pronto*. Tam i sam po moim. Jak Morlaki*!”

A jakże, u diabła, tam i sam! Na pronto przyszli prawdziwi Morlacy, a mnie przepędzili, jak zresztą przewidywałem.

Musiałem stworzyć ten mój ogród z niczego. Może nie orać, ale kopać... i wszystko, co za tym idzie. Dla kogo? Dla tego paskudztwa, które tylko przemyka po cudzej krwawicy.

Gdybym chciał, mógłbym je ładnie pięknie, fachowo, trzaskprask... wytepić. Generał ma rację. Mógłbym raz posłuchać swojego podręcznego generała, który jest tylko wyeksploatowanym pułkownikiem i który uważa, że wszystkie trzeba ładnie pięknie zlikwidować, a zależy to wyłącznie ode mnie. Trzeba to zrobić taktycznie, według gatunków i rodzin. Dyskretnie, w duchu niby przyzwoitym i pokojowym, takim, jaki on sam symuluje.

„Bardzo jest miły” - mawiają starsze sąsiadki. Dla mnie to, nie powiem, atrakcja domowa, popołudniowa rozrywka. Strasznie przesadza. Ma zwyczaj pukać już z ulicy, do drzwi od ogrodu. Jakby transatlantyk pozdrawiał muzeum morskie w Orebiciu już z cieśniny Otranto. Mogłoby to być wykalkulowane, ale nie jest. Po prostu udaje aż taką grzeczność. Że się tak wyrażę, protokolaną... No nie, nie

zamierzam go usłuchać co do tego wytrucia. Bez nerwów i wyrzutów oczywiście, powiem mu, jakbyśmy występowali w komedii o tematyce wojennej... Zdejmując w afekcie swój kryształowy monokl, zapytam:

„Czyżby życie tych istot nic dla pana nie znaczyło, mein Oberst?” - to go wyprowadzi z równowagi. Może. Nie jestem pewien.

Dlatego gdy puka do drzwi od ogrodu, ja się nie odzywam, nie ma potrzeby. Jeżeli jestem w ogrodzie, ewentualnie wstaję z murku - i tak wejdzie, gdy stwierdzi, że był wystarczająco grzeczny. Proszę, proszę, niech wejdą, niech zatrąbią, jakby mnie chcieli uszczęśliwić: „Ooo... hoho! jestem, jestem!”, fałszywie ustawionym basem. Za gęstymi krzewami pittosporum w głębi ogrodu nie muszę tego słyszeć. Niech sobie chodzi... niech błądzi i szuka. Niech myśli, że poszedłem do diabła, a on przymaszerował na darmo. Co do mnie, to nim jeszcze zapuka, rozpoznaję jego postarzałe wojskowe kroki na płytach chodnika. Tymczasem on, zachwycony tym, że przyszedł, że się tu pojawił, nawet nie słyszy mojego umyślnego szczękania nożycami w głębi ogrodu, jakbym mu szedł na spotkanie. Zatoczywszy łuk na tarasie, kieruje się strategicznie najpierw do drzwi i znowu puka, tym razem w szybę, czterokrotnie jak u Beethovena: pampampampam. Skądinąd twierdzi, że „skomponował to osobiście” sam Churchill. Kiedy wyjdę z przeciwka, zza zielonej kulisy, pewnie zobaczy mnie w oszklonych drzwiach, rozpromieniony przyskoczy po niebezpiecznej ścieżce ze sterczących kamieni, na których można skręcić nogę w kostce, i gromkim głosem zaśpiewa: „Jestem, jestem...”

ohoho, jestem...”, choć powinienem to ja zaśpiewać jemu, gdybym był tak jak on zachwycony jego przyjściem i gdybym mógł wycisnąć z gardła taki basso buffo.

Lecz ja przeciwnie, nie okazuję ani krzty zachwytu. Zapinam nożyce i siadając z powrotem na murku, cedzę przez zęby jak zawzięty mizantrop:

„Widzę, widzę, mój generalny, cieszy się pan, że pana widzę!”

On się tym nie przejmuje, nadal zachwycony, choć ja tak zaraz „po swojemu”. I z uśmiechem mówi na przekór: „Znowu pan haruje, hmm? Znowu się pan przemęcza?”

Głupi, a co bym robił, gdybym nic nie robił! Bez przesady. Ale on mnie chroni od zgubnych wysiłków fizycznych.

A ja zaraz go tu narażę na wysiłek psychiczny, przemówię językiem nie całkiem zrozumiałym. On jest niezupełnie tutejszy, bo często bywał „odkomenderowany”, toteż musi się bardzo wysilać, po próżnicy.

„MaperDio, zaraz pan zobaczy, tak mnie złości ta mała... ta mała maledetta lucertola, nie uwierzy pan, mi ja tanta rabbia, da non crederi”*

Najpierw będzie grzecznie udawał, że wszystko pojmuje.

„Ach, rozumiem doskonale, drogi panie, a jakże!... Nerwy. Nerwy! Nikt nie wie lepiej ode mnie, jak to potrafi dopiec...”

Po tym, jak marszczy dolne powieki, widzę, że nic nie rozumie, drogi panie, ani be, ani me. Dawno temu tak męczyła mnie moja przeciwniczka ideologiczna, ale ja przynajmniej rozumiałem Madonę.

I znów odzywam się do Generała jej dawnym językiem: „Ta diabelna mała... gdyby chociaż ona jedna! Ale jest ich pełno, porco boia, da impazzir*. Mnożą się też inne bestioline* i kreaturki na wszystkie strony. Urządziłem ten ogródek jak trzeba, każdy kamyczek, wszystko, alberi, arbusti... sia quelli afoglia caduca, o persistente... eeh! giardinaggio, figlio mio*, cała filozofia. Pan to wie lepiej ode mnie... tyle że nie bierze pan tego filozoficznie, ale tak bardziej... botanicznie”. I niby to przepraszam: „O, pardon! Pardon! Zapomniałem, że w wojsku mówi się innym językiem... Ale złości mnie, insomma*, ach, łązi tu jak po swoim, vigliacca*.

Nie jedna jaszczurka, migliań*

Patrzę spod oka. Kiedy usłyszy, że chodzi tylko o jaszczurkę, dyskretnie będzie usiłował się wycofać, naprędce przeinaczyć, że on nie w tym sensie... Zająknie się, więc natrę na niego niby to zdumiony:

„To co pan, osztija*, myślał? Nie w tym sensie, tylko w jakim?”

Ale stary rozpustnik będzie się wykręcał: „To też, proszę pana, rozumiem, że komuś przeszkadza, powiedzmy, takie mnóstwo żywych... mianowicie... takie mnóstwo żywych istot wszędzie, gdzie tylko się odwróci...

Proszę bardzo. Sprawa, za przeproszeniem, przedstawia się tak... Jak to nie rozumiem! Rozumiem doskonale. One w gruncie rzeczy psują... konfigurację, żeby się wyrazić precyzyjnie. A dla kogo pan się tak napracował na całym terenie, dla nich? Tak się namęczył?! - Podniesie do twarzy złączone palce prawej ręki, jak robią Włosi, ale

nie w kształcie zamkniętego kwiatu tulipana, lecz nieco już przekwitłego, nie w kształcie kielicha kwiatu, lecz raczej kielicha wina, i wpatrzony w czubki swoich palców, doda: - Jeżeli spojrzeć na to głębiej...”

Tu przerwę mu zuchwale:

„O nie, nie, go fatto far i altri*, to robili za mnie inni.

Niech lavura ten, kto musi i kto ma siłę, mówię sobie, perche ja już nie mam forcy ani scoreggiat jak się patrzy, ani nawet podnieść tych nożyc, mój colonello’. A co dopiero innych narzędzi. Nawet za młodu, prawdę mówiąc, nie musiałem tego robić, do pomocy zawsze tu była służba i fachowi giardinień... cazzo! chi vuol creder che lo creda”*

Generał trochę będzie mrugał, trochę poruszał wargami, z trudem usiłując to przetłumaczyć.

„Ej, panie kochany, tutaj... tyle że pan nie orał. Sam, i w tym wieku! W tym naszym wieku. Z takiego, za przeproszeniem, śmietniska własnymi rękami ukształtował pan...”

„Ukształtowałem, ukształtowałem, mój Generale, dobrze powiedziane. Ukształtowałem, jeszcze jak! Na wspomnienie tego łzy mi się cisną i płaczę nad sobą. A ona, porca*, alalaaa! W kółko po moim. Swojego nie potrzebuje. Nie musi orać ani laborać. Ora et labora. Wszystko ma na pronto. Tam i sam sobie biega, pod skałę, na ścieżkę, gdzie tylko zechce i dokąd zechce. Zatrzymuje się przede mną i nie da pan wiary, tak zadziera kieckę... ach nie, osztija, kieckę, co ja mówię, zadziera tę krokodylą głowę i patrzy na mnie...”

Ale on zaprotestuje, przerwie mi: „A jednak to należy do pana. Niech pan pozwoli. Sprawa jest... nie, nie, przeciwnie. Nie godzę się. Tak prędko się nie poddamy, za nic! No nie. To wszystko należy do pana, wszystko jest w końcu tylko pańskie!”

„Prywatna posiadłość, co? W końcu!”

„Hmm... no dobrze, my tak... sobie rozmawiamy... tak w rozmowie...”

„Najlepiej, żeby to nie było moje, ma vara ti* [A czyje to jest, per la Madonna?]* Tak tylko, w rozmowie, co?... No piknie. A te dwie setki hektarów? Palazzo. Giardini* Zagajniki. Pastwiska. Cała okolica... altro che Pff!”

Nasz rozmowny popatrzy, ma się rozumieć, niepewnie.

„Dwie setki? Dwie?!... No tak! Metrów kwadratowych.

Tak, metrów. I domek, owszem. Domek, jasne. Pański... ciasny, ale własny. Jaki tam ciasny. Skądże!... I powiedziałbym, że wszystkie te źwirzątka... te bestyjki... nie są tu, jak to się mówi, na swoim. Nie i koniec! Chociaż mówi się też, że «królestwo zwierząt»...”

„A to, co się mówi... - wtrączę podle i złośliwie - to, co się mówi, znaczy chyba: wolność dla tych, którzy królują.”

„Tak - zgodzi się nieostrożnie. - Ale nie, nie, nie myślałem o króleeestwie.”

Zawsze się łapie na moją podstępłą sondę. Powiem zatem z całą powagą:

„A co pan myślał? Że tak jest tylko w republice?”

„Jak to? Jak to?”

„Ano tak, że nie jesteś swój na swoim.”

Zacznie mi tłumaczyć, że nie miał na myśli ustroju społecznego... nie, nie. Tak tylko... Królestwo, jak to w bajce.

„Nie odważy się pan powiedzieć, że królestwo to wolność dla ujarzmionych. Niechże pan da spokój!”

„Ale co pan? Ja przecie...”

„Albo jeszcze gorzej, że ja osobiście jestem zwierzęciem.

Niech Bóg ma pana w opiece!”

Na tę moją sofistykę Generał mało się nie popłacze: „Ależ pan jest ich królem! To chcę powiedzieć, kolego.

Jeżeli spojrzeć głębiej.”

„Królem? Władcą zwierząt?! Ossantocielo!* Głębiej, a jakże! Machevadicensi?* - spytam zdumiony, nie zważając na jego szlachetne wysiłki. On będzie wychodził ze skóry, aby wyjaśnić, że nie i nie, na Boga, nie... - Jak to nie, mój drogi kolego, jak to? Moje królestwo nazywa się tu zwierzęciem.

Więc czyje ono jest? Moje czy ich?! Czyje ma być królestwo?”

Chciałbym wiedzieć, co on na to wszystko... Wiem, powie, iż nie dam mu dokończyć, wytłumaczyć, że one faktycznie należą do mnie. Moje są, na moim.

„Jaszczurka ewentualnie widzi w panu Boga swojego, wiecznego pana”, westchnie.

„E tam, widzi! Przechyliła głowę w lewo, w prawo, niezbyt uprzejmie. Jakbym był zdechłą muchą. Potem grata się brzuchem o saliz*, lekko podnosi tylne nóżki i rozstawia palce, jakby miała

polecieć. Miło jej tak i cała drży, a jak się ruszy z miejsca, zostawia za sobą tu, na betonie, małego czarnego robaczka. Robaczka, a jakże. Z białą główką, jak zapalka. Znaczy, że się, insomma, załatwiła, tu, na moich oczach, la me capisce*. Masz twojego wiecznego pana, mój złoty. Każdy inny poczęstowałby to towarzystwo trutką na ślimaki, i tyle!”

On na tę trutkę tylko czeka, morderca i rozpustnik.

„No tak, świetnie, naturalnie, oczywiście!”

I spyta, czy mam ten środek tu w szopie, słowo daję.

„Niech pan posłucha, kolego, przecież to by była zbrodnia wojenna. Tak nie można. Któregoś roku wytoczyłem wojnę ślimakom ogrodowym, tym, co to po deszczu... tym, co je snoby łykają jak kluseczki, a płacą jak za trufle... Wkładałem trutkę w fugi, między kamienie w murze, ale żyją tam takie jaszczurki. Niechcący wszystkie wytępiłem. Przez całe lato ogród miałem pusty, jakbyśmy byli w Mongolii.”

„Na pustyni Gobi. Hehehe!”

„Gobi, Gobi, ma vara ti. Diabła tam!”

„Pustynia to też nasza specjalność. Geografia!”

„Chciał pan powiedzieć «pustoszenie»? Rozumiem. Pan by je fachowo wszystkie wytępił?”

„Przecież o to chodzi. Taki mieliśmy zamiar” - krzyczy niby po to, żebym usłyszał. - Tego chcieliśmy: ślimaki i inne żwirzątka za jednym zamachem.”

Temu strategowi i taktykowi batrachomyomachii oczy zachodzą

mgłą zwłaszcza na wspomnienie pomoru, choćby w wojnie ze ślimakami. Czasem w ekstazie zapada się jakby w próżnię, w pustą przestrzeń, naraz jakby nieobecny, głuchy na wszystko, bezpowrotnie zatracony. Podobno właśnie dlatego wyrzucono go z kadry. On sam twierdzi, że od czasu do czasu serce mu staje. Stuka, stuka i staje. Pokpiwam sobie:

„Kuriozalne! A wie pan, że moje tak samo?... Stuka, stuka...”

„Ale moje staje!”

„Moje też. Stuknie i staje, stuknie i staje.”

„I zatrzymuje się, jakby pan umarł? Chyba nie. Bo moje się zatrzymuje.”

„Ja po trochu umieram co sekundę i częściej... a jak wchodzę po schodach, to jeszcze częściej.”

Ale jego serce, można powiedzieć, to nie żarty. Jego serce poważnie staje. Wtedy on traci przytomność. Przytomność i świadomość - ale prywatną, nie partyjną, broń Boże. Stoi, patrzy, oddycha i - nie ma go. Wegetuje. Zamiast z generalskimi gwiazdkami, które tylko czekały na pogodę rozkazu, wrócił „niemianowany” na tę swoją cywilną wyspę, z rentą inwalidzką i żoną, której nikomu nie pokazuje, wieczny trójgwiazdkowy pułkownik z sercem, które staje, z zajęczym sercem gotowym do wyniszczenia i tępienia. Do pustoszenia świata, przy dobrej taktyce i strategii. Co znaczy dobre przygotowanie zawodowe, kiedy w sercu jest pustynia? „Jeżeli spojrzeć głębiej...”

Gdybym teraz zapytał go z nienacką, ze skrywaną ciekawością, o czym, jeżeli nie o jaszczurce, myślał poprzednio, wtedy, gdy myślał,

że rozumie, on tylko spojrzy mgliście, spod nabrzmiątych powiek, gdzieś ku dołowi z kompostowym tortem i usiądzie obok mnie, na zimnym murku.

Ochryple zaskrzypi gardłem i nie mogąc odnaleźć owego fałszywego dowódczego basu, zwyczajnym, stłumionym głosem powie, że jednak nie, naprawdę nie, przynajmniej nie w okresie przejściowym, gdy one niszczą całą armię chrząszczy i szkodników... Sądzi, że trzeba im pozwolić wszystko to jakoś unieszkodliwić... teraz... zanim na dobre przyjdzie jesień... a potem, nieprawdaż, je także można od ręki... Ale co da ta wojna, skoro i tak znowu przyjdą z zewnątrz, choćby je tu wszystkie wytępić.

„Znowu przyjdą”, powiem małodusznie. „Pustkowie by tu było tylko przez część lata.”

„Mówił pan, że przez całe lato.”

„Dla mnie nawet i tydzień bez nich to za długo. Przyjdą tu, przyjdą i rozmnożą się.”

„I trzeba je będzie znowu potraktować trutką!”

„Ale, człowieku, dlaczego?”, spytam przerażony, tym razem naprawdę. „Są pożyteczne dla roślin. Nie wprost, ale pożyteczne. Pan jako botanik...”

On ma jednak swoje powody. Moje powody.

„Jak to dlaczego? Bo nie dają panu spokoju. O to chodzi.”

Wszystko to moja wina. Sam się skarżyłem.

„Ja przecież płakałem tylko nad moją posiadłością...”

Qualche meditazion su questo argomento... własność prywatna,

in astratto*A te povere bestioline* nie wprawiały mnie w jakieś wielkie fastidio* i wcale mi nie obrzydły, nie, affatto*. Nie, nie, anzi*... Ale nie powiedział mi pan, o czym pan myślał, kiedy myślał?”

Teraz trochę się zmiesza... Szkoda, że to serce staje. Ja wiem, o co chodzi, chciałem go podpuścić. Złączy palce, ale nie znajdzie głębszej myśli.

„No o czym?”

„O niczym specjalnym - lekko się zapłaczę. - Może o jakiejś... małej...”

„Małej?”

„Bo sam pan... mówił pan: mała... mała... Więc myślałem, że gdzieś tu... od sąsiadów... czy gdzieś z bliska...”

„Przecież my dwaj mamy razem, mój wszechbracie, półtora stulecia!”

„Nie szkodzi” - powie i jeszcze się roześmieje.

A gdyby był dowcipniejszy, mógłby powiedzieć: „Właśnie myślałem o pana latach, a moralnie odpowiadam tylko za swoje”. Gdyby jego dowcip przewyższał zero. Wtedy on i ja w tym moim królestwie bylibyśmy kwita. On jednak w najlepszym wypadku mógłby wykombinować coś takiego: „Ta mała naprawdę działała panu na nerwy... ale to jest indykatywne w... tym wieku, mhm. I kojące. Wybacalne”. Przypuszczam, że coś takiego zdołałby z siebie wydusić. Czyli „mała gdzieś z bliska”... Znam ja starego rozpustnika. To właśnie chciałem od niego usłyszeć.

„Skądś tutaj, z naszego terenu”, powie jeszcze. „Dzieciaki...

dzieciska. Gorsze są niż jaszczurki.”

„Dziewica? Która dziewczica?”

„Ależ nie. Dzieciska.”

„Aha. Te małe kiciedziewicie?”

„Dzisiaj nie ma już dziewic. Wszystko to, mój panie, trzaskprask i...”

„Bravo, ma che furbo!* Bravo, bravo, colonnellissimusie mój i generalissimusie!”

A skoro już jesteśmy przy seksie, spytam dydaktycznie: „Widział pan kiedyś, jak te małe świnki uprawiają miłość? Nie widział pan? No nie, nie te pańskie lolity gdzieś z bliska, ale jaszczurki. Podglądał pan kiedyś? Nie. No, to tak to idzie: najpierw on rzuca się za nią... przypuszczam, że to on, bo jest większy... Rozpędza się, otwiera usta i łapie ją, powiedzmy, w talii... za brzuch... wszystko jest u nich jednakowe... a wiadomo, jakie wielkie ma usta, kiedy je rozdziawi... I potem trzyma ją tak i trzyma, biega w kółko z wybranką w ustach... Człowiek tylko patrzy, co to za kłębek. Ona najpierw się miota, niby to się wyrywa, nieprawdaż... żeby wszyscy zobaczyli, jak ją wykorzystują te męskie świnnie... a odegrawszy tę rolę, zaraz się uspokaja i zwisa mu z pyska niby olbrzymi wąż. On przednimi nóżkami przyciska do swoich boków z jednej strony jej głowę, z drugiej ogon, co wygląda, jakby chował końce węża do kieszeni. I tak stoją, gapiąc się Bóg wie jak długo, nie można się doczekać końca... Za każdym razem myślę, że złapie go kurcz w szczęce, że zacznie mu kapać ślina albo zaschnie w gardle i będzie musiał swoją najdroższą

wypuścić albo zżuć... a tu nic i nic... i nigdy nie widziałem dalszego ciągu. Więc zastanawiam się: chyba to nie wszystko? I jaka to głupia uwertura! Chyba że... aha!... Chyba że on zamiast do kieszeni schował jej ogon... pod swój brzuch. W tej sprawie musimy odbyć poważną naradę, szefie, bo wymaga to wiedzy taktycznej i strategicznej. Ale jedno jest oczywiste, człowiek nauczył się wszystkiego od przyrody. Prawie wszystkiego... Ta jaszczurcza uwertura okrutnie mnie dręczy. Oka nie mogę zmrużyć... Pan też cierpi na bezsenność?

Czy tylko na pobudkę?”

„I owszem, na jedno i drugie. A nie mogę brać leków, żeby mi serce nie stanęło... Co zaś do taktyki i strategii, jest to najtrudniejszy przedmiot na Akademii. Wymaga inwencji i szczególnych zdolności.”

„Okay, okay, nie chcę się wdawać w akademickie dysputy.

Domyślam się, że ta wiedza... powstała, nieprawdaż, znacznie wcześniej, niż on ją złapał w zęby, a nie wiemy nawet, czy ma jakieś zęby... pewnie ma. Może pan zauważył, że on najpierw na nią popatruje, obchodzi ją naokoło, potem się zapędza i nagle stop! Ślizga się, przebiega po niej jak po suchej gałązce, nadeptuje na nią niby to w przejściu, mimochodem, gryzie ją w ogon, zastawia drogę... Nagle wyskakuje zza kamienia, po czym oboje mkną jak strzały, skaczą jak żaby, przewracają się, zaczepiają o mchy, o jakieś krzaczki, i tak dalej... i naraz stają jak wryci... stają i stoją...

No i teraz! tu się zaczyna coś niepojętego: po całym tym pokazie, po tym spectaculum*, nagle odwracają się i patrzą obojętnie, każde w swoją stronę. Nieruchomieją jak żywy obraz, można by

powiedzieć, nasłuchują ostatnich akordów Szóstej patetycznej z dalekiej Liki*. Ale jakoś tępo. Później najczęściej on - on, przedtem taki zaczepny i napalony - powoli, obojętnie udaje się na paszedziatinę* i zamyślony wpatruje się w dal... Nawet rozdziawia usta, zastanawia się może, jak by tu zmienić taktykę? Taktykę jednak już właściwie zmienił, jeśli pan to zauważył, drogi komendancie...

Zgrywa obojętnego, a to, jak wiadomo, zawsze odnosi skutek. No i co on, do licha, zamyśla? Bo nie będzie to jakaś jego specjalna taktyka... Widziałem psy, robią to samo. On biegnie za nią jak zauroczony, z nosem przylepionym do figi pod jej ogonem... Biegną tak, jak mała kompozycja z ośmiu nogami, do chwili gdy on zobaczy uchylone drzwi na jakieś podwórze, ruszy zwabiony sobie tylko znanymi zapachami i utknie tam, jakby przyleciał tylko po to... A ona, przednia połowa tandemu, biegnie dalej w tym samym tempie, nie oglądając się, równie obojętna jak on.

Z gołębiami jest tak samo. Ona drepcze koło ścieku, zagląda pod samochód... a on się wokół niej puszy i stroszy, z wypiętą piersią zapędza ją w zasadzkę i tam zalotnie dziobie... po czym nagle zwija piórka i odchodzi, podrzucając rytmicznie głowę, jakby liczył swoje oddalające się kroki...

A ona jest nareszcie, może niespodziewanie, wolna. Tak, tak, wolna! Ale też porzucona. Kto tu jest panem sytuacji, a kto poszkodowanym?... Co mówi o tym Akademia Wojskowa? I co to ma być? Zwodzenie przeciwnika?"

Nasz członek akademii bez wątpienia zaraz potwierdzi, że tak

właśnie jest i że ma to na celu zmylenie...

„Otóż to, bracie, taktyka. A czy my tak w życiu nie postępujemy? Jeżeli spojrzeć...”

„Jacy my? W jakim życiu? Chodzi chyba o pana wojsko?”

„...spojrzeć głębiej... No dobrze, o taktyce wojskowej szkoda nawet mówić, to się rozumie samo przez się. Ale my wszyscy, zwykli ludzie!”

Chociaż... myślę, my nigdy nie jesteśmy tacy chłodni.

Ani my zwykli, ani oni niezwykli. Udajemy tylko, ale nie potrafimy tak znakomicie ukryć zamiarów. Wojsko ciągle gdzieś się skrada, zagląda, czołga się, zmawia, maskuje się, smaruje sadzą, daje znaki brwiami, psyka... Bezmyślnie kopie, coś buduje, usypuje, wymierza, grodzi... A potem nagle odchodzi i nie wraca albo spektakularnie wysadza most - jedyny ratunek... Człowiek zakochany po prostu dymi się, żarzy, ze szczytu gór Velebit widać, że się spala, choć udaje obojętność... I wszystko to dla rozsądnego obserwatora jest oczywistym udawaniem, a intrygujące i, o dziwo, inspirujące jest może jedynie dla tej drugiej gorącej głowy, która nazywa się przeciwnikiem albo partnerem seksualnym, myśliwym, maklerem, dyplomata...

Tu jednak nie ma udawania. Kto może powiedzieć, że jaszczur jest chytry, obłudny, dwulicowy, że zgrywa się jak człowiek? Ach, instynkt. Tak. Ale w takim razie to nie taktyka.

Jaszczur się odwraca, gołąb odmaszerowuje, pies odchodzi, i to raz na zawsze, bez obrazy i urazy, niemal radośnie - na zawsze albo

przynajmniej na długo... Ich czas jest krótszy: on nie może czekać, aż ona wystroi się i namyśli, ale musi tu, zaraz, właśnie tego dnia zapłodnić jajo i począć młode.

Zbliża się owulacja, moi chłopcy... hehe, nie ma czasu, czas, jakiego wymaga taktyka, jest raz na zawsze ograniczony.

W tej grze wszystko im się szybko wyjaśnia. On pojmuje, że nie jest w jej typie albo że czas jest dla niej nieodpowiedni.

Wyczuwa to instynktownie. I proszę bardzo, wiadomo, o co chodzi. Wszystko poza tym - odpada. Nie chce jedna - zechce druga. Bo jaszczur to nie narcyz. Odwróci się, piyknie, pójdzie sobie, zapatrzy się w dal... a w duchu może myśli: ech, frajerze, tym razem nie wypaliło... Ale, notabene, nie żałuje.

Nie ma tu nieszczęścia ani łez, ani wierszy na rozstanie, ani skakania z mostu. Ani obrazy, ani bolesnej rany.

Tak jakoś. Tak i nie inaczej. Cosi o cosd*, po prostu świnię!

„Świnki, hahaha”, śmiałyby się na pewno mongeneral, bo nie jest to powiedzenie najwytworniejsze. „Dobrze pan je nazwał: świnki. Ale tak już jest. To nie ich wina. Sprawa natury. A myśmy to skomplikowali... wy, wy, inteligencja humanistyczna.”

Ano właśnie. A ci niehumanistyczni? Oni z instynktów wysmażyli taktykę; atawizmy wypaczyli i zrobili z nich wiedzę. Wszystko razem zdeflorowali. I teraz mówią, że to najtrudniejszy przedmiot? Do którego niezbędna jest inwencja? Najpierw pocimy się w akademiach, karmiąc się teorią i zdawanymi egzaminami; potem, kiedy opanujemy przedmiot, pocimy się nad nieprzydatnością wiedzy

w praktyce...

A wszystko służy wyłącznie do oszukiwania. Cały ten dym to sztuczna mgła. Zeszliśmy z prostej drogi, mój niesądzony (Jenerale! Nie jesteśmy już jak te szczęśliwe istoty... No wiem, wiem, one nie znają szczęścia ani nieszczęścia; są tylko posłuszne instynktom i po prostu realizują ich nakazy. A nasze szczęście czy polega na poszukiwaniu? Ależ nie. Tym bardziej nie na samej taktyce. Na osiągnięciu celu? Lecz jeżeli cel można również osiągnąć w sposób jaszczurczy, dzięki samej tylko wprawie, to nadwyżka korzyści u człowieka sprowadza się wyłącznie do szczęścia, którego one nie zaznają.

Do szczęścia, jakie daje cel osiągnięty dzięki świadomej przebiegłości, taktyce i złudzeniom. Do radości ze zwycięstwa.

Zamiast samorealizacji zaledwie świadomość sprawności.

Generalissimus zazwyczaj trochę mruga na moje filozofowanie. Ja sam zresztą też. Ale myślę w duchu: no, to mamy załatwione. Jeszcze go tylko nie zmusiłem, by mi wytłumaczył, kto jest właściwie władcą w królestwie zwierząt. Kto tam jest kim? Spytałbym o to, gdybym chciał sobie jeszcze trochę poswawolić, lecz na dziś mam go już wyżej uszu.

Ale wiadomo również, że w królestwie zwierząt człowiek jest zerem - z całą swoją taktyką, z wielkimi celami i ze złudzeniami, ze szczęściem i nieszczęściem. Dla nich liczy się tylko instynkt, przynajmniej to jest oczywistym faktem zoologicznym, a skoro tak, to nie widzą we mnie „Boga swego wiecznego”, ja zaś widzę w nich

intruzów, albowiem mam obsesję własności, jak niegdyś Madona.

Pułkownik myśli może, że swoją mądrą taktyką oświecił mnie i pozwolił lepiej poznać samego siebie. Ależ nie. Ja po prostu żartowałem sobie. Żartowałem, a jak! Nie jestem, proszę państwa, wywłaszczony, tylko zaniedbany! Oto jedyna prawda. Ignorują mnie te przeklęte bestyjki, to wszystko.

Gdyby zwracały na mnie choć trochę uwagi, nie musiałbym machać ręką jak tego lata... wierzgać nogą, żeby je spłoszyć i przypomnieć o swoim istnieniu...

Dzisiaj mnie tu właściwie nic nie trzyma. Nie ma tych obojętnych istot, a ja się nie zmieniam. Siedząc w mojej opustoszałej klatce, nie bardzo potrafię inaczej wyobrazić sobie świat i siebie. Nie ma dziś także i tego, komu mógłbym się poskarżyć. Ten aktywista gdzieś się pewnie szwenda. Szczęki mi zdrętwiały od milczenia, nogi od siedzenia pod spróchniałą jodłą... Kalendarz tym razem oszukuje, ale to styczeń! Babia zima. I może na dobre bym ścierpł, gdyby nie ta zgniła wilgoć, bo nie muszę teraz machać ręką ani wierzgać nogą, nie ma intruzów w moim ogrodzie. W zapadającym zmierzchu nie ma nawet jaszczurek, czasami tylko przypadkiem przeleci tędy jakiś ptak. Nie doczekam się też spóźnionych nietoperzy, które w ciepłe wieczory krzyżują w powietrzu swoje loty w szaleńczym tempie, niby w pijanym widzie. W niemal zamarłym ogrodzie nie słyhać szerszeni ani os, nie świecą mi lampiony przekwitłych róż. Tylko cmentarną zgnilizną cuchnie namoknięta ziemia. I wydaje się, że jedynie ja czuwam nad upływem dnia, w zarzuconym na plecy starym swetrze,

ze zwolnionym oddechem w letargu samotności.

Ale nie trzeba, wiem, nadużywać wielkich słów. Ich miejsce jest w Biblii, w parlamencie, podczas ślubu albo gdy łowi się ryby. Jeśli w dodatku są złowieszcze, szybko mszczą się przez spełnienie.

Pewien mój znajomy barba* usiadł do kolacji i półgłosem zanucił żonie: „Gdybyś mi tak jeszcze podrzuciła jakiś widelec, byłbym ci wdzięczny do grobu.” I chcąc nie chcąc, dotrzymał, biedak, słowa: niespodziewanie głowa opadła mu na talerz, nim zdążył powiedzieć „dziękuję”. Leżał z oczami pełnymi szpinaku ze śmietaną... żeby się wyrazić nie wprost i obrazowo, unikając fatalnego słowa. Jego zresztą od tej chwili nic już nie spotka. Ciekawe jednak, czy wdowa po nim pomyślała kiedykolwiek, że mogła jeszcze dziś mieć za stołem, pod dachem i w łóżku męża troskliwego i dowcipnego - gdyby mu tylko w porę położyła obok talerza widelec.

Pewien poeta nieostrożnie wyznał, że zabiło go za ciężkie słowo, po czym rzeczywiście musiał się powiesić na gałęzi.

A był on, mówiąc prozaicznie, za ciężki jak na wytrzymałość swoich kręgów szyjnych.

Mnie się sprawdziło dosłownie wszystko zło, jakie kiedykolwiek wymyśliłem, pisząc. Nawet i dobro przywoływane głośno potrafiło się na zło obrócić. Można pomyśleć, że zamiast bojaźliwie ogłaszać skromne prawdy, złowieszczo przepowiadałem przyszłość. I moje życie może wcale by nie było smutne, gdybym z góry o tym nie postanowił, nie zapowiadał go złowrogimi przeczuciami i zuchwale nie prowokował. Nie zaprogramował. Gdybym się tylko zajmował

swoimi cichymi pragnieniami, dla których wielkie słowa są nieodpowiednie, za głośne i przekłete. Albowiem pragnienia wypowiada się szeptem, jakby były grzeszne, i wtedy nie docierają tam, gdzie wydaje się wyroki. Lepiej jednak, by nie spełniło się pragnienie, niż miałyby się spełnić to, czego się obawiam, powiedziałby obłudnie jakiś człowiek trzymający władzę, gdyby potrafił ująć groźbę w sentencję.

Idąc noga za nogą przez pole równe, nie mogę spojrzeć w niebo, tak mnie razi słońce. Styczniowy wiatr, bora*, zmienia kształty drzew, ich objętość i obraz, jak nas uczy estetyka. Bawi się nimi, wywija czym się tylko da, może nawet promieniami słońca, które ponoć także są materialne, toteż w mojej autosugestywnej wyobraźni lada chwila mogą zatrzepotać albo przynajmniej zadrgać jak struny.

Albo nawet zabrzączeć jak druty telefoniczne. Widzę jednak, że tak się nie dzieje, i tylko teoretycznie męczy mnie to i niepokoi. Kłują te ostre materialne strzały z nieba - osobno, a bora - osobno, tak więc z powodu wielkiego blasku i kłucia, i ostrego powietrza nie widzę nieba Bożego. Powiedziałbym, że jako stwora specjalnie mnie upośledzono, dając mi źrenice niechętne akomodacji, wrażliwą śluzówkę i gruczoły łzowe skłonne do podrażnień. Lepiej jednak unikać wielkich słów, to tylko skryte uczucie; chociaż mówi się, że uczucia nie kłamią, a wszystkie pomyłki są skutkiem długich rozważań.

Widząc mnie w pełnym rynsztunku, ktoś mógłby zapytać, dlaczego niektórzy ludzie nagle pragną mieć laskę. Może tylko

dlatego, że przypadkiem zobaczyli ją w markecie wetkniętą do wiadra z miotłami albo zawieszoną między sitami, szczotkami czy dorszami. Bojaźliwie usprawiedliwiają się sami przed sobą, że lada chwila może się przytrafić mała dyskopatia, artroza, kolec wbity w piętę czy podobne nieszczęście, które przychodzi z wiekiem. I jakby skrycie tego pragnęli, byle się dorwać do laski. Ta, skądinąd, nawet nie jest moja, nosił ją stary Barba, już świętej pamięci. „Stary” mówię z przyzwyczajenia, jako że żył dawno temu, a „świętej pamięci” nie mówię z przyzwyczajenia, muszę nad tym pomyśleć, bo to też wielkie słowa. Które jednak już mu nie zaszkodzą, chciałoby się powiedzieć, „na szczęście”. A poza tym Barba nie był szczególnie stary.

Chodził z laską, będąc znacznie młodszy niż ja dzisiaj, a ta laska nie miała, jak widać, zwykłego zaokrąglenia, dzięki któremu można by ją zawiesić na ręce. Zamiast tego było - i jest - coś jak wyrzeźbiony w drzewie orzechowym orzeł czy sokół (nie wiedzieliby tego nawet ornitolodzy) ze złożonymi skrzydłami. Kiedy Barba trzymał w dłoni tę rączkę, z garści wystawał mu tylko ptasi dziób, o, tak jak mnie teraz, drapieźny i podwinięty, ale nie dość haczykowaty, żeby go można zaczepić na przedramieniu, a z tyłu sterczał szeroki ogon, pionowo jak u ryby. Ciekawe. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

U dołu laska ma stożkowate okucie, dawniej niebezpieczne na wytartych płytach chodnika, ale teraz dość już stępione, tak że latem nie zagraża nawet śmierzącemu asfaltowi.

Kiedy stary kierował je czasem ku niebu, laska z tym żelaznym

szpicem wyglądała jak zardzewiały piorunochron.

Brał ją tylko, gdy szedł na wieś, a i wtedy posługiwał się nie jak laską, ale raczej jak prętem do mierzenia, do wskazywania, a niekiedy jak groźnym berłem. Zbroił się w laskę de facto przeciwko chłopom. W razie potrzeby chwycił ją pośrodku i rąbał przed cudzym nosem tym ptasim ogonem jak czekanem albo indiańskim toporkiem.

Ale ja tej rączki jeszcze dobrze sobie nie ułożyłem, nie leży mi w dłoni. Chociaż laska sama w sobie to „piękny przedmiot”. Każda laska. Oczywiście, bez tej gumowej nasadki na dolnym końcu. Przedmiot piękny i jakoś określający status. Jeszcze niedawno pieszczotliwie nazywano ją bagulina. Zwłaszcza gdy była cienka jak laska ślepeca. Nie skojarzyło mi się to z oślepiającym słońcem, chodzi raczej o elegancję... Naturalnie, może się przytrafić jakaś podagra, ischias, artretyzm, skurcze, żyłaki... lecz przede wszystkim, powiadam, laska jako laska. A to, czego ktoś ewentualnie spodziewa się w dalekiej przyszłości... że źle stąpnie, zawadzi o coś itp... że gdzieś mu strzyknie, najpierw raz i drugi, potem... tia... no, no, jeżeli człowiek wyobraża sobie coś złego i jeszcze o tym mówi, to wywołuje licho... i może się go spodziewać lada chwila.

Na razie, odpukać, na razie jeszcze biorę tę laskę nie z prawdziwej potrzeby, ale jakbym ją wyprowadzał na spacer, często noszę pod pachą, jakbym chciał, Boże zachowaj, skręcić papierosa albo, co jeszcze głupsze, zapisać coś w notesie. Ale wiem, i mówię, krzyże to jednak krzyże... Es donnert, powiedział stary Naci Glembay i wyjrzał zmartwiony przez okno z półprzezroczystej kalki*.

Gdybym się nie zatrzymał przy tej lasce, już wcześniej bym wspomniał, że idąc przez pole równe i rozmyślając o tym czy owym, spotkałem zniecka komisję. Składała się z trzech członków. Pierwszy, mój specyficzny pułkownik w stanie spoczynku, ulubieniec domowy, który na nieszczęście w ostatniej chwili miał zostać mongeneralem, ale nie został. Drugi, były właściciel drogerii, zwany Lugańca, zgryźliwy przygadywacz, nieznośnie rozsądny. I trzeci, braciszek bibliotekarz i archiwista w klasztorze Świętej Łucji na Grotach, o imieniu, którego nie potrafiłbym powtórzyć... coś jak Kankaza... chyba tak.

Mówię - przez pole równe, a nie po tym przeklętym asfalcie, który nie przechodzi mi przez usta: sft... albo po smole... choć tego już coraz mniej. Pola są poprzegradzane, jak by powiedział Prokop*, albo poprzerabiane na ogrody kwiatowe i grządki, z palmami, różami, młodą cebulą wokół nowych domów, z olbrzymimi głowami kapusty czy innych warzyw (których nie rozróżniam) za garażami...

Komisji właściwie nie spotkałem - ona mnie dogoniła.

Zwolniwszy kroku, otoczyli mnie, przywołując to Boga, to zdrowie, to radość, same deficytowe rzeczy, i zaraz oświadczyli, że są komisją. Po co komisja, ludzie? Ano po to, że idawko - - misji, koprodukcji, koegzystencji i kolaboracji... jasne, prawda, czyli w ważnej wspólnej misji. Sformowani zostali celowo na tę okoliczność. Wszystko jest maksymalnie służbowe... A dokąd idzie komisja? Ano... idą komisyjnie przesłuchać, powiedzmy, zmarłą Uricę... tak, w pewnej sprawie... w sensie poprawy sytuacji politycznej przez

promocję problematyki stażu kombatanckiego.

Prawdziwie zdumiony i powodowany resztkami przyzwoitości, nie zdołałem odpowiednio sobie zakpić z braciszka, że niby czego on szuka, ludzie, w takiej komisji... może jeszcze niewyświęcony, z nowicjatu... jakiś kandydat... albo wyrzutek... tylko po prostu spytałem: - To znaczy, że Urica umarła? Mój Boże, kiedy?

- Jeszcze nie umarła. Umiera - odparł zdecydowanie mongeneral. - Każda chwila jest dla nas droga.

- Bo to ich świadek koronny - wyjaśnił frater, ciągle uśmiechnięty jak aztecki posąg.

- Ich świadek? Czo?! Nasz świadek, wielebny, nasz! - obruszył się Luganiga.

- Koronny, jasne, że koronny. Tu nie ma żartów - zauważył rozsądnie Generałpułkownik. To znaczy tylko pułkownik, nazwiskiem Krceta.

Zastanowiwszy się chwilę, pytam naiwnie, kto jeszcze został „niezałatwiony”. Znamy się tu wszyscy niby na jakiejś długiej wycieczce i dobrze wiemy, że nie ma człowieka z naszego pokolenia, który by się, tak czy inaczej, dawno już nie dochrapał stażu kombatanckiego.

- Tak czy inaczej... - zauważył Luganiga. - Różnymi sposobami.

- W czyjej sprawie - pytam - ma zeznawać Urica?

Komisja milczy. Tylko pułkownik patrzy przed siebie i podrzuca głową. Na niebie nie ma upragnionych złotych gwiazdek z

generalskiego gwiazdozbioru, na ziemi natomiast nie ma problemów, które by należało specjalnie promować. I konstatuje spokojnie: - Rzecz przedstawia się tak, że został jeszcze tylko jeden.

Na razie. Rozwiążemy to... i załatwimy. Właśnie go załatwiamy. Dzisiaj. Nie trzeba z tego robić problemu.

- Jeżeli nasza Urica, jak to się mówi w Banacie, nie pierdnęła w lampę - wycedził zgryźliwie Luganiga. - Mekanikowi staż by przepadł!

- Myślę, że chodzi tylko o status - poprawił go frater.

- Staż już on sobie załatwi.

- Jeden diabeł. Czo to za różnica?

- Kto tam wie. Gdyby staż mu się liczył od najwcześniejszych lat, mógłby już iść na emeryturę, taki młody i... niezastąpiony.

Jeżeli zacznę bez słowa podpierać się laską, choćby i na niby, pomyślą, że wiatr mną zachwiał albo że się waham w sprawach kombatanckich. Dlatego przystanąłem na chwilę, a oni zwolnili i nawet się zatrzymali, żeby usłyszeć, o co jeszcze pytam. Bieda w tym, że nadeszło właśnie kilka osłów, trzaskając każdy swoim wielkim ładunkiem chrustu.

Luganiga z przyzwyczajenia rozsierdził się na osły, że nam wykłują oczy.

- Do diabła z tymi głupimi źwirzakami i morderczymi kolczami. Bóg wie, czo się tu może zdarzyć!

Ustawiliśmy się w kaczą kolumnę na bankinie*. Obok osłów kroczył młokos na długich, sztywnych nogach; nie przywitał nas,

tylko patrzył obojętnie, a tuż za konwojem i ogonem ostatniego osła ukazała się kobieta, która obdarzyła nas świeckim pozdrowieniem. Brat Kankaza odpowiedział jak świadomy obywatel. A Luganiga zakręcił mu dłonią przed oczyma.

- Nie ma już „Pochwalony”, czo? Dobrze, że cię w ogóle pozdrowiła. Nie ma już „Szczęść Boże”. Wszędzie sami spiszkowcy. Prędzej przywita nas osioł paroma szkoredzadami* albo szamochód do nas zatrąbi niż człowiek. Czy to człowiek?... Nie chodzi o nas, tylko o was, bracie. Nas już nie pozdrawiają nawet oszły.

Frater z uśmiechem obrócił to w żart: jest w cywilu, więc go nie poznają. A powiedzieć bliźniemu „dzień dobry” też jest ładnie i naturalnie:

- Czemu nie? Dzień dobry. To też chwalenie Boga.

Jak u wielu młodych mnichów, i u niego widać pod wygoloną skórą na twarzy grube ukośne włoski niby druciki.

Za osłami pchały się dwa samochody. Obydwa trąbiły, tylny na przedni, a przedni na wielkie ruchome naręcza chrustu i na obojętne szare zwierzaki, które rytmicznie kiwały łbami; wiatr rozdzielał im szczeciniaste grzywy i szarpał ciężar na grzbiecie.

Nie przypominam sobie, bym często widywał, że laska naprawdę komuś służy, może z wyjątkiem tych, którzy mają protezy. Inni idą z nogi na nogę, pozwalając, by nakłuwała ziemię obok, śpiesznie albo powoli, idą wyprostowani, jakby jej nie było. Albowiem laska wskazuje na ich słabość, a przez to ośmiela, by jej się nie poddawać. Trzeba jednak przyznać, że może ona pomóc

człowiekowi, aby nie balansował w porywach wiatru na wąskim poboczu. I może skutecznie wystukiwać rytm jego myśli, niby stalowa pałeczka na trójkącie muzycznym...

A teraz dość już o tej lasce. Zająłem się nią tak sobie, przy okazji, dla toku akcji nie ma to w ogóle znaczenia.

Kiedy znowu zeszliśmy na drogę, mój konspirator szturchnął mnie w plecy i dmuchnął mi do ucha: - Małe zadanie społeczne. Jasne? Nic poza tym... Małe zadanie, lokalne, ale w sensie pozytywnym. Nie ma tu pańskiej kombinatoryki tędy owędy! Nie ma... To sprawa rozumu... i świadomości.

- Dobrze, dobrze - odparłem głośno. - Jeżeli wszyscy się zgodzili, to chyba jest w porządku. I jeżeli podjęliście się to załatwić.

- Tylko takie fujary jak ja pozwalają się tak nabierać i zajebywać, za przeproszeniem brata. Zgodziłem się, ale nie wiem, czy to jest w porządku.

Brat pogodnie dorzucił coś o interesie i celu społecznym, dając tą parafrazą do zrozumienia, że słyszał to, co pułkownik konspiracyjnie szeptał mi na ucho.

- Oczywiście w sensie pozytywnym. Zawsze powinniśmy się starać, aby nasze intencje były czyste, niezależnie od interesów.

- To brzmi jak w konfesjonale albo na ambonie. A figę! Nie ma rzeczy „niezależnych”. Ja to robię dla swojego świńskiego interesu. Właśnie dlatego, słowo daję. Zależnie, owszem, zależnie już nie można. Tylko dlatego, wyłącznie! Sam diabeł by mnie nie zmusił... gdybym nie potrzebował... Ja dla siebie, ty dla siebie, on dla siebie.

Ekola kozi*.

Tak to idzie. W sensie pozytywnym!

- Ja? - zdziwił się frater - dla siebie? Co to, to nie. Mowy nie ma. My, bracia zakonni... moi bracia... nie mamy tych waszych aut. Po co nam one.

- Ma klasztor łódkę? Ma. Ma łódka motor? Ma!

- No dobrze - zgodził się niewinnie frater. - Dla nas to nie jest najważniejsze. Mamy, i owszem, jednego prastarego diesla. To prawda, ale...

- Jakie tam „ale”. Im starszy, tym bardziej wymagający... no i? Kogo wzywacie? Jego! Innego nie ma. Nie bądźmy... faryżuszami. Wszystkim nam jest potrzebny. My jemu dzisiaj, on nam zawsze. Mniej czy bardziej. Dopóki ma monopol. I do auta, i do motoru w łodzi, i do piły, do pompy, agregatu i Bógwieczego. Gdyby nie to, nawet bym, mój bracie, nie kichnął. Rozumiesz?... No tak. Moja śpiocha zawołała go tu kiedyś, żeby jej przetkał klozet... Człowiek jest zdolny i potrzebny, nawet do tego. Do wszystkiego.

Mój Generał tylko patrzy uniżenie pod nogi, ale w pewnej chwili rozładowuje napięcie jednym słowem: - Wzajemność... - a to westchnienie zagadkowej pobłażliwości i samorozgrzeszenia jest głęboko filozoficzne. Luganiga powinien się w tej chwili na oczach wszystkich zawstydić swojej cynicznej wulgarności. Ech, mój Luganiga!

Zacząłem po trochu, tak sobie, liczyć, naciągając dwoma palcami małżowinę uszną, bo wówczas człowiekowi najłatwiej się

skupić. Ale nawet bez tego sprawa była oczywista.

- Mekanik jeszcze nie miał wtedy pięciu lat, prawda?

- Gdzie tam! - wypalił semper vigilans* Luganiga. - Miał dwa lata. Jeszcze szrał w majtki! - Tu wyciągnął dwa wygięte palce, widocznie sparzone jakimś kwasem, poźółkłe od nikotyny, i spojrzał na mnie znacząco: - Dwa. Dwa z kawałkiem. - Po czym zamilkł.

Frater też milczał, z zastygłym uśmieszkiem.

- Przygotowujemy księgę. Wielką - odezwał się pułkownik. - Finansuje ją gmina i nasz związek. Luksusową.

W twardej oprawie. Ze zdjęciami. - To wyliczanie rytmicznie podkreślał swoim tulipanowym gestem. - Będą w niej opracowane wszystkie nasze życiorysy. Osobno uczestników, osobno tych, co przeżyli... my tam będziemy, w indeksie tych, którzy się przeżyli... Naturalnie bez fratra. On jest za młody.

- A Mekaniko nie jest! Neanche per idea!* - wtrącił Luganiga.

- Ja się nie przeżyłem - roześmiał się Kankaza. - A inni może. Jestem jeszcze aktualny.

- Wszyscy się przeżyliśmy. Zgoda. Szpisan na sztraty.

Nieużyteczni. Skończyła się karencja...

- Przydatność - uściślił frater.

- Nie karencja, ale... Ma brat rację. Termin przydatności.

Przeminęło z wiatrem.

- Przepraszam - upomniał ich były dowódca. - Jesteśmy tu jednak służbowo. Bardzo przepraszam.

- A czo mi tu pan przeprasza i wymawia. Wyrzucacie

pieniądze... i tyle...

- Noo, przepraszam! - rozległo się znowu, o tercję wyżej.

- Kiedyś to się nazywało intoksykacja patologiczna - mruknął były właściciel drogerii.

- I wobec tego - ciągnął pułkownik - obejmuje to nas wszystkich i nasz wkład. Na pięknym papierze, fotografie, druk artystyczny, szycie, wszystko. Wewnątrz wstążeczka.

Czerwona, jedwabna, dla oznaczenia, dokąd się doszło. Każdy, kto zasłużył, musi być uwzględniony... A zasłużeni są wszyscy bez różnicy, którzy się przyczynili... Nasz Mekanik też, czemu nie, na pewno... nie może jedyny z nas pozostać niewspomniany w księdze o tamtych czasach. Na naszej wyspie nie było wielkich akcji, tylko ta gwiazda na murze cmentarnym...

- Ohoho, gwiazda! A czo ja mówię? Wyrzucanie pieniędzy. Fiuuu do morza! Wszyscy jesteśmy umoczeni, mój Krceta, umoczeni, a nie uwzględnieni! Niech pan wyciągnie tę jedwabną wstążeczkę, czerwoną, żeby zobaczyć, „dokąd się doszło”!

- Ale za to były aresztowania... internowania...

Nawet ja to rozumiałem. Wszyscy uwzględnieni musieli się czymś zasłużyć, tak już bywa. No dobrze, sprawa jest ważna, misja tej komisji historyczna, i z założenia[^] i ze względu na cel, czyli na tworzenie historii, dodatkowe, można powiedzieć, z niczego... A co do Mekanika, nie, tu nie ma oszustwa, nie ma fałszerstwa, sprawa jest czysta jak łza: idzie się, jak trzeba, do świadka koronnego, żeby zdobyć niewątpliwie prawdziwe, przedśmierne zeznanie, obiektywnie

poświadczyć i uchronić od zapomnienia część sławnej przeszłości...

Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, nagle nad zakurzonym rozmarynowym żywopłotem wyrosły przed nami dwa lwy, alabastrowo białe, podobne do sfinksa i jednocześnie do człowieka. W rozkosznych, kędzierzawych, grzywiastych perukach siedzą dwa Ludwiki Czternaste, każdy na kamiennym cokoliku, po obu stronach bramy ze lśniącej nierdzewnej stali. Wpatrują się w dal, patriotycznie i dumnie, ponad innymi wyspami i dalekimi milami wód międzynarodowych, gdzieś ku rodzinnym sawannom. Jeden ma nawet pyłek, kroplę smoły czy łzę nostalgii w lewym oku. Nie trzeba przed nimi drżeć, tak bardzo są niezaangażowane i obojętne na nas, Europejczyków.

W komisji powstało małe zamieszanie... bo na ozdobnej tabliczce nie od razu można było znaleźć dzwonek. Po chwili do ogrodzenia z siatki zbliżył się na wysokich nogach kontemplacyjny ciemny dog i powoli skłonił głowę przed pułkownikiem. Luganiga cofnął się ostrożnie o parę kroków, powtarzając pokornie: „Dobry piesz... dobry piesz...”

Każdy kombatant, który przeżył, spodziewałby się gospodyni z włosami nawiniętymi na wałki i w zatłuszczonym szlafroku albo, jeżeli wizyta była zapowiedziana telefonicznie, damy w kostiumie godzącym się z barwą sierści doga, podzwaniającej bransoletkami, z iskrzącymi się pierścionkami na palcach. Zamiast tego szła nam na spotkanie zmizerowana wieśniaczka z twarzą obrośniętą brodawkami, w wyszarzałej sukience i czarnych pończochach, w rozdeptanych

franciszkańskich sandałach; na głowie miała niezwiązaną chustkę, z końcami zwisającymi dantejsko wzdłuż policzków.

Za taką furtką mógł czyhać na nas w zasadzce elektroniczny wykrywacz metali, przeszliśmy jednak bez przeszkód, ze zdawkowymi słowami powitania i jakiejś takiej identyfikacji, wśród niskich lampionów solarnych w trawie, przez ogród przekwitłych róż do szeroko otwartych drzwi domu. Jedynie Luganiga, jak się wydaje, znał gospodynię, pozwalał więc sobie na familiarne jej traktowanie i trzymał ją pod łokieć, oglądając się na doga, który tuż za jego piętami w zamyśleniu kiwał głową, oblizywał się i ślinił.

W ciszy pustego domu stąpaliśmy po wełnianych dywanach jak po dziewiczym śniegu. Gdy zatonęliśmy w głębokich fotelach, pułkownik wkroczył in medias res: - Ja jako prezes związku oraz tu obecni towarzysze inżynier chemik i towarzysze frater tworzymy komisję, której przewodniczę... Jesteśmy więc członkami partii... nie, tego... komisji powołanej oficjalnie w tym celu...

- Ad hoc - wtrącił Kankaza.

- Ten tu towarzysz został dołączony - ciągnął pułkownik, wskazując na mnie i nie oglądając się na klasztorne latynizmy. - Towarzysz z laską nie jest członkiem bezpośrednio odpowiedzialnym... ale może się przydać jako czwarty...

- Jeżeli będzie potrzebna laska - mruknął Luganiga do fratra.

- To tylko przedmiot identyfikacji - pozwoliłem sobie przypomnieć jako zwolennik pokojowych metod.

- Więcej oczu to więcej uszu - smagnął nas pułkownik tylko

jednym okiem. - Ja, jako najbardziej odpowiedzialny i były oficer, odpowiadam za wszystko jako przewodniczący... Inżynier, człowiek tutejszy, dobrze zna mieszkańców dzięki pracy w aptece...

- Ależ człowieku, w drogerii - sprostował z obrzydzeniem Luganiga.

- No, gdybyśmy się leczyli jego specyfikami - powiedział frater - nie bylibyśmy dzisiaj członkami partii.

- Proszewas, towarzysze, jesteśmy tu po to... Chciałem powiedzieć, dzięki drogarii... klientom i tak dalej... poznał historię wyspy, a zwłaszcza wojny, bo był tu stale... na tyłach, więc jako taki... człowiek tyłów. A młody zakonnik... ktoś mógłby zapytać... on tu jest w pewien sposób... w imię moralności i obiektywizmu... prawdomówności... nie ważniejszy niż my... demokratycznie... Więc wszyscy razem jako świadkowie... po to tu jesteśmy. Musimy trochę porozmawiać z towarzyszką. Wiemy co prawda, że towarzyszka w pewien sposób... w pewnym sensie choruje, ale jest jedynym prawdziwym świadkiem. Może oficjalnie zeznawać na okoliczność wspomnień.

- To moja siostra - powiedziała wieśniaczka. - Jest bardzo chora. I strasznie słaba. Jak to zrobić, joj, nie wim, jak wy to...

Luganiga najpierw chciał ją przedstawić, ale teraz, kiedy przedstawiła się sama, dorzucił szybko: - Tak, tak... to prawda... warzyszka Vika jest siostrą Uricy, siostrą jej...

W miarę jak czas upływał, brat Kankaza ze spuszczoną głową powoli przymykał oczy, uśmiechając się niby w pięknym śnie. Potem

znów otwierał je powoli, naraz całkiem przytomny. Zdawało się, że jest to rytm jakiegoś liczenia albo wkładania książek na półkę. Dziwne to było u tak młodego bibliotekarza, a może i nie - w klasztorze wstaje się wcześniej.

Skrzyżowałem dłonie na rączce laski jako czwarty świadek i osoba dołączona, nie bezpośrednio odpowiedzialna, ale więcej oczu... więcej uszu... pierwszy przy komisji.

- Wszystko już wyjaśniłem rano przez telefon - wyrwał się Lukaniga.

- Może pan to przejmie! - odparował ostro pułkownik.

- A więc towarzyszka Vika wie, że chodzi o nielegalną działalność Mekanika... w czasach, kiedy był mały...

- Jeszcze jak! Miał ledwie dwatrzynastka! - dziwiła się Vika.

- Dwa lata i prawie dziewięć miesięcy. Dokładnie: osiem miesięcy i dwadzieścia trzy dni, jak pozwala stwierdzić wgląd w księgę narodzin - wyjaśnił brat Kankaza, nagle wyraźnie obecny. - Jest także znana dokładna data ich udania się na Suszak. - Znow przymknął powieki do medytacji i błysnął aztecko białymi zębami.

- Historia zna takie przypadki - wyjaśnił przewodniczący. - Takie bohaterskie dzieci były również w innych postępowych społeczeństwach, choćby w Związku Radz... w innych, gdzie indziej, wszędzie. Król Pepin Mały i setki innych. I nie chodzi o to, czy były świadome, czy tylko dobrze przez kogoś kierowane. Ich wkład jest nieoceniony, jeżeli spojrzeć głębiej... i nie trzeba się dziwić... No jak, możemy w takim razie pójść do chorej?

Vika spochmurniała i milcząca, przygwożdżona Pepinem Małym oraz innymi argumentami, poszła otworzyć drzwi do pokoju siostry. Pułkownik tymczasem szeptał konspiracyjnie z Luganigą, wyraźnie lekceważąc młodego fratra; zresztą był chyba świadom, że i w Luganidze nie ma szczerego sojusznika. Półgłosem i spiskowo zalecał, że trzeba z nią być stanowczym i zasadniczym, posłużyć się wszelkimi dostępnymi środkami... Usłyszawszy to, Kankaza spojrział na mnie, więc szepnąłem z szybkim refleksem: - Pasłużyć się trzeba wszelkimi dostępnymi bestialstwami.

- Pasłużyć, no tak, symptomatyczny lapsus*, owszem - przytaknął frater. Zaczął jednak rękami rozgarniać powietrze, jakby chciał odegnać złe myśli, świadom, że tu, przy łożu śmierci, nie należy żartować z gwiazdy, która może wiodła Uricę przez życie i odprowadza ją aż do kresu.

Obraz jest wstrząsający. Z kolorowej pościeli wyziera facies hippocratica*: nos spiczasty, zapadnięte oczy i okolica skroni, uszy zawinięte i skurczone, skóra na czole napięta jak pergamin, twarz ołowianoszara... Wszystko zgodnie z prastarą formułą.

- Witajcie, towarzyszeko - zaczął prezes związku, a nie uzyskawszy odpowiedzi, ciągnął żartobliwie: - Sprawa wygląda tak: mam niestety obowiązek sprawdzać, w ogóle i w szczególności, czy któryś z naszych członków tu, w okolicy, nie jest może chory i pozbawiony opieki. To zresztą obowiązek nie tylko mój, ale każdego prawdziwego i uczciwego członka. Mamy takich kolegów odwiedzać (do tego miejsca Kankaza aprobująco kiwał głową) i pomagać im,

nieprawdaż, uiścić na czas, czyli spełnić członkowski obowiązek... wziąć od takiego składekę, więcej, wpłacić za niego, gdyby był nieobecny. Albo przynajmniej zawiadomić skarbnika, kiedy będziemy wpłacać za siebie... Hehehe... Czy tak? Ano taaak! Nasza organizacja zaleca poza tym, o czym niejeden członek zapomina, żeby członkowie pomagali na wypadek pogrzebu, nawet gdy chodzi o pozytywnego obywatela z naszego terenu, który nie był członkiem organi...

- Mhmmhm - chrząknął Luganiga.

- No tak, pozwoliliśmy sobie trochę żartować... W tym wypadku konkretnie nie doszło do takiej sytuacji... załatwimy to innym razem, nieprawdaż, towarzyszeko? - żartował dalej pułkownik. - Dziś mamy inne zadanie. Jak wiadomo...

- Nie jestem członkiem - wycharczała Urica cierpko, jakby płukała gardło nadmanganianem.

- Wiem, wiem, żartuję. Chciałem się tylko przedstawić.

Możemy trochę... Nasza lista obiegowa nie dotyczy tych, co nie należą. Nasza lista odnosi się do dobrowolnych, którzy sami chcą... Jeżeli nie chcą, nie ma sprawy. Ja żartuję, żartuję, tak sobie tylko...

- Ani dobrowolna, ani żadna, nic! Nie jestem członkiem.

- W porządku. Nie szkodzi. Przyszliśmy, wiecie, w innej sprawie...

Nie mogłem patrzeć na tę twarz, teraz jeszcze wykrzywioną nagłym przyływem nienawiści. Należało się spodziewać, że nienawiść wyładowuje się także na mnie, niewinnym.

I nie mogłem już wdychać tego samego nieświeżego powietrza

co konająca, po zdrowym wietrze na zewnątrz. Stałem w drzwiach, tak jakoś po przekątnej, z głową na korytarzu, a tylko łaską w pokoju, i jednym uchem nasłuchiwałem wiadomości z niewidocznego telewizora za ścianą... wiadomości o powstającej właśnie historii:...niektórzy Słoweńcy wstają z miejsc... ale... wydaje się, że wszyscy... tak, myślę, że cała słoweńska delegacja... opuszcza właśnie salę zjazdową i... tak, kierują się do wyjścia... wszyscy kierują się do wyjścia. Wszyscy delegaci Związku Komunistów Słowenii opuszczają cztertnasty Nadzwyczajny Zjazd... Zobaczymy, co będzie dalej... czy prezydium... Obrady zostały na razie przerwane...

Drugim uchem chwyciłem urywki naiwnego śledztwa z ciągle powtarzanym refrenem:

- Jak do tego doszło? Powiedzcie najpierw, towarzyszeko, jak do tego doszło. - Brzmiało mi to niby nieświadomy krzyk pułkownika do jego kumpli w belgradzkim Centrum Sava: „Jak do tego doszło, towarzysze?!”

Urica leżała na wznak, nienaturalnie sztywna, z jednym policzkiem na poduszce, wpatrzona w pustkę, bez wyrazu, nieprzenikniona, choć przed jej oczami ręce pułkownika, niby z ambony, obrzędowo cięży powietrze na jakieś kostki, oddzielając ważne segmenty myślowe dla większej jasności.

Myśli skupiały się na pochodzeniu społecznym odnośnego Mekanika, które było bez zarzutu, to znaczy robotnicze, a po linii kobiecej poniekąd chłopskie, ale nie kułackie, przeciwnie, raczej z biedoty wiejskiej. Mowa była także o ideowopolitycznym obliczu

rodziny oraz środowisku, w jakim dorastał, na ogół o takich... zasadniczych rzeczach.

Swój refren podzielił pułkownik na dwie tezy: do tego, że tak odpowiedzialne zadanie konspiracyjne powierzono dziecku, mogło dojść przypadkiem, mogło tak po prostu wypaść... chociaż na pewno tak nie było. I druga teza: wszystko zaplanowano taktycznie i zorganizowano, a dowodem na to jest prawidłowy wybór człowieka, czyli dziecka, przez odpowiedzialnych ludzi. Najpierw zatem trzeba rozwiązać podstawowy problem: jak do tego doszło?

- A dopiero potem - obiecywał pułkownik - przejdziemy do samego opisu akcji: jak to wykonaliście, jak się udało, czy mały trzymał się, chciałem powiedzieć, zachowywał się jak trzeba...

- Idźcie do diabła! - zasyczała Urica dosadniej, niż można się było spodziewać po konającej. - Zostawcie mnie i won!

Wszyscy, ilu was jest! Vika, gdzieś ty się podziała? M'rsz mi stąd, już was tu nie ma! Vika, polej go sikami!

Pierwszy dałem nogę, zabierając z pokoju swoją laskę, oczy i uszy, natychmiast.

Po dosyć bezowocnych, jak się wydaje, kuluarowych próbach porozumienia, z dalszego udziału w obradach zrezygnowała także delegacja Związku Komunistów Chorwacji. Wiadomo jedynie, że Słowenia i Chorwacja opuściły...

Komisja też opuszczała bez oporu pokój Uricy, odstępując od swojej historycznej misji. Dla zachowania twarzy jej członkowie przemieszczali się do wyjścia ociężale, noga za nogą. Pułkownik

znacząco kiwał głową, jakby grożąc komuś bezsensownie, i chyba pocieszał się myślą, co by czekało tę zdrajczynię, gdyby nie była już w drodze... na wieczną wartę.

Wszystko to stało się właściwie bardzo szybko. A na to, co w telewizorze, czekaliśmy za długo. Naszej komisji na razie to umknęło.

Vika mruknęła coś w rodzaju: „Ale tera oberwe!”, i długo zamykała za nami drzwi. Przez ogród odprowadził nas tylko szanowny dog, jeszcze bardziej oficjalny, dostojny, bez daremnego oblizywania się i kiwania głową, pełen rezerwy oraz antyreżymowego chłodu. W tej sytuacji nawet Luganiga mógł wyjść spokojnie przez furtkę, którą frater szeroko otworzył i przytrzymał... myśląc przy tym... myśląc pewnie to samo co my wszyscy.

Gdyby jakiś przechodzień widział, jak nasz służbowy kondukcik smutno, melancholijnie wychodzi na drogę, pomyślałby, że zbuntowana Urica poddała się właśnie Wiecznej Światłości, przywódcy niebiańskiego ruchu oporu.

Wątpię, czy wie, co znaczy prawdziwy park, ten, kto nie widział naszego. Sosna alepska, moi drodzy! Mówiąc to, mam przed oczami jasnozielony przejrzysty cud piękności, który z upływem lat po prostu karłowacieje, linieje, wypełnia swoją koronę tysiącami suchych czarnych szyszek i przygina się od wiatru. A kiedy ziemia trochę nawilgnie, sosna odrzuca korzenie i kładzie się na jeszcze zdrowym sąsiedzie albo na świeżo odnowionej ścieżce. Nie chodzi o jakieś przesady ani o fatalizm, takie jest prawo natury... i chociaż zahacza o problemy komunalne, nie ma na to lekarstwa. Ale rosną tu także

sosnyolbrzymy, stuletnie, prościutkie, każda zasłania połowę nieba. Ich korony kłębią się w górze niby zielone cumulusy, nieprzejrzane, nieobjęte, zdrowe, silne i tak dalej.

A dlaczego tak się dzieje? - odpowiedź zna pułkownik: - Mikroklimat. To mówi wszystko.

- E, wczale nie... Nie powiedział pan, że te olbrzymy wywodzą się z Makarskiej.

Nie wierzę, żeby pułkownik mógł coś takiego powiedzieć. To zakochany w roślinach, w królestwie roślin... prawdziwie amatorski botanik. Tylko uśmiecha się dobrodusznie i mruga do fratra z nadzieją na zrozumienie. Jest bowiem bezradny wobec przycinków Luganigi, wobec jego anarchistycznych złośliwości i, pozał się Boże, zasadniczego antimilitaryzmu, który nie ma podstaw w psychice ludzkiej. Bo jeżeli spojrzeć głębiej, każdy chciałby komuś uciąć głowę.

Gdyby się nadarzyła okazja, podrzuciłbym Luganidze wielką wiadomość z Belgradu, żeby nie był tak zjadliwie zasępiony. A może i braciszкови, choć wydaje się zbyt zielony, żeby się w tym wszystkim połapał. Jednakże pułkownik trzymał się nas, zgromadzonych w wyższym celu, a jego nie chciałem straszyć, żeby mu się z mojej winy serce nie zatrzęsło, jak mówią wyspiarze, i nie stanęło, jak wtedy w wojsku: pukpuk, i nic.

Jeszcze oszołomieni klęską komisji, nie wiedzieliśmy, dokąd pójść, żeby na razie uniknąć spotkania z radnymi albo działaczami związku, którzy o tej podwieczorkowej porze rozsiadają się zwykle na

restauracyjnych szlękatach*.

Przede wszystkim mogliśmy się natknąć na samego Mekanika, który dziś na pewno zamknął warsztat i popija w barkach więcej niż kiedykolwiek, oczekując nerwowo wyniku. Z Uricą dawno już zerwał i nie miał wielkiej nadziei, że cokolwiek załatwimy z tym jawnym jego przeciwnikiem.

Z wrogiem! (Albowiem kobiety mogą być rodzaju męskiego, jeżeli są zażarcie przeciw. Ale Mekanik kicha na jej rodzaj, byle zechciała świadczyć w jego sprawie.) Teraz, kiedy usłyszy, jak było, nogi się pod nim ugną i może nawet pożałuje, że niegdyś, wprawdzie zmanipulowany, przysłużył się rewolucji.

Niemal spontanicznie dowleliśmy się do lasu, gdzie teraz nie ma żywej duszy. Poza sezonem miasto jest jak dom starców, a park jak cmentarz przed świtem. Frater zęgnął się z nami co trochę, ale widocznie bawiło go nasze bolesne poczucie klęski i wstrząs po defenestracji, toteż jakoś nie mógł nas opuścić. W pełnym składzie zanurzyliśmy się w półmroku, gdzie niby wielkie złote motyle migocą słoneczne splachcie, przepuszczone przez niespokojne korony.

My nasz park prostodusznie nazywamy lasem, jakbyśmy nie doceniali wspaniałości, które posiadamy. Ale to nie tak, jest to naturalny przejaw naszej skromnej bliskości z okolicznym krajobrazem.

Znaleźliśmy prawie całą i dość czystą ławkę, usiedliśmy wszyscy oprócz fratra. Luganiga troskliwie, ale nie poufale, pogłaskał mnie po lasce.

- A pan bez potrzeby zoszał w to wplątany...

- Pewnie - przytaknął frater. - Zbyteczna ofiara.

- Nic to - powiedziałem. - Interesował mnie trochę dworek Uricy. Tylko z zewnątrz. Należał do rodziny starego znajomego...

- Ma che dworek! To willa, nie ma już tych wiejskich dworków, skądże, wszystko to wille. Pałace!

- Dorobili się, dorobili chłopci - westchnąłem niby jakiś nostalgiczny wywłaszczenie. - A gustu im nie brak...

Wszystkie te lwy! Krasnoludy, fontanny... dogi... bramy z nierdzewnej stali. A lampiony! Uwiędłe róże...

- Dorobili, akurat... Dorwali się! Dorwali jak złodzieje...

A jakiego to znajomego? Którego?

- Ano, starego Tuniny*. Tego, co sprzedawał na ulicy suchy wrzosiec na podpałkę...

- Tuniny? Tego... Matuzalema... co dawno go już nie ma? Zoszał pan archeologiem czy co, per l'amor di Dio*?

- Z nudów wracają stare sentymenty...

Zapadło milczenie. Pułkownik szukał czegoś botanicznego, grzebiąc suchą gałązką pod zbutwiały mi szpilkami za ławką. I tak, z półobrotu, zwrócił się do mnie: - Nigdy bym nie powiedział takiego głupstwa. Ojczyzna jej może być NA POŁUDNIE od Makarskiej! Wszystko, co pochodzi z ziem bardziej na północ, jest krótkiego wieku, podatne na choroby, prędzej ginie. A nie tam jakieś mętne...

- To czego pan tu szuka? - wpadł mu w słowo Luganiga.

- Szpawcy tych północnych chorób? Czy czegoś mętne?

- Szukam ewentualnego nasienia, a jakże. Tacy wszechwiedzący jak pan twierdzą, że szoszna nie może się sama rozmnażać. Szukam nasienia z ewentualnym kielkiem. Pilnie szukam, za pozwoleniem. Lepiej szukać niż palić i smrodzić na szkodę lasu.

- Może jednak prędzej by pan znalazł... ewentualny kieltek w Makarskiej... - mruknął Luganiga, wtykając dwoma zgiętymi palcami połówkę papierosa do drewnianej cygarniczki. I ciągnął monotonnym głosem: - Nie, nie będę już, pułkowniku... słowo daję... rzucam palenie... Wiem, czemu pan tak na mnie patrzy. To osztatni papieros w życiu... jak mi Bóg miły... osztatni!

- Niech pan się wystrzega wielkich słów - powiedziałem ponuro.

- Osztatni, jeżeli umrę za pół godziny. Wszystko może się... żator w łydce, niedotlenienie mózgu... Park, mój Boże, też trzeba chronić. Czy pan jest strażakiem, pułkowniku?

Ach nie, pan jest komendantem Obrony Terytorialnej, tak, tak, zapomniałem. Te „alarmy”, co? Strzelby i karabiny, które rdzewieją w remizie strażackiej... To nie to samo co ogólnonarodowa obrona...

- Strzec się trzeba nie tylko wielkich słów - wtrącił pułkownik. - Kultura nakazuje strzec sąsiadów od zanieczyszczeń powietrza. I nie naruszać środowiska naturalnego...

- Środowiska? Sąsiadów? Jakich, u diabła, sąsiadów?

- Tych obok, na ławce. Tych, co nie chcą wdychać dymu, tylko tutejsze zdrowe powietrze, tlen.

- Aha, aha! - Luganiga zapalał swoją połówkę powoli, jak fajkę.

- Capito*, ekologia, najnowsza obszesja świata.

Wie pan, towarzyszu pułkowniku, medycyna dzisiaj tak się rozwija, że w praktyce nie ma już zdrowego człowieka. Pan też choruje, niezależnie od mojego dymu. Wszyscy jesteśmy pacjentami.

- Niech pan nie gada głupot - zdenerwował się pułkownik, zapominając o swojej z trudem wyuczonej grzeczności.

- To gada niejaki Huxley, nie ja. Przeciwnik, tak na marginesie, wojny i totalitaryzmu. Niech pan zajrzy do leksykonu. I czym się, wobec tego, świat cieszy? Zdrowiem i tlenem... czy medycyną? Nie zmuszam pana do odpowiedzi.

Oprócz naszych starczych głosów „środowisko naturalne naruszają” tylko kosy, pobiegając po wieloletnim dywanie suchych liści jaworowych i laurowych. A skoro znowu mówimy o ptakach, muszę wspomnieć, że dziwne, ale ja tu nie widzę ciasnego kavezu, który mnie przytłacza. Kavez jest tam, gdzie poruszam się bez laski, w moim rezerwacie, w mojej wolności, las natomiast żyje samoistnie, bez zarządcy i właściciela. Ptaki są autonomiczne, intruzami jesteśmy my, to my „naruszamy”... One, może wszystkie, żyją i tu, i tam. Ale kiedy przelecą nad murem... stają się moje.

Wchodzą do kavezu fakultatywnie.

W ciszy wydaje mi się, że komisja nasłuchuje moich myśli.

- No i co? - spytał zniechęcony Luganiga. - Co teraz zrobimy?

- Proszę o podsumowanie. Muszę już iść - wtrącił frater.

- Nic - telegraficznie podsumował Luganiga. - Sami znamy tę historię, bez łaski piekielnej Uricy. Pułkowniku?...

- Nie wiem... A gdzie autentyczne świadectwo? Sami nie

możemy niczego poświadczyć. Wiemy tylko to, o czym się szepcze. Ona jest jedynym naocznym świadkiem. Uczestnikiem. Po to zresztą stworzono naszą komisję.

- Możemy, możemy. Nie jest jedynym. Nie ma dowodów, więc liczy się to, co ludzie mówią. Ja też coś niecoś widziałem...

- Świadek jeszcze żyje. Uczestnik... Jedyny, powtarzam.

Żyje!

- A pan go szprowokował i uniemożliwił rozmowę czy też śledztwo, czy zeznania... Mówiąc obrazowo, ale najprecyzyjniej: zmacił pan źródło. Możemy to wprowadzić do protokołu: źródło informacji szprowokowane i zmacone przez przewodniczącego komisji. Kropka. Jeżeli nie otrzyma pan informacji od UDBy*... pozostanie to, co wiemy z tradycji ustnej, no i zeznanie mojej skromnej osoby. Albo niech pan idzie i ją udusi, będziemy mieli rozwiązane ręce. Nie byłoby to trudne. Albo niech pan ją jeszcze raz zapyta o składki.

Pułkownik chciał ostro zaprotestować, ale oczyma i głową wskazałem na Luganigę, żeby go wysłuchać do końca. Frater nieustannie nas popędzał, a Luganiga ciągnął spokojnie, niemal pojednawczo:

- Nigdy nie wiadomo, co kogo szprowokuje. Nie jest pan winien w stu procentach, to trzeba przyznać. Nie w stu.

Winne jest to, co nauczone, zaszczepione. Ten pana słownik, pana wystąpienie, pana mimika, gestykulacja, a najbardziej to... to...

- Jakie znowu to?

- To, co za tym wszystkim stoi... Siły zbrojne i przemoc.

Uricy wszystko to od dawna działa na nerwy, jej bohaterska przeszłość i konspiracja, i kombatanci, i partia, a jakże...

Bodajże to ją szprowokowało. A że umiera, to już się nie boi.

Daję słowo, że umiera nie tylko ona. Umiera pewien świat. Dziś nie musiałaby się bać, gdyby nawet nie umierała. A gdyby Luganiga słyszał wiadomości ze zjazdu, miałby jeszcze znakomitszą intuicję.

- Przyznaję, z góry trudno coś wiedzieć. Kto by pomyślał, że nasza piękna Urica tak nas przegoni! Każdego dnia ktoś nas może zaskoczyć. Wszyscy są hiszteryeczni i napaleni, piątek czy świątek. Niedawno obraziła się na mnie urzędniczka na poczcie, i to jak! Bez powodu. Zaczęła syczeć jak żmija i trzaskać branszoletkami, niby grzechotnik tymi swoimi kasztanietami na ogonie. A nic jej nie zrobiłem, tylko kiedy powiedziała, że koperta musi być otworzona, a list szkontrolowany, westchnąłem: „Masz tobie! Teraz jestem załatwiony”. Nie miałem drugiej koperty ani pióra pod ręką, nalepiłem już parę znaczków... co to człowiek trzyma w szufladzie... A ta się wściekła. Dlaczego? szpytacie. Bóg raczy wiedzieć. W ostatniej chwili zauważyłem na jej bluzce tabliczkę z nazwiskiem Marica Masztobie. Masz tobie ja, Masztobie ona! No i co tu powiedzieć? A byłbym nie zauważył, gdybym nie rzucił okiem na... tych dwoje bliźniaczych jagniąt, które tak dzielnie wypchnęła do okienka... Były jak te w Piśmie Świętym... „co pasą się pośród lilii”. No widzisz, bracie. Nigdy nie wiadomo, towarzyszu pułkowniku, gdzie kto czeka w zasadzce i czym pan kogoś niechcący szprowokuje... Ona

Masz sobie, ja masz sobie... i już po tobie! Wojna! Nie ujdzie panu, jak dziś z tym zmańcieniem źródła.

Frater nagle okręcił się na pięcie, może nie z powodu jakichś obrazowych niestosowności, ale po prostu pojął, że sprawa została zakończona.

- Panowie, usłyszemy się w razie czego. Jestem zawsze na miejscu... No, do widzenia, z Bogiem! - A kiedy odszedł jakieś dziesięć kroków, odwrócił się i podniósłszy palec, pouczył Luganigę:
- Koźlątko. Nie jagniątko, ale koźlątko.

- Oho! Ma rację, perbako* - wykrzyknął tamten. - Dwoje bliźniaczych koźląt! Tak, tak, koźląt. Brawo, mój braciszku!

- A co braciszek o tym wie? - rzucił pułkownik, kiedy frater nie mógł go już słyszeć. - Może więcej, niż mi się wydaje. Na pewno.

- Wszyscy wiedzą o tym dwojgu bliźniąt. Wie, wie, niech pan się nie martwi. Jemu to paszuje. Młody jest, to mu nieźle paszuje... taka wiedza. - Tu widać uprzytomnił sobie, że ja nie wiem, co mówi tradycja ustna, bo odwrócił się do mnie, całkowicie ignorując pułkownika, który nadal uparcie grzebał w liściach. - Nasza konspiratorka Urica wzięła go była ze sobą na statek w celu kamuflażu. Młodego Mekanika. Małego. Dziecko. Popłynęła na Szuszek po materiały propagandowe, a wracając nażajutrz, zamiast pieluchą wypchała mu majtki ulotkami i inną bibułą z powielacza, czyjawiem, tymi „matryjałami”. I tyle. Oto cała hisztorja.

Do sztażu i sztatusu kombatanta. I do pańskiego medalu, pułkownika. A tradycja ustna jest soczystsza. Można powiedzieć,

więcej ma kolorytu.

- I więcej plotek - rzucił ironicznie pułkownik. - Mianowicie?

- Mianowicie w tamtych czasach nie było torebek foliowych, które by zabezpieczyły cenną propagandę przed ewentualnym zamoczeniem. Urica profilaktycznie prowadziła go coraz to do klozetu na sztatku, do WC. Dziecko marnie wychowane, mając dwa i pół roku, jeszcze nie potrafiło samo się załatwiać. Accade. Cóż, bywa.

- A pan to wszystko widział - nie przestawał zrędzić monżeneral.

- Widziałem, a jakże. Pan chyba, mój złoty, udaje, że nie wie, że przypadkiem byłem z nimi na tym vciporze*. -I dalej mówił do mnie, nie zważając na zaczepki: - Woziłem z Szuszaku towar do mojej drogerii, co się tylko dało, bo sam pan wie, że nie było niczego... I wszystko to widziałem. Dlatego teraz włączyli mnie na siłę do tej komisji. Nie jest to sam folklor i tradycja usztna, ale moje żywe świadectwo. Tyle że wtedy nie wiedziałem, co Mekanik ma w majtkach, więc wydawało mi się dziwne, że młoda Urica... chodziliśmy razem do szkoły powszechnej... ciąga po pokładzie cudze dziecko, a poza tym, notabene jak kurewka, mruga do karabiniera, osztija. Wszystko to dobrze widziałem i potem mogłem zrekonstruować... później, ma się rozumieć, bo wtedy pojęcia nie miałem, co się dzieje.

- Ja w te pańskie rekonstrukcje... - zaczął znowu nasz botanik, ale Luganiga ostro wpadł mu w słowa: - Nigdy nie byłem ich człowiekiem... sam pan to widzi - powiedział do mnie. - Nie muszą mi

wierzyć... I nie należałem do tej ichniej konspiracji. Nic mnie to nie obchodziło... Więc pojęcia nie miałem, co się dzieje. A karabinier oglądał się za małym, pewnie sam zostawił gdzieś w Forli, w Pistoicy czy gdzie indziej swoje dzieci... a może i zerkał na Uricę... zdrowe gołe nogi... Podczas wojny nosiło się, pamięta pan, takie krótkie szukienki, można powiedzieć poprzedniczki dzisiejszych mini. A Urica nie była brzydka... na pewno friszka*, wie pan, jak to jest: młoda, twarda - nabita. I chyba się połapała, że ona i mały zwrócili uwagę karabiniera, bo za każdym razem, prowadząc Mekanika do klozetu, mrugała do Włocha z tym wszytdliwożartobliwym grymasem całej twarzy, jakby chciała coś wytłumaczyć, usprawiedliwić się i prosić o zrozumienie... Może mały naprawdę miał biegunkę. A ta szempia* tylko wzbudzała jeszcze większą podejrzliwość i uwagę. Karabinier nie od razu zrozumiał, co ma znaczyć to mruganie, więc jako osoba przebywająca służbowo... na dyżurze... na tej lokalnej linii pasażerskotowarowej... poczuł się trochę zakłopotany.

Przełożył swoją redikulożną* strzelbę z ramienia na ramię, a przy tym zaczepił lufą o napoleońską trójrogą czapę, podobną do zdeformowanego, sztywnego biretu, i omal jej nie sztrącił do morza. A Urica, widząc, co spowodowała, już sztamtąd, z drzwi klozetowych, zawołała do Włocha: Cagarella, cagarella!* I upewniła się: La me capisce? On się na to blado uśmiechnął... bo co miał...

- Wszystko to zauważył... każdy drobiazg! Jak się karabinier uśmiechnął? Oczywiście blado. No, no. Całe przedstawienie! - mrucał już teraz sobie pod wąsem obrońca prestiżu przyszelej

luksusowej księgi pamiątkowej, artystycznie wydrukowanej.

Luganiga zwracał się do mnie, jakby nie słyszał za plecami tych ciągłych docinków i przymówek. Powiedział mi w zaufaniu:

- Wiadomo, co miałem na myśli: il carabinieri sorúdeva eon svogliatezza... na siłę... uśmiechał się... z przymusem, Dio mio, to chyba zrozumiałe. Wsadził ten biret na głowę i szpokośnie wsunął kciuki za ładownicę... za tę cartuccierę, zdaje mi się, że oni to nazywali reggiperne, bo śpiewali, pamięta pan, le reggiperne che noi portiamo, son portacicche di noi solda*... - Chcąc wzbudzić i odświeżyć wspomnienia, ochrypłym głosem zanucił: - Le redżiperne... ke noi por... tiamo... son potraczike, son portaczike...

- Nawet kciuki widział! - zdumiewał się pułkownik. - Jak tamten wsunął... kciuki!

- A niech sobie mówi, mój Generale, niechże pan mu pozwoli, co to komu szkodzi. Dla mnie to wszystko jest nowe, perbako, dokumentalne i malownicze - odezwałem się w końcu.

- Mnie nie szkodzi, ale jest to, bracie, gorszące. Że też pan tego nie widzi! Gorszsz...

- No, dajmy szpokój. Ja się nie obruszam na te ciągłe szpile... to niech i pan... A mówiąc dalej... Urica znowu, insomma, wyszła z WC i przeniosła małego przez wysoki próg, znowu wyszczerzyła żęby, tym razem porozumiewawczo, i czym prędzej kucnęła za swoją walizką. Dzisiaj retroaktywnie... retrospektywnie widzę wyraźnie, że chciała przypocholebić się żandarmowi i jednocześnie zniknąć mu z oczu, sztać się anonimową, rozumiecie? A co dalej? No tak... Mały

był niezdolny, diabelny. Urica przez cały czas trzymała go kurczowo, ale jej się wyrwał, szakał po pokładzie, musiała się najeść sztrachu, że mu te śmiercionośne pieluchy wypadną z majtek.

- Zimą miał krótkie majtki, jakżeby inaczej - dobiegło z końca ławki.

- No dobrze, może miał krótkie - wtrąciłem pojednawczo. - Dla ulotek byłoby lepiej, gdyby mu nałożyli długie.

- Tak czy inaczej, opowiadam, jak było. Scena klozetowa powtarzała się kilka razy: porozumiewawcze mruganie, cagarella, przenoszenie przez wysoki próg... Aż w końcu ten mały diabeł wyrwał jej się z rąk, podbiegł do żandarma, na chwilę zapatrzył się w jego karnawałowe wyposażenie, w tę czapę kapitana Cooka, i zaczął się wydzierać: „Balba Kagalela! Balba Kagalela!”. Myślał, że Urica wołała karabiniera po nazwisku. Jakieś lekkomyślne chłopaki zaczęły śmiać się głośno, nie rozumiejąc powagi chwili i jeszcze bardziej prowokując czyhające zło. Urica, pomyślcie tylko, miotała się po pokładzie i krzyczała na dziecko: „To nie barba! Nie twój barba, ty diable mały!”

Żandarm był już całkiem imbaracan, skołowany, nie wiedział, co robić. W pewnej chwili wyciągnął z ładownicy papierosza... myślałem, że to cukierek... i podał dziecku.

Papierosza! W imię Ojca... Mały najpierw jakby chciał to wziąć, nie wiedząc, czym go częstują, a potem trzepnął strażnika w rękę. Strażnik, wkurzony, wyrzucił złamanego papierosza do morza, zapiął ładownicę i poszedł do wyjścia, gdzie tłoczyli się już pasażerowie.

Mały Mekanik uparcie wołał za nim „Balba Kagalela!”; widział, że ludzie to bawi, bo nie ukrywali śmiechu. Ja też opanowywałem się z trudem, ale zdawałem sobie sprawę, że dobrze się to nie skończy... a przecież nie wiedziałem o ulotkach.

Urica rozpaczliwie przyciskała do siebie małego, zakrywała mu dłoń uszta, a jego to jeszcze bardziej rozdrażniało albo rozbawiało, diabli wiedzą. Ludzie przepuszczali do wyjścia Uricę z dzieckiem; niektórzy może tak szobie, a inni chcieli jej pomóc, żeby czym prędzej zniknęła z oczu żandarma... Karabinier był już na przodzie, władza ma pierwszeństwo, oczywiście, a musi też nadzorować z brzegu ten ruchomy tłum... Kiedy Urica z małym schodziła obok niego z mostka, złapał ją za rękę i szpokośnie powiedział: yyA.lto la! Ceka tu!” „Ja muszę tego diabła zabrać do domu, dziecko jest chore, ludzie, nie róbcie mi tego... a każa, puść mnie, szjor*, niechże pan mnie puści!” >yAspełła!” - rozkazał osztrzeż karabinier. - Ferma la! Stai ził ta!”*

Urica uszłuchała, jak Boga kocham, nie miała wyjścia, tu już nie było żartów i mrugania. Pewnie w tej chwili jej też wypadły do majtek materiały! Z początku wszystkimi siłami trzymała małego, a potem próbowała podać go ludziom, komuś w tłumie albo swojemu konspiratorowi, jeżeli tam był, nie wiem. Ale, osztija, Włoch to zauważył i własnoręcznie zasztawił małemu drogę. Sytuacja Uricy stała się beznadziejna, toteż kobiecina tylko się czerwieniła i pocila, oglądając się z przerażeniem i poprawiając rozczochrane, zlepione włosy.

Ja wam tu niczego nie dodaję i nie ozdabiam. Jak mamę

kochani. Widziałem to na własne oczy. Mówię telegraficznie, punkt po punkcie. Wszystko w skrócie, faktograficznie.

Musiałem tam czekać pod schodkami, aż tragarze rzucą mi na brzeg szkrzynkę. Pudło z towarem. Więc co? Czekam na swoje pudło i nie wiem nic, tylko to, co widzę.

A możecie sobie wyobrazić, jak to wyglądało potem, kiedy karabinier, przepuściwszy czujnie ostatniego pasażera, zabrał Uricę z małym na poszterunek? Ja tego nie widziałem, ale długo się o tym mówiło. Kiedy ją doprowadził przed swojego zwierzchnika, maresciallo* perwersyjnie, po minucie milczenia, jakby już chciał jej oddać honory pośmiertne, nagle z całej siły trzasnął dłonią w stół. Nawet karabinier w pozycji „Baczność! Attenti!” wzdrygnął się i przesunął o krok, kiedy tamten wstał i wrzasnął: „Beh, stiamo adesso a vedere!”*, a potem osztro: „Come ti chiami, a? Jak nazywas ty?”

Mówi się, że śledztwo było istną egzekucją. Maresciallo dążył do inkryminacji za umyślne szydzenie z władzy w osobie karabiniera, a to znaczy i samego Duce, który wtedy jeszcze, niesztety, nie wisiał głową na dół na belce w Mediolanie, tylko tu, na murze, w hełmie na tym łbie, a pod nim, wiecie, pamiętne hasła, jak choćby: Duce ha sempre ragione... Maresciallo wywracał oczami w stronę tego muru jak w stronę ołtarza... i chodził wokół Uricy nasztroszony jak kogutek. Maltretował ją nawet, szkubiąc pasemka jej włosów. Powstrzymało go dopiero bardzo podejrzane zjawisko, którego obawiała się nie tylko nasza bohaterka, ale też niewidzialny wyszpiarski komitet podziemny... A zjawiskiem tym był SZMROD. Po nóżkach małego

konszpiratora ściekały kręte, brunatne sztrumyczki i spływały a to do buczków, a to na parkiet marescialla.

Porko Juda! O do licha! Lecz właściwie była to szczęśliwa okoliczność. Ta kagarela, Boże drogi, kto by to mógł przewidzieć? Bo maresciallo wyrzucił Uricę z poszterunku, że tak powim, na łeb, na szyję i kazał, żeby wróciła sama quanto prima, entro died minuti... beh, mezzora* z kubłem i ścierką umyć podłogę. Prawdę mówiąc, wysłał za nią karabiniera, żeby uważał na jej drzwi. Wszyscy troje opuścili poszterunek, zostawiając na podłodze brunatne, błyszczące ślady.

I oto, mój drogi, tak się wreszcie wydosztali z pułapki.

Mieli więcej szczęścia niż doświadczenia konszpiracyjnego, rozumu, odwagi, i tylko materiały zostały zniszczone albo utyłane w gównie i śmierdzące... a były ważne, hisztoryczne... o pierwszym posiedzeniu AVNOJ*, owszem, owszem!

Purtroppo*, nie nadawały się do opracowania, boby śmierdziało w pokoju, poddano je więc konszzerwacji, prano i szuszono w domu Uricy na balaturze*...

A później, mówią, nadciągnęła jak dzisiaj bura, rozniosła wszystko naokoło... pod nogi patrolu. I nie zorganizowano nic, tylko napaćkało się tę gwiazdę na cmentarzu... A co, szkoro nie ma dyrektywy! Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że Włosi nie łączyli małego zaszrańca z ulotkami.

Myśleli chyba, że ktoś ich użył zamiast papieru klozetowego. I oto teraz, nagle, po pięćdziesięciu latach, Dio bon, doppo un mezzo

secolo*... my obaj, pan i ja, przez tego zaszrańca tracimy tyle czasu, więcej, wszyscy czterej najadamy się wstydu u tej Uricy, a razem z nami pułkownik, jak to się mówi, ważny czynnik obronny! Co powiecie? Nic, tylko płakać. Tyle czasu! I na nic...

A nasz botanik, dziwne, nie pyta o represje. Owszem, były, jeszcze jakie! I to jest nasz bierny wkład, większy niż ta gwiazda na cmentarzu, jeżeli chcecie wiedzieć. Oczywiście potem były aresztowania, pogromy, wielu wywieziono na Wyspy Liparyjskie, chyba nawet i Uricę. A Mekanik przeszedł do legendy, wyrósł na bohatera. Jeszcze dziś jest bohaterem... od gąsiora na wino. Gardło ma wyschnięte jak trzy podziemne rzeki w Lice. Co prawda, to prawda. Ale wszystkim nam jest potrzebny, szkoda mówić. Mamy go tylko jednego!

Ciekawe, że nigdy go nie przewali Kagarela, naprawdę dziwne. Był to jednak, wiecie, niewłaściwy... jak to powiedzieć... niesłuszny wypadek w hisztorii podziemia... więc może ktoś tam zabronił, czymś zagroził... Skądinąd oni lubili konspiracyjne... te... pseudonimy. Nie byłoby przyjemnie, gdyby w naszej luksusowej księdze, w tym kunsztdruku*, znalazł się taki przydomek, na dobitkę w obcym języku...

Teraz Mekanik wejdzie jako najmłodszy do luksusowej hisztorii, nawet bez świadectwa Uricy. A pewnego dnia może i do księgi Guinnessa. Hej, najmłodszy konspirator na świecie! Jak na razie. Zasłużył na taką grubą... na wytwornym papierze... z fotografiami... anche bon*. A pieniądze? Pańskie i moje! Sempre la medesima

storia*. Dziękuję pięknie.

W kółko to samo. Usłyszał pan prawdę historyczną. So ist das, Geschichte. Ausflug*, jak to się mówi, w przeszłość.

- Ta ironia jest w ogóle nie na miejscu. Ten ton. Te niegodne, wulgarne kpiny - pułkownik obudził się i zwrócił do mnie, jakby Luganiga nie istniał. - Trzeba by się choć trochę wżyć...

- Ja się wżyłem, ile mogłem. Teraz niech pan się wżywa, proszę bardzo - odparł Luganiga, odwrócony w przeciwnym kierunku. - Chcielibyśmy usłyszeć pańską werżę.

- Nie mam żadnej werżzi. Prawdą jest to, co jest prawdą. Wszystko poza tym to ploty.

- Czy ulotki były obszarne? Pytam tylko o to.

- Nie wiem, nie ma dowodów - wycedził pułkownik przez ławkę, jakby do niewidocznych nasion pod liśćmi.

- W takim razie niech pan tu też, za przeproszeniem, nie szra! - Luganiga, prawdopodobnie poirytowany wyśmiewaniem jego wymowy, wstał, pożegnał się prędko i zamiast do miasta poszedł głębiej w las.

Oddalał się wyprostowany, wysoki, coraz mniej rzeczywisty, jak ten Chińczyk, który wszedł w obraz. Upstrzony złotymi płachetkami słońca, które ślizgały mu się po plecach, ginał z oczu w tym kamuflażu niby w mundurze ochronnym i wynurzał się wśród liści coraz przezroczystszy. Człowiek mógłby się zastanawiać, ile już upłynęło decydujących minut od czasu, gdy Luganiga wydmuchał swoją lufkę, i czy ktoś go tam nie znajdzie leżącego, jak sosna

alepska, w poprzek ścieżki. Nie byłoby to dziwne, skoro tak bluźnierczo ograniczył sobie życie do pół godziny. Ale on szedł, szedł, ginął nam z oczu i co pewien czas się wyłaniał, niby zaczarowany Kalifronte Barakovicia*, obrośnięty gałązkami i liśćmi.

- Idzie chyba na cmentarz - powiedział pułkownik. - Do żony. To, że się otruła, to pewnie także wina drogerii... nie tylko jego języka... Chodzi tam codziennie.

Zostałem w parku sam z pułkownikiem, dręczony ponownym przyływem jego domysłów na temat naczyń wieńcowych. Żeby się jakoś ratować, niechcący zrobiłem najgorsze.

Spytałem go:

- A pańska? Wysysa panu krew, hmm? Z powodu zwolnienia i przyjazdu na Wyspę...

- Że nie została generałową? Ech, przyjacielu, to nie takie proste.

- Dlaczego? Przecież pan, generalissimusie, był na progu...

- Ale go nie przekroczyłem. Utknąłem.

- O to pytam.

- Utknąłem i już. Nie ma rady.

- To nic. Następnym razem...

- Łatwo sobie żartować.

Spojrzałem na zegarek.

- Zaraz będzie dziennik! - Na szczęście znowu w porę zrezygnowałem z przyjemności, z jaką bym mu przekazał wiadomość o tym, co go dziś spotkało w stolicy.

Wstaliśmy bez pośpiechu, ja pierwszy, pomagając sobie laską, a

on za mną. Ach, prawie że się przyczepił. Poszliśmy ścieżką w stronę
mojego domu na skraju parku... Chyba się, u licha, nie wepchnie.
Powiniennem dzisiaj coś sobie ugotować...

- Kpi pan ze mnie. I słusznie. Zresztą, nieważne. Sam bym sobie
kpił... gdyby nie żona.

- A więc trafiłem. Ssie panu krew.

Pułkownik wydmuchał na mnie całą swoją gorycz i filozoficznie
wysylabizował:

- Niejestto takie proste. Niczego mi nie ssie, nie. To bym łatwiej
zniósł. Gdyby tylko chciała!

- Skoro tak, to pardon.

- Nie ssie... i ssie. Jeżeli spojrzeć głębiej. Sam sobie psuję krew,
przez nią.

Dojadło mi to filozofowanie, bo ja nie patrzę na niego głębiej,
nie obchodzi mnie, co kto komu ssie i czy ssie, czemu on się tu
ceregeli i kwęka - po prostu zmilczałem. I wtedy niespodziewanie
popłynęła tragikomiczna opowieść: - A wszystko przez jedno zdanie...
gdzie tam, u diabła, zdanie. Przez jedną literę, ach! Jedną jedyną.

Tym razem nie wytrzymałem. Z lekka nerwowo podjąłem:

- Jak to przez literę? Chyba przez serce! - Pomyślałem, że w
diagnozie coś mu źle napisano czy odczytano. - Mówił pan, że to
przez serce odszedł pan z tego wojska... za którym tak pan płacze.
Stuka... i staje. Tak pan powiedział?

- Ja płaczę? Ależ co pan!... Gdzie tam! Przez serce też, owszem.
Ale ta litera...

- Jaka litera?

- Pe.

- Proszę?

- Co pan ma prosić! Pe. Litera „p”.

— P”?

- Owszem, tak.

- A niech tam, pe, w porządku. To pan mnie tak?...

- Ale skąd, nie jesteśmy dziećmi. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Ja pana tak cenię... i wszystko, mój panie, a chciałbym powiedzieć: przyjacielu... Wszystko pan usłyszy, wiem, że pan nie łązi naokoło i nie gada... Mówię otwarcie: to problem z żoną. Tak, bracie, z żoną. Ooch!

- Aha. No tak. Ach, te kobiety! - teraz ja zacząłem jak on. - Kobiety, kobiety... Nie można powiedzieć, był pan i jeszcze pan jest przystojny. Poza tym mundur, tyle gwiazdek...

- Nie ma problemu z kobietami, ale...

- Ale „P”! Oto problem. Bo zaraz palnę całe słowo! Do diaska! Niech mi pan nie opowiada...

-... ale z moją, diabli nadali. Z moją żoną. To chciałem panu... jednak, że tak powiem, nie lubię wspomnień.

Zwłaszcza wspomnień o niej.

- To niech pan przestanie. Da pan spokój. Nie jestem ciekawy. Skoro to takie intymne, przestańmy się zagłębiać.

Chodźmy. - Spojrzałem na zegarek i przyspieszyłem kroku, myśląc, że nareszcie sobie pójdzie. Pułkownik jednak, całkowicie

gotowy do zwierzeń, w tej samej chwili też przyspieszył, jakbyśmy byli skuci jednymi kajdankami, i nachylając się do mnie, zaskomlał:

- Dostałbym ten przeklęty stopień przed emeryturą, na sto procent. To idzie automatycznie. W moim wypadku czas już był i miałem to w kieszeni, załatwione... gdyby nie ta nieszczęsna kobieta. Nie była nawet moją maszynistką... ani diabłem, ani nikim, w ogóle z innego wydziału. Ale tym razem tak się trafiło, przeznaczenie. Pisała dla mnie list obiegowy do wszystkich dowódców oddziałów. Ja, głupi, dyktowałem, ale nie sssprawdzałem, a może i spojrzałem przez ramię, kto wie. Chyba... do diabła... przynajmniej przeleciałem oczyma. Do dziś, zamorduj mnie, nie mogę sobie przypomnieć.

Nie zauważyłem błędu, przyznaję. Kiedy ma się zaufanie... jak i skąd zaufanie do jakiejś idiotki z operacyjnego?... Kto to może wiedzieć i zrozumieć?! A ona wystukała naprędce i puf! mi pod nos do podpisu. Jakby ją diabeł gonił... albo... jakby była agentką CIA. Licho wie...

A sprawa tak się przedstawiała: był u nas właśnie na inspekcji generał podpułkownik Kumdrak, niejaki Kumdrak z dowództwa rejonu wojskowego. Pan go nie może znać. To nazwisko nic panu nie mówi... Ale potwór, mój panie! Wy, cywile, nawet nie potraficie sobie wyobrazić... Potwór złośliwy. Karzeł zaszary. Goebbels! Spieszyłem się, pisałem list obiegowy, jak tylko zniknął. Dyktowałem to, jeszcze przejęty, z goryczą, rozumie pan: „Generał podpułkownik” ten a ten... w dupie mam funkcje, nie lubię nawet wymieniać jego nazwiska... - „generał, mówiąc o stanie w waszym oddziale...” - do każdego

oddziału piszesz, jakby właśnie on zawinił... - „mówiąc o stanie w waszym oddziale, a tym samym w całym naszym batalionie...”

- A ona chyba zamiast stanie napisała sranie?

- Ach skąd, gdyby o to chodziło!... Dyktowałem dalej: „mówiąc o stanie - tak napisała, dokładnie - strasznie się rozsierdził i myśleliśmy, że wszystkich nas, rany boskie, powystrzela”. Nie wiem, co mi się stało, że tak... nie po wojskowemu... niesłużbowo... na pewno nie był to odpowiedni słownik. Cóż, wytrącił mnie z równowagi ten wilkołak!

- Może to przez „rany boskie”? Bo i prawda, na co Bóg i Jego rany w koszarach?

- A nie, nie, chyba dosłownie tak nie dyktowałem, albo może trochę poprawiłem list później... nie chodziło o to.

Jestem dość zrównoważony, nawet gdy się rozzłoszczę...

Ale już nie wiem, po tych wszystkich komisjach lekarskich, śledztwach i falsyfikatach wszystko mi się pomieszało...

Opowiadam, jak pamiętam, niech pan na mnie nie dybie...

A może... u diabła... i palnąłem, dyktując, „rany boskie”, bo lepsze to niż żołnierska „k. nędza”... żeby nie być wulgarnym, przepraszam. Między nami mężczyznami to nie takie straszne, nie jesteśmy dziećmi, nieprawdaż? Ale na rany boskie, wie pan, inteligentna maszynistka musi sama... cenzurować... powiedzieć: przepraszam, towarzyszu pułkowniku... czy można by to jakoś jaśniej? Przecież bym się nie obraził, bo i o co? Człowiek się zapędzi... Ona tu po to jest. Idiotka! Do k. nędzy!

- Do nędzy czy nie nędzy, to nie po żołniersku, mój Generale, ale po prostacku i po chamsku. A o co w takim razie poszło? O to „wystrzelanie”? Niemożliwe.

- No, to też się przyczyniło... Przydało się im, jeszcze jak, żeby mnie oskarżyć i pogrążyć. Ale nie to było najważniejsze, mówiłem panu, poszło o jedną literę. Wszystko o jedną literę. O to „pe”. Zamiast rozsierdził, maszynistka napisała rozPierdził, i to przez duże P! W środku wyrazu. Rozumie pan? Co za diabli! Czegoś takiego nie było w historii świata! A ja to ładnie pięknie podpisałem... I wytłumacz teraz komukolwiek, a zwłaszcza wojskowym pałom, że to zwykły błąd literowy. Kto by uwierzył, skoro znajduje się tam jeszcze taki rodzynek, jak „powystrzela”. Że on nas swoim... nieprawdaż, wszystkich powystrzela. Widzi pan tę kombinatorykę? Toż mówię: tego nie było w historii całej cywilizacji. Nigdzie. A to wystrzelanie też wydaje mi się dziwne.

Ja nigdy w ten sposób, nawet w przybliżeniu... Nie mogę twierdzić, że jestem pewien, ale podejrzewam, że to też jej robota... Bardzo prawdopodobne, że wszystkiego nawarzyła. Gdyby nie to, mógłbym próbować jakoś udowodnić, że to z tym „pe” było przypadkowe. Ach, diabła bym mógł.

Jest to, człowieku, współczesna inkwizycja. Kto tego nie zaznał... Ależ zaznał każdy po trochu! A pan mówi, że płacę za wojskiem. Po tych wszystkich szykanach?! Mógłbym płakać nad końcem swojej kariery wojskowej, który... jak tu powiedzieć... równa się degradacji. Tylko nad tym. Ale już nie będę płakał. Niech ich

wszystkich... do tej chamskiej k. nędzy! Czy wie pan, człowieku, co to oznaczało? Gdybym był w amerykańskiej armii, z miejsca by mnie wylali!

- O, mój Boże, a czy pan kiedykolwiek wyjaśnił z nią... z tą maszyni...? Trzeba było zaraz ją przyszpilić. Niezwłocznie!

- Wyjaśnił? Ech, przyjacielu, to jest dopiero misterium... groza i piekło natury kobiecej. Pyta pan, czy wyjaśniłem...

Przyszpiliłem ją, a jakże, nie szpilką, ale... nie, nie będę tu świńtuszył. Ja się z tą maszynistką... ożeniłem! Nie przyznałbym się do tego nikomu poza panem... bo każdy by mnie wyśmiał. Ożeniłem się z nią, mój towarzyszu i przyjacielu.

I do dziś niczego się od niej nie dowiedziałem. Czy zrobiła to umyślnie, czy dla żartu... kretyńskiego, spontanicznie, jak by tu powiedzieć... niechcący, z głupoty? Może mnie wtedy nie cierpiała, może nie cierpi jeszcze dziś, jak ja Kumdraka?

Ale jak to z niej wydobyć... batem?! W wojsku nienawidzi się każdego przełożonego. Zwłaszcza w tej armii... Przez to nie mogłem awansować. Niech mi pan wierzy, tylko przez to, razem mnie tak załatwili. Na komisji zeznała: napisałam to, co mi towarzysz pułkownik dyktował, i nic poza tym.

O tym, że po skrobaniu pryszczatej twarzy u kosmetyczki musiała ją kryć w przygaszonym świetle, przy spuszczonej roletach, na komisji nie było oczywiście mowy. Bo czerwieniła się jak rak, policzki jej przypominały małpi tyłek.

Zwracałem uwagę: przecież wy, towarzyszeko, nie widzicie, co

piszecie. A ona powtarzała: światło mnie razi. I tak dalej... długo by można mówić. Do czego to podobne? Czy według pana jest to normalne?

- Zależy gdzie. Tu... gdzie żyjemy... I zależy dla kogo.

A na dobitkę w tym waszym wojsku...

Mówiąc to, myślałem, czy jego chęć bezwzględnego wytępienia „żywych istot” w moim ogrodzie... jego pozorne okrucieństwo... nie zrodziło się w tamtych czasach i nie karmi się podświadomą nienawiścią do tej osoby...

- Sama sobie ujęła, głupia kobieta. Nie ma teraz generalskich apanaży. Powiedział jej pan?

- Nie są to w końcu... niech je diabeł porwie! Jako pułkownik też jakoś... oczywiście nie tyle co generał... Prawdę mówiąc, wtedy, w tamtych czasach, jeszcze nic między nami nie było... Miała pietra, że jeżeli się przyzna, dostanie kopa. Wszystko rozumiem. Jeżeli stało się to przypadkiem... trudno. Dlaczego dziś mi nie powie? Przynajmniej teraz.

Dlaczego? Tak a tak, człowieku, pomyliłam się... - Odprowadziwszy mnie do samej furtki, o mało się nie rozplakał.

- Dlaczego mi nie powie, diabelna baba? Nigdy się nawet nie wykręcała, że błąd był przypadkowy. Milczy, dręczy mnie, i tyle. Milczy jak grób.

- Może już nie pamięta?

- Pamięta, pamięta, bo zaraz zaczęło się śledztwo, dopóki jeszcze sprawa była świeża. Jakby tylko na to czekali. Nazywali mnie

ironicznie „dalmatyńczyk”... Sam też myślałem... może, mówiłem sobie, rzeczywiście zapomniała, jak było. Ale nie, o nie, mój panie. Nie i nie! Niechby powiedziała: zapomniałam. Chociaż tyle. Zabij mnie, zapomniałam! Niechby coś skłamała. Kobiety to potrafią. A ona ani be, ani me...

Po tym przepytaniu, przemówieniu się i skonsultowaniu pułkownik utkwiał we mnie szeroko otwarte, przekrwione oczy, jakby oczekiwał rozwiązania zagadki swojego życia.

Szukając niby to kluczy po kieszeniach, rozglądałem się, jakby fruwały gdzieś koło mnie, byle tylko uniknąć spojrzenia tych nieruchomych wilczych oczu. Szczęściem, uczciwość zniknęła ze świata i także my na Wyspie musimy zamykać drzwi na klucz. Otwierając zamek, zastanawiałem się, czy mam go teraz, po tym wszystkim, tak po prostu „odstrzelić”, jak ten jego Kubrak czy Kumdrak, czy też może, na podobieństwo Jagona, wpuścić mu do ucha kroplę trujących podejrzeń. Nie zaprosiłem go, żeby się nie narażać na pokusę.

- Skoro milczy, nie ma czystego sumienia. Dlaczego chociaż nie powie, czemu nie chce mówić? - odezwałem się, byle móc spokojnie otworzyć drzwi.

- Ciągle milczy. A ja się zastanawiam, dlaczego mi nie zaserwuje choćby najpodlejszego kłamstwa.

Nie wiedząc już, co powiedzieć, wypaliłem: - Może ktoś ją zmanipulował?

- O, to, to! - pułkownik prawie podskoczył z radości.

- Nareszcie doszliśmy do sedna. Tak właśnie myślę. Cały czas. To pewne jak dwa a dwa jest cztery. Patrzcie no godzinę! Posłużyli się nią, żeby mnie załatwić. Że też nie miała wstydu i wyszła potem za „dalmatyńczyka”!

- Trudno. Dobrze, że chociaż nie macie dzieci. Ona teraz już na pewno żałuje. Milczy ze wstydu.

Zmierzył mnie surowym oficerskim spojrzeniem. Głębszym. Kto wie, jak bym się w tej chwili czuł, będąc w jej skórze?

- Żałuje... żałuje... - powiedział jakoś znacząco i złowieszczo. - Żałuje... jeszcze jak!

Przymknął wymięte powieki, jakby opuszczał płachtę zasmolonego namiotu. Tak, na ślepo, przeszedł może dziesięć kroków, po czym z półobrotu, jakoś uprzejmie i dyskretnie, abym nie pomyślał, że to się odnosi do mnie, pokazał mi znak słabą, nie za mocno zgiętą ręką; u nas mówi się o tym grzecznie „bośniacki herb”.

Już tego samego dnia wieczorem, bez zwykłego zapowiadania się syreną z cieśniny Otranto, ponownie przyplłynął do mnie mój Odstrzelony. Wpadł przez otwarte drzwi, stuknąwszy tylko po drodze w futrynę, zaczerwieniony i poruszony. Stanął na środku pokoju, wytrzeszczając na mnie szeroko otwarte oczy. Klepnął się dłońmi po biodrach, bez słowa, przelykając na sucho. Pomyślałem, że stało się coś strasznego, toteż nie śmiałem pytać. Rozstawiłem tylko palce, pokazałem dłonie i z podniesionymi brwiami czekałem.

- Urica jeszcze żyje... a partia? Już nieboszczka! - krzyknął znienacka, jak tonący.

- No, no, myślałem, że stało się jakieś nieszczęście, a pan przynosi dobrą nowinę. Nie musimy obydwóch grzebać tego samego dnia - powiedziałem na pocieszenie.

- Słyszał pan dzisiaj?! - pokazał na telewizor. - A to nie jest nieszczęście?

- To tylko parada. Jeszcze powróci nam do sił wasza... albo wam nasza sławna... - Okazałem wyrozumiałość, inaczej chętnie bym dodał „nie daj Boże”. - Może się to jeszcze odkręci. Chociaż... bracie, ona też nie wygląda najlepiej.

- Jednego dnia dwa takie... Tego samego dnia! To już... to już... za wiele!

- Ale czego? Rozczarowania? Upokorzenia? Klęski? Nie trzeba tak... generalissimusie. Jak się już zaczęło, sprawa potoczy się dalej.

- Nie... - nie mógł się zdecydować. - Nie, ale... - stracił wątek i rozmyślił się: - Nie ma tu już, przyjacielu, powrotu do sił.

- Dla Uricy nie ma, ją straciliśmy. A resztę przebolejemy łatwiej.

- Chodzi nie tylko o partię, ale o państwo. O Uricę mniejsza...

- To co, że nie ma powrotu? Dosyć się pan napłacił składek członkowskich. Niechże pan usiądzie... Ale już po wiadomościach. Możemy obejrzeć balet...

W telewizji żywo migają reklamy. Jakaś ślicznotka, figlarnie wywracając roześmianymi oczyma zza gęstwy rzęs, pytała: „Co? Nie możecie się zdecydować?” Mój zdesperowany pułkownik, jakby się poczuł przygwożdżony tym pytaniem, tylko machnął ręką:

- Niech pan to zgasi. Najważniejsze słyszałem. Posłuchamy

jeszcze o jedenastej.

Na ekranie zamigotał złotymi literami ozdobny tytuł: JEZIORO ŁABĘDZIE.

- Jeżeli nie zamierza pan oglądać tego... łabędziego śpiewu czy jak... to proszę, niech pan zgasi.

W ciszy, jaka zapadła, nalałem mu trochę domowej. Wypił do dna i głośno huknął, zionąc ogniem, po czym skrzywił się i zakaszłał.

- Grrrh... na ogół nie piję, a to mnie powaliło.

- Dlatego, że pan na ogół nie pije. Gdyby pan pił, nawet by tego nie poczuł. To na uspokojenie. Tylko sześćdziesiąt procent, jak brat bratu. Przepalanka. Jeszcze kropelkę? No, za zmarłych!

- Uuu... ale mocna! Ile, mówi pan, procent? Akurat!

Nie, nie mogę. I... chcę powiedzieć: nie chodzi o partię. To dla mnie nie ma znaczenia. Nawet nie nawiązałem z nimi kontaktu, wie pan, kiedy przeszedłem na emeryturę... jak wszyscy tchórze, którzy wcześniej nie mieli odwagi. Co robić. To masowe zjawisko. Nie wie pan? Za stary jestem na tę zabawę, składki, nagany, samokrytyka... - uderzał się w piersi. - Uh, ale mocna, jeszcze pali!

- Mocna, mocna. Mogła być, ale już nie pali i nie grzeje, mój dzielny przyjacielu. Ona też ma teraz hipokratesowe oblicze.

- Kto? Ja mówiłem o tej pana przepalance. A i ona, oczywiście, była mocna... Oficjalne pismo trzyma żona, na co jej to, nie wiem. Powinienem był je spalić. Dali mi przed wykluczeniem naganę, więc wykluczyłem się sam. Oni z powodu literówki, a ja, jak mamę kocham...

- Z przekonania.

- Nie chciałem przez to niczego powiedzieć... Wie pan, jak jest. To całe moje życie... Cała młodość...

- W takim razie z rozczarowania.

- Martwię się o kraj, wie pan? Partia to u nas, jeżeli spojrzeć głębiej, to samo co państwo. Partię rozbili. Jak teraz zniszczą państwo, będzie wojna.

- A bez państwa, podczas wojny, mogą się urwać oficerskie emerytury. To pana nie martwi?

- Chce pan powiedzieć, że szykanowany i zdemobilizowany oficer nie może być przypadkiem choć trochę patriotą?

Ech, mój panie... Ech, dziadku...

- Nie jestem dla pana dziadkiem, ale rówieśnikiem. W najlepszych latach... starości. Trochę Evity, trochę ginkga...

- Pan by Evitę, co? Tę od Perona?... Niestety, ktoś tam dobija się do drzwi. Ja otworzę, niech pan siedzi, idę.

To już druga dzisiaj obłąkana wizyta. Po kolei, jak w teatrze amatorskim. Jeden wszedł, druga przyszła. Sąsiadka mojego kuzyna i koleżki letniego wchodzi nagle, ale zaraz traci impet. Rozciera dłonie, strzepuje wilgotny szal, na którym połyskują drobne iskierki mżawki. Nie wie, co robić, jak tu zacząć, a na pewno bez powodu nie przybiegła, taka gruba, bądź co bądź wieczorem. Uśmiecha się zakłopotana, spoglądając spod oka na pułkownika, ale szybko poważnieje.

- Nic, nic, skoczyłam tylko zobaczyć... czy coś panu... jutro ze

sklepu... albo z targu... zobaczyć, jak pan się czuje... i spytać... bo może coś trzeba... gazety... Rano bura, teraz deszcz...

W tych dramatycznych momentach pułkownik zapomniał o swojej nauczonej i wypielegnowanej dyskrecji.

Chyba nawet nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie przybyłej, tym bardziej iż szybko zdążyłem ją przekonać, że może przy nim mówić o wszystkim, jakbyśmy byli sami.

Mam nadzieję, że nie wziął jej za jedną z tych lucertoli od sąsiadów... czy gdzieś z bliska... jak posądzał mnie dziś rano. Ani za Evitę.

Z niespokojnych i nieskładnych, pomieszanych słów zacząłem jednak pojmować, że w zamkniętym domu mojego kuzyna, którego ona pilnuje pod nieobecność właściciela, dzieje się coś, co by mogło być niestosowne dla cudzych uszu, zwłaszcza oficerskich.

- Wychodzą po jednym, nie razem, tylko tak po trochu.

- Kto wychodzi? Koty?

- Żarty pan sobie stroi. Ja tylko mówię, jak jest.

- Nie, to nie żarty. Kto może wychodzić z zamkniętego... per Dio, jeżeli pani dobrze zamknęła...

- Nie ja zamykałam, co pan! Ja tam nie zaglądam. Tylko pilnuję kluczy. Wie pan przecież, zamknął szjor Szeszerko.

Ja otwieram tylko, żeby pozamiatać i puścić trochę powietrza, kiedy on ma przyjechać...

Na te słowa mój przyjaciel znacząco odchrząknął; można by pomyśleć, że zabawia się jej kosztem.

- Znaczy, że źle zamknął? - pytałem.

- Nie wiem, jak zamknął. Bo wychodzą... jakby nie było zamknięte.

- Jeżeli nie pantagany*, to kto, ludzie?

- A jakże, no bo kto?

- Jeżeli wychodzą, to znaczy, że byli weszli?

- Nie widziałam, żeby ktoś wchodził, nie, nie. Tego nie mogę powiedzieć. A jak teraz wychodzą, nie wiem. Ale widziałam...

- A skąd wychodzą?

- Oni?

- Ci, którzy wychodzą.

- Ci? A, wychodzą z tej komory, tuż przy ziemi, i przez murek, ale nie razem, tylko po jednym. Po jednym. Jeden wychodzi, drugi czeka na podwórzu albo w komorze, ze swojego okna nie widzę. Czort wie, na co tak czeka!

- Jak długo czeka? Minutę? Pięć minut?

- Kto? Ten drugi?

- A ilu ich było?

- Wszystkich razem? Nie wiem, czy przyszłam na początek... kiedy zaczęli wychodzić. Bo to długo trwa. Zanim wyjdą wszyscy, jeden po drugim... Podeszłam do okna, jak usłyszałam szuranie... z tej tam komory z kominem, z gradelami*, co ma drzwi na podwórze. Z niej wychodzili. Jak stamtąd wychodzą, to ich widzę, potem, pod murem, już nie, i znowu ich widzę, kiedy się wespną na mur. Ale po nocy dobrze nie widać, nawet jak przechodzą pod feralem* na ulicy...

idąc już do domu.

- A pod feralem pani któregoś poznała?

- Kto, ja? Dobry Boże, o co pan pyta? Jakżebym nie poznała, znam każdego, kto przechodzi, tylko furesztów* nie zna nikt, nawet ci z turystycznego. Kto ich tam wie, skąd przyjeżdżają. Ale kto nie zna tych naszych!

- To byli tutejsi?

- A któż by inny? Fureszty by się nie wspinały. Ony tylko zaglądną przez drzwi. U mnie rośnie bugenwilla, na nią patrzą i żegnają się znakiem krzyża. Kiedy kwitnie. Teraz jeszcze nie, ale już wkrótce, wkrótce... Chodźmy, niech pan sam popatrzy.

Tu wtrącił się pułkownik, aby mi ułatwić sprawę, i z ostrożną, jako nieproszony, zapytał krótko: - A może byśmy się dowiedzieli, kogo pani rozpoznała?

- Kogo rozpoznałam?

- Byłoby to ważne - powiedział pułkownik.

- Niechże mnie szjor o to nie pyta. Nie, bo nie. Ja tylko przypadkiem... Obiecałam, że rzucę okiem... bo dom się może spalić. Prąd jest odłączony, a wewnątrz się świeci... Może się spalić cały dom! Co z tego, gdybym nawet rozpoznała, kiedy to wszystko długo trwa i może wylecieć z głowy.

- Mówi pani, że w domu pali się ogień? - spytałem.

- Właśnie to przyszedłam panu powiedzieć. Może nie ogień, jakieś małe światło, ale musiałam przyjść, żeby się nie stało coś gorszego.

- Światło?

- Widać z góry przez drzwi, ale co tam jest, nie wim. Nie prąd, bo prąd jest złączony... jak to się mówi... odłączony.

Przez szparę... czy jak to nazwać... wyłączony. Drzwi się najlepiej nie zamykają, trochę skrzypią. Dlatego usłyszałam, bo słyszałam ten skrzyp. Nie sterczę w oknie dzień i noc jak te nieroby... dlatego nie wim, kto wchodzi, a kto wychodzi, i nie zamierzam nikogo szpiegować. Nie ma po co tam chodzić, szjor Szeszerko zamknął drzwi przed wyjazdem i mnie dał klucze. Nic nie mówił, że ktoś tam może spacerować... i przeskakiwać murek, a jaki czort by spacerował, skoro klucze mam tylko ja! Teraz sama bym tam nie weszła, bo strach mnie bierze... może który z nich został, żeby się przespać... albo... nie daj Boże... wiadomo, jacy dziś są ludzie... i jakie kobiety.

- Były też kobiety?

- E, nie. Nie widziałam. Powiedziałabym, gdyby były.

Nie mogę gadać tego, czego nie ma.

I wyprawiłem się oczywiście o tej wieczornej porze, z mżawką, z pośpiechu bez laski i bez kurtki, bardziej ze względu na przyjaźń z Szeszerką niż na rzecz samą. Poprosiłem pułkownika, żeby poszedł z nami i pomógł, dodał nam odwagi, chociaż dyskretnie wspomniał, że nie nosi broni. No cóż, Bóg z panem, przyjacielu, broni nam nie trzeba, to akt solidarności, prewencji, żeby można ostrożnie powiadomić Szeszerkę, bez paniki, ostrzec go delikatnie...

- Milicji nie zawiadamiajcie, absolutnie. Ani pan, ani właściciel, ten pański... niech się nie zwraca do milicji, bardzo proszę. To moja

rada. Do żadnych służb... alarmowych... i tak dalej. Ani do Ubezpieczeń Croatia, jeżeli jest ubezpieczony od włamania. Słyszysz pan? Do nikogo!

Może trochę nie doceniłem naszego taktyka. Brawo!

Chce, byśmy ostrożnie milczeli, jest podejrzliwy w stosunku do legalnego podziemia politycznego, które w obliczu zachodzących wydarzeń i masowych ruchów konspiruje w ukryciu, aby jak najlepiej i najzbawienniejszy albo nawet mściwie wykorzystać resztkę swojej siły.

- Może pan coś wie? - spytałem pułkownika ot, tak sobie.

- Nic mi nie wiadomo.

- Ponimaju, pan tak intuicyjnie... No, szkoła to szkoła...

Jednak ta Akademia... Zna się System Wewnętrzny, a jakże.

Ale naród ma broń, nie pójdzie z nim łatwo.

- Już od czterech lat, wie pan, przyjacielu, systematycznie przesuwają wszystkich, którzy coś znaczą w Obronie Terytorialnej.

- Przesuwają?

- Zmieniają. Zwalniają ludzi.

- O! Tylko w Chorwacji czy?... A pana jeszcze nie zmienili? Pan jest dla nich wiarygodny?

- Może tak myślą...

- Po tym wszystkim?

- A może jeszcze nie zdążyli.

Troskliwa sąsiadka mojego przyjaciela Szeszerki spieszyła dobrych kilka kroków przed nami, w szerokim wełnianym szalu nałożonym na głowę, kołysząc się w tęgich biodrach niby „Barbara o

białych bokach... Barbara krzepka, szeroka”*. Prosta, długa, pusta uliczka, zalana w środku zimy jakby oleistą cieczą, odbijała światło latarni w lustrze wytartych kamiennych płyt. Wydawało się, że na murach wiszą podwójne świeczniki, że podwojone ferale umieszczono w idealnym szpalerze i że jest to północna inscenizacja jakiejś migotliwej lampionady*, bez muzyki, bez masek, a nawet bez zwyczajnie zaspanych przechodniów, niby na posępnej fotografii, którą by można podpisać Zwierciadło Duchowe, to jest początek i koniec żywota Naszego*.

- Ale kto by w taką noc konspirował? - westchnąłem z powątpiewaniem.

- Jeszcze nie noc, nie ma nawet ósmej. Siedzi się przed telewizorami...

- Kto? Spiskowcy? Konspiratorzy? Kto siedzi przed telewizorami? Karbonariusze? Bolszewicy?

- Jeszcze za wcześnie na konspirację. Właśnie dlatego zostali nakryci - powiedział rozsądnie pułkownik. - Chcieli wykorzystać porę Wiadomości, kiedy ulice są puste...

- Za wcześnie, tak? Za późno, za późno, towarzyszu rozbrojony. I na próżno. To nie konspiracja, ale na razie jeszcze legalne podziemie partyjne.

Pani Barbara - krzepka, szeroka - wprowadziła nas na małe ustronne podwórko i skoczyła po latarkę do swego domu naprzeciwko. Dotknąłem drzwi komory, a one zaskrzypiały i same się otworzyły. W zimnym wnętrzu niespokojnie migotało światelko

dwóch świeczek, które, zlepione z sobą i przyklejone na brzegu kamiennego kubła, rozlewały się na wszystkie strony. Ich dogorywanie zanieczyściło stojące powietrze i uruchamiało grę cieni na garbatych pobielonych ścianach.

Na masywnym dębowym stole, na którym w letnie wieczory sprawia się mięso na ruszt i gdzie szklanki czerwonego wina pozostawiły olimpijskie kółka, leżała tylko złożona kartka papieru; u dołu wyrysowano coś na kształt rakiety czy odrzutowca, typowe bazgroły, jakie mechanicznie nanoszą na papier rutynowi dyskutanci, gdy inni „zabierają głos”. Pułkownik spojrzął dyskretnie w mrok pod stołem, palcem wziął ewentualny wymaz z jego powierzchni, zlustrował ciemne kąty i zasmolony kamienny okap nad kuchnią, a pani „Barbara dobra, jak żółw powolna, szybka jak kobra”*, usiłowała towarzyszyć jego badawczemu spojrzeniu wątlmym snopkiem światła latarki.

- Nadal nic nie wiadomo - orzekł pułkownik. - Prostyucja? Noclegownia? Złodziejski barłóg? Konspiracja polityczna?... Tyle tu smrodu po papierosach... I popatrzcie, jakąś starą płachtą... wata szklaną czy co... zamaskowali okienko.

- Maską? Widzi pan jakąś maskę? O mój Boże!

- Nie, nie, droga pani - powiedziałem. - Okienko jest, mówiąc wojskowym językiem, zamaskowane... to znaczy zakryte... zasłonięte.

- Czym?! Woj... wojskowym?...

- Wetknie żołnierz język w okno... i maska znika.

Na widok naszych poważnych twarzy, podejrzliwie uniesionej

brwi pułkownika, moich oczu pełnych niepewności, pani Barbara nagle się otworzyła i trysnęło z niej jak z ulicznego hydrantu:

- Jestem pewna co do dwóch. Jeden był ten, co go nazywają Czerwonym Banem.

- O! - wyrwało się pułkownikowi w nieokreślonej tonacji.

- Drugi pracuje na wybrzeżu, w Państwie Księgowej...

- W Księgowości Państwowej... - wyrwał się zaciekawiony pułkownik. - Który to?

- Nie znam jego nazwiska... ale zdaje mi się, że to będzie jakiś Ive albo... tak, tak, Ive... Nazywają go Woboctego.

- Aha, aha... - pułkownik w zamyśleniu kiwał głową.

- Znam tego towarzysza.

- Woboctego! - podsumowałem i przeszły mnie ciarki; poczułem jednak lekką przyjemność. - Czegoś można się dowiedzieć. Dojść do jakiegoś wniosku. Niech pan odpuści noclegownię. Pozostaje złodziejska czerwona prostytutka, trzy w jednym.

- Ale okno jest uszczelnione może ze względu na zimno.

Kiedy się śpi...

- Albo ze względu na izolację dźwiękową. Kiedy się konferuje. Żeby nie było słychać.

- Żeby nie było słychać... Tak pan sądzi? Czerwony Ban...

- zamyślił się pułkownik.

- Oni by tu nie spali, gdzie tam! Nawet we śnie! - zaręczyła pani Barbara.

Ładnie powiedziane: nawet we śnie by nie spali. Co znaczy

czujność!

- A gdzie oni sypiają? - spytałem dla podtrzymania konwersacji.

- Jeden ma willę, jeszcze jaką! Ten Ban. Jak w Holiwudzie.

Drugi ma mieszkanie, luksusową żonę... tego, chciałam powiedzieć, luksusowe mieszkanie, wymalowaną żonę, dzieci...

A zdaje się, że trzeci byłby... ale nie jestem pewna...

- Nie zna pani nazwiska, a zna pani jego willę! Nieważne, kto jest trzeci - powiedziałem obłudnie. - Ale byłoby interesujące.

- Lepiej by było, gdybym milczała... Ten trzeci też ma wszystko, więcej niż trzeba... bo jest samotny. Mówi się, że grozi ludziom...

- Grozi? - ciągnąłem ją za język. - Komu grozi, jak mamę kocham?... - Ja wiem, o kim pani myśli. On jest stąd, tutejszy, ale tu nie mieszka, jest na służbie i tylko co pewien czas przyjeżdża do rodziny. Znam go. To człowiek mundurowy, nieprawdaż? Oficer...

- Ano ten! - zgodziła się pani Barbara. - Mnie on nie grozi, ale mówi się...

- To podpułkownik.

- Emisariusz - przypomniałem sobie o aktualnych podpalaczach krążących po kraju. - Przyjeżdża co pewien czas?

Ostatnio... takie ma zadanie.

- Mówi, że jeżeli pójdziemy głosować... to popłynie rzeka krwi. Wszyscy go się boją - I Woboctego? - zapytałem. - Czyżbyśmy nakryli spiskowców?

Pani Barbara splunęła w palce i zdusiła knoty. Umówiliśmy się, że jutro zatelefonuję do Szeszerki; dałem jej trochę pieniędzy

pożyczonych od pułkownika, żeby kupiła kłódkę.

Sporą część drogi powrotnej przeszliśmy w milczeniu, pułkownik bowiem najwyraźniej pogrążył się w swoich wewnętrznych sprzecznościach dialektycznych, w negacjach negacji, w rozdrapywaniu ran, bolesnych krost na duszy i w podobnych stanach krwotocznych. Trzymał, biedak, ręce na piersiach jak Napoleon, ale nie w pozie marszałka, tylko po to, by zatamować krwawienie zranionego serca. Przy narastającym wietrze mżawka coraz bardziej kłuła nasze stare rozpalone czoła i, prawdę mówiąc, nie widzieliśmy w tej chwili dalej od własnego nosa. Przed ścianą deszczu uniemożliwiająca swobodne rozumowanie obaj byliśmy spętani: jego rozdzierały niejasne wątpliwości, mgliste przeczucia, rozczarowanie, gniew... mnie z kolei strach i groza.

- Niech pan jeszcze na trochę do mnie wstąpi, napijemy się herbaty - powiedziałem.

- To już trzecia! Trzy takie sprawy jednego dnia, czy to normalne? Trzeba by się napić trucizny, a nie herbaty.

- Trzy przypadkowe dramaciki, towarzyszu pułkownika.

Wielki dramat, może tragedia, dopiero nastąpi.

- Jak on śmie powiedzieć: „popłynie rzeka krwi”?! Czy to dla pana zrozumiałe? I normalne?

- Tak, tak.

- Tak?

- Dla mnie nie. Kim ja jestem?

- Chodzi o zwykły ludzki rozum.

- Rozum nie stanowi tutaj kryterium. Raczej utrata rozumu i sztylet. To standard. Sytuacja obiektywna. Jest, jak jest. Oto jedyne kryterium. Byłoby niezwykle, gdyby było inaczej. A czy to normalne? Według jakich norm, według jakiej, czyjej logiki, etyki, według jakich kryteriów? Dla kogo?

Gdzie? Kiedy? On śmie, naturalnie, nawet musi. Musi tak powiedzieć ta szmata. Pan, dzięki Bogu, już nie musi. Ci, którzy muszą, niech piją truciznę.

- Jak to? Dlaczego? Jakim prawem?! W jakim celu? Niech mi pan to powie!

- Ja mam panu powiedzieć? Nie jestem przecież generałem ani komunistyczną nomenklaturą. Bo Partia, Państwo, Armia, jak pan stwierdził, to jedno, ta sama substancja, jak Trójca Święta. Wobec tego i wobec tego, co mam powiedzieć ja, potomek duchowy Madony Markantunowej... pardon, nie, nie, nie duchowy, ale klasowy, obywatelski, kulturalny dziedzic... Bo innego dziedzictwa, łącznie z materialnym, nie ma. Cóż ja mogę powiedzieć? Mogę tylko pobożnie i pokojowo zacytować ze swoich lektur stoicko sformułowaną, prostą prawdę Marksa: „Cel, który wymaga niesprawiedliwych środków, nie jest sprawiedliwym celem”. A ten podwładny podpułkownik to jedynie mały gnojek. Nasz podczłowiek. Właśnie tak. Mówi pan, tutejszy? Ma rodzinę?... Już od dawna uparcie i zbyt długo sądzimy, że tylko padamy ofiarą sąsiadów. Owszem, to także. Ale sami w sobie jesteśmy podnarodem. A rodziny mamy aż za wiele...

Niech go diabli!

- Obawiam się, że ten człowiek zdradza dalekosiężne zamiary sztabu generalnego - pułkownik również odnalazł w końcu swoją ludzką logikę.

Posadziłem go przy stole i poszedłem nastawić wodę na herbatę.

- Z tych trzech dramacików - mówiłem do niego z kuchni - nauczyliśmy się dzisiaj trzech następujących rzeczy. Po pierwsze, że wielkie fałszywe ideały, budząc smutek w zachwyconych nimi żywych stworzeniach, definitywnie umierają, ze wszystkimi hipokratesowymi symptomami; po drugie, że spirytyści, którzy tak długo zawracali ludziom głowę, ogłupiali ich i hipnotyzowali, haniebnie kompromitują się w telewizorze na oczach wszystkich, wyciągając z cylindra gówno zamiast królika; po trzecie, że upadek prowadzi ich do nowych przestępstw „z ludzką twarzą”, w których ludzie, naród, robotnicy, towarzysze oznaczają jedynie... rzekę krwi. Wszystko razem, pierwsze, drugie i trzecie, mówi nam, towańszcz moj, tylko jedno: że przyszedł KRES... Dla wielu, dla całych narodów, wybawienie. Dopóty dzban wodę nosi... Niech więc pan zadba o swoje wątłe serce i napije się pokrzepiającej ciepłej wody. Bo czym jest ta herbata, jeśli nie słabo zabarwioną wodą? Po deszczu, wietrze i smrodzie podziemnej konspiracji... oto kropelka rumu. Więc pijmy!

Niech pan pije i głośno cmoka, zasłużyliśmy na to, bez względu na stopień wojskowy, na stopnie i sceny z dzisiejszych pouczających dramacików.

Na dworze już się rozpadało, deszcz lał i bębnił w dachówki, w

blaszane okapy nad drzwiami i oknami, zagłuszając bezsensowną telewizyjną fonię razem z wizją, to przewijanie się, rozwijanie i obwijanie, kręcenie się w kółko, całą ruchomą spiralę ostrych kolorów, dźwięków, trzasków.

A my piliśmy i cmokali aż miło, ciągnęliśmy jak dwa bydłatka z koryta, jedno po staroświecku uprzejmiejsze, drugie dobrze nauczone grzeczności, dwa rozluźnione stare woły.

Ów rum z herbatą wielce dogadzał całej naszej otorynolaryngologii oraz duszom trzepoczącym się w jej ognisku czy też w punkcie ciężkości jej trójkąta... Co pewien czas rozlegał się grzmot; od sąsiedniego zbocza odbijało się groźne i gromkie, narastające echo, od którego dźwięczało szkło...

Jeszcze nie zapowiadano wieczornych wiadomości, ale niebo już przygotowało pełen ekspresji spektakl światło - dźwięk na koniec trzech dramatycznych epizodów, w oczekiwaniu na huczne zapadnięcie kurtyny pożarowej w stołecznym Centrum Sava.

W połowie filiżanki gospodin gienierał zaniósł się jakimś histerycznym śmiechem i wbrew swojej wielkiej kulturze omal sobie nie zachlapał skromnej cywilnej kurtki.

- Kiedyś myślałem, że z róży herbacianej parzy się herbatę. Nie wiedziałem, czy pali się w piecu herbacianym miałem. Niech pan sobie wyobrazi, że już w wojsku, ale młody, głupi, nieznający jeszcze świata, odwiedziłem ciotkę w Wojwodinie, a ciotka mówi: o, herbaciany gość, siadaj, proszę.

Jak to herbaciany? pytam. Ano tak, zaraz ci zaprezentuję mój

herbaciany serwis... O dobry Boże!

- Potem, jak myślę, już pan tak nie chwalił Boga... tam w wojsku? Chyba tylko u ciotki?

- Owszem, wzywałem nawet wszystkich świętych... w koszarach i na zebraniach partyjnych, wszędzie... Skąd jakiś przekłety herbaciany serwis?

- Czemu nie! Można zrobić cały taki serwis, złotem malowany, prześliczne filiżanki i talerzyki do kompletu... Dziś w każdym przyzwoitszym mieszkaniu znowu jest salon herbaciany, tak, tak. A kiedy byłem mały, doktor mówił: wypijesz, mama zaraz ci przyniesie herbacianą łyżeczkę. Nie rozumiałem, jak można wypić coś, co nawet nie jest do jedzenia i nie da się tego ugryźć... Dobrze, że nie powiedział

„połkniesz”... Cóż, z czasem człowiek zaczyna rozumieć, że ludzie, a zwłaszcza doktorzy, plotą głupstwa... I nawet już go to nie śmiesz.

- Wiem, że to głupie, ale napadł mnie jakiś szalony śmiech, przypomniałem sobie herbacianego gościa. Nie jest to takie śmieszne, wiem... ale naraz coś, co mnie gnębi, prześladowuje... załaskotało mnie w sercu, które skacze!

- No tak. Rozumiem, przyjacielu, tylko tak dalej... to panu ulży. A tam tymczasem zapada kurtyna... Nie można powiedzieć, że dzień był dla nas lekki.

Tak doczekaliśmy się upragnionej chwili. Podzieliliśmy role, aby nam nic nie umknęło: pułkownik bardzo uważnie słucha, ja,

uśmiechając się w duchu, patrzę.

Ekran drga, jako że między anteną a stacją przekaźnikową w górach Uczka rozrosły się nasze leśne skarby, wśród których jeszcze dziś rano generalissimus botanik szukał nasion sosny. Obraz sali w Centrum Sava pięknie jednak błyszczy w uroczystym oświetleniu, a może też w werbalnym omroczeniu, jakby to była jubileuszowa proklamacja albo czyjaś degradacja. Kamera niemal zatacza się, na pół pijana z euforii, nad głowami jakby zasadzonymi na grządkach, lecz nagle staje, głosy milkną. Kamera zbliża obraz, jacyś dobrze ubrani delegaci grupkami, ociężale podnoszą się z miejsc. Nagle staje się oczywiste, że nie są to tylko równo uszeregowane głowy, że ciężkie cielska toczą się niby stado morsów, obciągając marynarki z lustrynty połyskujące jak mokre futra. Powoli, niezdecydowanie opuszczają salę, krok za krokiem; odwracając wzrok od stołu prezydialnego, tłoczą się i uchodzą do bocznego wyjścia jak do morza.

Filmowana z góry, z jakiejś galerii, bogato oświetlona sala kongresowa przypomina bezgłośnie opróżniający się zlew, z którego odpływa zawartość, pozostawiając jedynie osad, a zamiast wirującego wsysania cieczy Generał i ja siorbiemy słodki i pachnący ciepły napój, synchronizując ów miłszy jednak dźwięk z niemym obrazem, psutym przez moje złośliwe spojrzenie i jąkanie się skonsternowanego reportera. Towarzysze siedzący za długim stołem porozumiewają się szeptem, zwracając głowy to w lewo, to w prawo, rozkładają białe rączki, jakby mieli udzielić wspólnego błogosławieństwa.

Przewodniczący wstaje i pochyla się głęboko nad licznymi mikrofonami, wydaje się, że się z nimi wyczuje, a może któryś, jeśli jest herbaciany, nawet i przegryzie. „Przerwa! Pół godziny!” - woła. To już i ja słyszę.

- Pół godziny przerwy - powtarza, wzdychając, uważny słuchacz, moje żywe ucho, i przyjmuje wyczekującą pozę.

- Oby się tylko nie przeciągnęło! - I nagle się podrywa. - Jakie tam pół godziny, człowiecze, widzę, że tu nawet kalendarz stuletni nie wystarczy. To nie przerwa, ale koniec. Już po wszystkim. Cześć!

- Wypijmy jeszcze po filiżance herbaty. Dopóki trwa ta przerwa. Z herbacianego serwisu!

- Nie będę czekał. Nie będę więcej pił, dziękuję. Do końca tej przerwy moglibyśmy, pan i ja, wypić Sawę od samych źródeł do tego centrum w Belgradzie... Idę do domu, wysikać się, za przeproszeniem. Prostata, drogi przyjacielu.

Zwróciłem mu pieniądze pożyczone na kłódkę dla Szeszerki. Wyszedł z gołą głową, nie oglądając się na deszcz i może nawet nie czując zimnych strużek spływających po skroniach, w których, przypuszczam, tętniła wzburzona krew. Jego chore serce zniosło dzisiaj ciężką próbę. Jego uśpiony i odpychany rozum przeszedł jedyny w swoim rodzaju sprawdzian.

Z powodu cichej, wzbierającej, od dawna nieprzeżywanej radości w sercu zdawało mi się, że wilgotna wiosna rozkwitła piękniej niż kiedykolwiek. Pewnego marcowego dnia, późnym popołudniem, niebo znowu się jednak zachmurzyło jak przed dwoma miesiącami,

kiedy płakało nad rozsypką w Centrum Sava. Ulewa zaskoczyła nas podczas fachowej rozmowy o moim miniaturowym ogródku warzywnym, o tej mojej „roli”, o tolerancji i nietolerancji poszczególnych rodzajów roślin, kiedy to mój Generał radził, jaki mam zastosować płodozmian, żeby sąsiednie rośliny ładnie rosły. Ale spadające dokoła duże krople przepędziły nas do domu.

Podgrzewając garnek porannej herbaty, mamrotałem do stojącego za moimi plecami pułkownika, który usiłował wtrącić coś o korzyściach z czosnku posadzonego obok innych roślin, jako że chroni on przed mszycami. Marudziłem, iż przeszkadza mi nie tyle to, że muszę co dzień coś sobie gotować, ile to, że stojąc przy kuchence, ciągle od nowa czytam nalepkę na jej pokrywie: „Uwaga! Wyrób ten jest przystosowany do płynnego gazu (PROPANBUTAN) pod ciśnieniem 300 mm VS (2942 Pa). Przy przejściu na gaz miejski albo mieszanek gazpowietrze trzeba wymienić dysze oraz sprawdzić i uregulować płomień według specjalnych wskazówek. Powinny to wykonać osoby upoważnione”. A kiedy przeczytam, znowu zaczynam od początku: „Uwaga! Wyrób ten jest przystosowany...” Kiedyś wykypiał mi przez to cały ryż, chociaż dyżurowałem, stojąc nieruchomo, oparty brzuchem o kuchenkę.

Pułkownik, pragnąc spokojnie kontynuować swoje botanicznorolnicze nauki, tylko oparł się ręką o moje ramię, nachylił się bokiem nad kuchenką i jednym pociągnięciem zerwał nalepkę z instrukcją.

- No - powiedział - załatwione.

Oślupiałem, jak ów głupol, przed którego nosem Kolumb walnął jajkiem w stół.

- Jak to załatwione? A kuchenka? Nie jest już nowa, na siedem ran boskich! Niech mi pan teraz łaskawie zdrapie ten przekłety klej z emalii!

Prawie się na niego rozzłościłem. Ale zaraz, wstydząc się przed sobą i przed nim tej bezsensownej gry, w zakłopotaniu nalałem każdemu z nas tyle rumu, że herbata już się w filiżankach nie zmieściła.

Ja, stary osioł, marzę o tym, by zmienić świat, odwrócić bieg historii, zawsze tęsknię do wolności, chciałbym radośnie władać swoim rozumem i językiem... a co tu wygaduję, jak myślę? Ach, jakżebym pragnął wyjść z tej wyliniałej skóry! Albo chociaż „wymienić dysze”. I sprawdzić płomień.

Pułkownik może by powiedział, że chciałbym być tym uwodzicielskim jaszczurem, który się oblizuje, siedząc na swojej samiczce. A może i nie. W końcu jest on jednak zadowolony z siebie. Dla niego wszystko zostało „załatwione”.

Najpierw śmialiśmy się z tego jak głupi. Potem, wsłuchani w deszcz, zamilkliśmy jak nieobecni. Popijaliśmy herbatę. Chociaż wszystko jest załatwione, jego gnębi nieuleczalny smutek. I nie ma ochoty na persyflaże.

Kiedy ulewa trochę osłabła, podniósł się i chciał iść, ale nie mogłem go puścić w tak ponurym nastroju w mokrą, bezsenną noc. Wydawało mi się, że wydarzenia, które tak niespodziewanie rozegrały

się zimą, wytrąciły go z równowagi. Jeszcze teraz jest o wiele bardziej przygnębiony, niż się przyznaje, a może sobie tego nie uświadamia. Zacząłem więc po staremu, nie wiadomo który już raz, niezgrabnie zagadywać, żeby go trochę rozczmuchać i zająć moimi ignoranckimi dylemacikami. Chciałem odwrócić jego uwagę, choćby w wiadomy samouzdrawicielskoironiczny sposób.

- Wie pan, mój smutny kolego... jak tu powiedzieć... Mówię o tym niechętnie, ponieważ boję się, że sam jestem od tego bardzo daleki... a pan jest wskutek swojego zaangażowania przygnębiony. Kiedy ponad miesiąc temu... nie, już całe dwa miesiące... patrzyliśmy razem na te pomyje w Centrum Sava, gdzie odbywało się pranie mózgow i w ogóle... no, wie pan, to opróżnianie... ten wyciek z centrum... uchodzenie z sali kongresowej... pan wtedy wspomniał o swojej prostacie... A słuchając teraz tej ulewy, tak jakoś pomyślałem o luce w moim wykształceniu, o tej, że tak powiem, białej plamie... o swoich dylematach.

- Uff! Coś jeszcze nie jest dla pana jasne?

I tu mnie jakby... nakrył!

- Nie, nie, nie ma o tym mowy. Jasne jest dla mnie wszystko spoza znanych dziedzin wiedzy i poznania. Ale niektóre te ściśle... głupoty...

- Co pan znowu wygrzebał? Jakie ściśle dylematy?

- No cóż, wiedza empiryczna... zwyczajne sprawy. Najzwyczajniejsze. Co się tyczy, przypuśćmy, wody... wyciekania... albo kapania. Pamięta pan to łacińskie, z gimnazjum: kropla drąży

kamień. KaDeKa. Mówiło się Gutta cavat lapidem. Po łacinie brzmi to ładniej.

- Nie wiem, ale powszechnie wiadomo, że go drąży, jeszcze jak, wierci w nim dziury.

- Na Akademii miał pan na pewno wykłady z fizyki?

- Naturalnie, oczywiście. Fizyka, człowieku, to wszystko.

Wszystko! Od... od... do... do... do tego, co tutaj!

- A stalagmity, stalaktyty... te jaskiniowe narośle? Skąd one się biorą? Przecież chyba należą do chemii? Drąży czy nadbudowuje... no, woda? Nie mogę przez to spać. Był pan kiedyś w jaskini? Kropla po kropli... i się buduje. Krople budują. W dawnych więzieniach podobno kapały skazańcowi na głowę, dopóki nie przebiły mu ciemienia, słyszał pan o tym okrucieństwie? A dlaczego mu nie zbudowały rogu?

Stalagmitu. Ale drążyły dziurę... Można od tego zwariować.

Co właściwie ta woda robi, diabli ją wzięli! Ta kropla. Drąży czy buduje? Robi kukupkę czy tylko sisisika? Kto ją przekropił z fizyki na chemię? Z niszczyciela w budowniczego?

Czemu przynajmniej nie działa jednocześnie w obu kierunkach? Żeby stalagmit był pusty jak róg?

Pułkownik przestępował z nogi na nogę, jakby liczył krople kapiące ze swego ukrytego stalaktytu, nie mogąc ich zatrzymać. Podśmiewał się jednak nadal z półotwartymi ustami, wyczuwając może, iż wszystko to tylko gadanie głupiego, ale też nie znając odpowiedzi. Nie był tego całkiem pewny, więc jakby kombinował,

czy jednak nie mówię poniekąd poważnie.

- No tak - powiedział - dziwny to przypadek... co nie znaczy, że jakoś nie da się go wyjaśnić. Musi istnieć taka możliwość. Bo jedno i drugie dzieje się naprawdę. Musi istnieć... w tym wypadku musi być wyjaśnienie.

- W tym wypadku? A we wszystkich innych? To przecież nie jedyny taki wypadek. Fizyka kłóci się tutaj z chemią.

Ale można by znaleźć iks gorszych wypadków. Weźmy choćby ten z mojej matury. Nie wiem, czy chodziło o optykę, czy o jakąś inną gałąź czy gałązkę... nawet na to nie umiałbym odpowiedzieć, gdyby mnie ktoś zapytał... A skądinąd wiem, mój kochany, że fizyka jest wszystkim. Oczywiście. Mój stary profesor Ganza zwykł był podśpiewywać przez nos: „Fizyka to potęga, fizyka rządzi wszędzie. Kto się fizyki nie uczy, ten na pewno nie przejdzie!” Ja jednak przeszedłem, chociaż niewiele się uczyłem...

Egzamin dojrzałości też zdałem gładko, chociaż nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, czy zwykła, cienka i przezroczysta szyba odbija światło tylko częściowo, czy w całości. Palnąłem zaraz: „Częściowo!” Ale gdzie tam, figa. Profesor pokręcił głową: „W całości”. Zdumiony, zagapiłem się na niego, a on spytał: „Pan się dziwi?” (w wyższych klasach profesorowie nawet do nieuków zwracali się per pan, nie wiem, jak jest dzisiaj). „Najwyraźniej pan się dziwi, skoro tak się pan gapi w okno...” A ja na to śmiało, jak ci, którzy są pewni swojej niewiedzy: „Owszem, panie profesorze, dziwię się”. „Jest jednak tak, jak ja mówię - kiwał głową, niby to

zmartwiony, a jego pióro krążyło wokół mojego nazwiska w dzienniku. - W całości. Szyba odbija wszystko światło.

Dlaczego wydaje się to panu takie niezwykle? Przecież to jasne.” Po tych słowach już mniej pewnie wytłumaczyłem się półgłosem: „Myślę, że jeżeli pan ma rację... gdyby szyba odbijała wszystko światło, to w tej klasie musiałyby być całkiem ciemno”. „Jak to?” - spytał, może trochę kpiąco.

„Chciałem powiedzieć, że światło zostałoby za oknem... i nie byłoby... tutaj.” Wiadomo, jak rozumują uczniowie.

Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że jednak sensownie tego nie wyjaśnił, lub też ja jestem głupawy, o czym świadczą także inne rzeczy, no, może nie wszystkie... Powiedział coś takiego, że światło to nie wróbel ani gołąb i że to jest fizyka, a nie filozofia. Zakończył egzamin i postawił mi bardzo dobrze. Jakbym zdawał z filozofii, po której skaczą same wróble i gołębie. Jeszcze dziś nie wiem, jak to jest naprawdę i dlaczego fizyka kłóci się z filozofią tak samo, jak z chemią.

Czy ta wasza fizyka ze wszystkim się kłóci, człowieku?

Z takim zamętem w głowie przechodziłem z darowanej klasy do klasy, aż w końcu dostałem w prezencie maturę, nie przyswoiwszy sobie, jak mówi się w pedagogice, podstawowych pojęć. Teraz też nie potrafię powiedzieć, jak to jest z tym światłem, chociaż mam tu podobne okno, trochę zmętniałe od pyłu morskiego... Patrzą ja... patrzę przez tę szybę... jedno widzę... drugie sobie „przyswoiłem”, odróżniam wróbla od promienia światła, ale nie rozumiem, skąd się

bierze światło w tym pokoju... O, widzi pan, jak nas oświetliła błyskawica? Santa Barbara!...

- Ach, Boże, robi się niebezpiecznie! Może kropnąć w tę pańską jodłę... jest taka wysoka...

- E, nie kropnie. Na dachu sąsiada stoi mały Beniamin.

Zamknął usta, ale oczami uśmiechał się badawczo.

- Anioł Stróż?... Ksiądz błogosławił jodłę na Trzech Króli?

- Nie, nie - powiadam. - To pręt Franklina. Piorunochron.

- Aha. W takim razie trzepnie pańskiego sąsiada. Nieźle grzmoci, aż się wszystko trzęsie!

- Moja antena jest wprawdzie o wiele wyższa, ale nie szkodzi, w nas nie trzepnie... I krótko mówiąc - wróciłem jednak do mojej opowieści - mam bardzo dobre świadectwo za to, co sobie przyswoiłem, a czego nie rozumiem... za tę moją obłudną dwoistość... I mam swoje rozterki, którymi mnie zatruwa tyle naturalnych kontro... ro...

-...wersji.

-...ach, zatkało mnie... I krew mi psują różne inne niezgłębione w szkole kontrowersyjne dziedziny. O, pusta głowo, poplątanie z pomieszaniem. Mózg... który się mieści w napastrku.

- Wcale nie. Dlaczego? Może pan sobie tylko nie radzi ze zjawiskami naturalnymi. Widzę, że zwykła ulewa potrafi pana zaskoczyć. Dobrze panu powiedział ten profesor. Natura to jedno, a filozofia - drugie.

- Jaka tam filozofia! Jakie jedno - drugie! Ja nawet nie wiem,

czy Hegel ma na imię Kant, czy Kant ma na imię Hegel, co jest imieniem, a co nazwiskiem... Słyszałem tylko przypadkiem, że ten dwulicowiec pracował nad czymś, co się nazywa prywatą... a jest to coś takiego jak brak albo pozbawienie jakiejś cechy, odebranie istotności... coś w tym rodzaju. Na przykład: promień światła szerzy ciemność.

Krótko mówiąc: nonsens... Ale ja też doszedłem do czegoś takiego. Niech mi pan powie: jak się rozchodzi dźwięk?

- Dźwięk? Jak się rozchodzi? Dźwięk, na Boga, rozchodzi się równomiernie we wszystkich kierunkach. Chyba pan to wie. Huknie działo... i dźwięk się rozchodzi jak narastająca kula. Nie kula armatnia... ta już jest daleko. Chodzi o kulę wyobrażoną... w przestrzeni. Tak się też rysuje, może pan widział, fale radiowe.

- Owszem, wiem, to na nieszczęście jakoś jeszcze zrozumiałem. I w związku z tym teraz się pytam: dlaczego, kiedy wystrzeli działo, nie rozchodzi się wokół niego taka sama kula ciemności?

- Dlaczego ciemności? Skąd taka myśl? Rozchodzi się kula dźwięku. Wyobrażona, nieprawdaż... bo w rzeczywistości to tylko przestrzeń.

- Niech pan posłucha: dlaczego dźwięk, który jest drganiem materialnych cząsteczek powietrza, roznosi te drgania coraz dalej? Dlaczego skręca nawet pod wpływem wiatru, czyli ruchu otaczającego powietrza, który może tę kulę deformować, choćby nie wiem jak była wyobrażona? Tymczasem takie samo materialne zderzenie z inną materią, z promieniami światła, nawet o charakterze eksplozji, nie

rozprasza ich i nie odkształca. Bo gdyby je, jak Bóg przykazał, rozpraszało, wokół armaty rozchodziłaby się kula czarnej ciemności. A może jest z tym znowu tak jak z moją jasną klasą w gimnazjum... kto to wie. Ja, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Pojęcia też nie mam, co mu jeszcze nagadałem, dość że zabrzmiało mi to prawie naukowo. A chyba i pułkownikowi.

- Światło jest znacznie szybsze - powiedział w końcu - więc pewnie zaraz wraca do tej dziury wokół lufy, kiedy dźwięk je stamtąd wypchnie... Dzieje się to w mgnieniu oka, bo światło jest takie szybkie... Nie wiem, chyba jakoś tak. Poza tym światło jednak się załamuje... promień nie jest nieruchomy... widzi pan, jak strasznie załamuje się w wodzie.

- Zostawmy lepiej tę wodę, zostawmy!

W tym momencie mój Generał znowu zaczął przestępować z nogi na nogę. W zapale dysputy zdążyłem zapomnieć o tym nieszczęsnym, dybiącym na nas gruczole. Lecz dalej uparcie go prowokowałem, chcąc wydusić z niego wiedzę z zeszytów szkolnych, masochistycznie wyolbrzymiając własną niewiedzę i nie umiając poskromić swego werbalistycznego kartezjanizmu. Usiłowałem przy tym uniknąć skojarzeń z prowokacyjną, irytującą wodą.

- Pozostańmy w powietrzu - ciągnąłem. - Wiem, że łamie się nawet wiosło... tam gdzie pan mówił... a w powietrzu... gwiazdy migoczą, naturalnie... jak wiadomo, nie wskutek wiatru, ale rozmaitej gęstości powietrza w różnych warstwach. Nie dlatego, że tam w górze wieją wiatry. Notabene, podobnie jest z tym wiosłem... Nie dlatego, że

woda płynie.

No dobrze, ale ja, ignorant, pytam właśnie o to: dlaczego promienie nie załamują się wskutek ruchu powietrza albo i wody. (Znowu ja, głupi, o tej wodzie!) Mogą się raz załamać wskutek większej gęstości cieczy, ale nie dlatego, że ta... rzeka płynie. Rzeka nie zabiera ich z sobą...

Chodzi mi o to: dlaczego jedna masa nie reaguje na mechaniczny ruch drugiej i zderzenie z nią. Tak jak bywa z innymi rzeczami w podobnych okolicznościach. Wiem, że wiatr nie przesunie góry, ale zakołysze wysokościowcem czy wieżą Eiffla. Dlaczego ten głupi promień nie skręci pod wpływem wiatru, jak skręcają fale dźwiękowe, drogi panie?

Wiatr przecież łomocze wszystkim, z czym się tylko zetknie, z czym się zderzy. Zrywa, na Boga, dachy! A jeżeli wiatr nie ma siły, czemu nie może tego zrobić pańska haubica? Jak wieje bura, w ogóle nie słyszę bicia zegara miejskiego, jak wieje jugo*, słyszę go nawet, gdy pralka pracuje. A w dodatku jestem na pół głuchy... Ledwie słyszę dzwony na wieży, gdy wieje tramontana*. Ale żaden wiatr nie odbiera mi słońca w ogrodzie...

I co pan powie? Dlaczego jedynie światło jest wyjątkiem?

Dlaczego promienie słoneczne nie drgają na wietrze jak druty telefoniczne albo jak rozwiana ośla grzywa? Przykładał pan ucho do słupów telefonicznych? No tak, a przecież, widzi pan, wiemy, że dźwięk częściowo przeskakuje różne przeszkody, jak morze przy wiejącym jugo przeskakuje falochrony... Promień światła przeciwnie:

z najsilniejszego reflektora uderzy w chmurę, i stop! Ani milimetra dalej.

A ta jakaś atrakcja na wystawach sklepów elektrycznych, wie pan, to śmigielko, które ledwie się obraca pod uderzeniem promienia świetlnego, jest po prostu śmiechu warte.

Niczego nie dowodzi.

Czemu promień nie rozpędzi chmury, którą rozwiewa najsłabszy podmuch wiatru? Hm?... Taki silny snop reflektora? Zagęszczony, kłujący promień lasera? On też nie.

Pięknie! Uderza w okna gimnazjum na Suszaku południowe słońce i odbija się od cienkiego szkła bezsilnie jak od muru.

Gdyby huknęło działo, szyby obróciłyby się w pył. A Słońce jest silniejsze od Grubej Berty. Nic z tego. Promień załamuje się, odbija, i koniec. Szczęściem zachowuje się tak tylko na Suszaku, a tutaj mam dosyć światła. I kto to wszystko rozszyfruje, skoro wy, biolodzy, botanicy i uczeni wojskowi, nie potraficie...

No widzi pan, tym się od dawna gryzę. Już od matury.

Czasem wydaje mi się, że jej nie zdałem. I że powinienem pojechać gdzie indziej, zdawać maturę tam, gdzie są przynajmniej okna otwarte i nie ma tych wątpliwości. Gdzie to zjawisko nie jest widoczne ani dla profesora, ani dla mnie.

Ach, mój Boże, światło jest materialne czy nie?

- Myślę, że jest elektromagnetyczne. Ale ja nie potrafię panu pomóc. Cząsteczki elektromagnetyczne to także materia, ma pan rację. Istnieje chyba jakiś przepis... jakieś prawo... mianowicie

prawidłowość... nie wiem, regulacja tego wszystkiego w naturze.

Zadowolony się w ten sposób naszą wspaniałą niewiedzą, powiedziałem niby to zrezygnowany: - No dobrze, trzeba będzie spytać fizyków, jeżeli tacy jeszcze istnieją. Ale wie pan, co my właściwie mamy z tego, że tylko niektórzy fizycy znają niektóre odpowiedzi albo myślą, że je znają, i wszystko to chcą wyjaśniać w niezrozumiały sposób... a nie znamy tych odpowiedzi my, którzy stanowimy większość i których interesuje to może bardziej niż ich? Jesteśmy tak samo spragnieni prawdy.

W podręcznikach nie ma odpowiedzi... chyba że zlepiły mi się kartki i przeoczyłem. Co nam z tego, że wiemy, co to są kwazary i czarne dziury, skoro nie możemy pojąć, dlaczego kropelka wody zachowuje się tak czy inaczej, nienaukowo i kapryśnie?

No, a co powiedzieć o tym... Dlaczego w ogóle mówimy „słodka woda”... skoro jest ona bez smaku? Po prostu mówimy tak, i tyle. My i lepiej od nas wykształceni. Nie mówimy „słone morze”, bo morze ma swoją nazwę, owszem, ale i woda, na Boga, ma swoją nazwę. Niemcy, jak wiadomo, piszą te słowa dużą literą. Logiczne. My też powinniśmy.

Nazwy wystarczająco odróżniają wodę i morze. A rozmaite panienki i pedały mówią, ach, morską wodą. Nie powiedzą „słona morską wodą” i przez nich musimy mówić „słodka woda”. Bo nie możemy przecież powiedzieć „wodna woda”.

Te panienki itepe nie mogą też usłyszeć „woda bez smaku”, czyli „mdła”. Bo jak by to, proszę pana, zabrzmiało? Jak tu potem pić

taką wodę? Albo chociaż pocałować panienkę w jakąś niesmaczną strefę erogenną pod prysznicem? Dlatego musieliśmy siebie przekonać, że to jest słodkie. A skoro już raz pójdzie się na ustępstwo, potem nie ma to końca.

W niektórych krajach, w tym naturalnie u nas, mówi się „suche wino”. Żeby zwilżyć gardło, żeby napić duszę... poproszę o kieliszek suchego! A jak to mówiliśmy? Herbaciany gość. I kto tu ma hopla, jak Bóg na niebie?!

W duchu przyznaję: często sam z sobą prowadzę takie bardziej terapeutyczne niż teoretyczne rozmowy samolecznicze. Udzielam sobie w ten sposób małej uspokajającej pomocy podczas długiej bezsenności „cichych, głuchych mroków”*. Czemu więc nie miałbym lekko potrząsnąć także Generałem?

Wreszcie, widząc skurcz na jego twarzy, powiedziałem jak człowiek, rozsądnie i ze współczuciem: - Mój kochany, niechże się pan odleje. Można tutaj, skoro nie da się do tego wirtualnego odpływu nad Sawą. Chodźmy.

Zapalę panu światło.

On jednak, taki delikatny, postanowił grzecznie sobie iść.

Dałem mu moją tak zwaną kurtkę, żeby ją chociaż narzucił.

Pułkownik odpłynął z cichym pożegnaniem, a deszcz bębnił w popękane i stare woskowane płótno. Mój gość spuścił głowę, skulił ramiona i taki żaloszny pograżył się w mroku oficerskoemerytalnej niepewności... Przypuszczam, że za pierwszym rogiem rozpiął suwak i zmieszał swój przerywany ciepły strumyczek z zimnymi strugami

wiosennej ulewy.

Czy nie przyprawiłem go dodatkowo o bezsenność? Boję się, że tak. A wszystko z obłudnej chęci, by go zrelaksować.

Wiem, jak płytkie jest to, co wyprawiam, jak bezwstydną jest moja gimnastyka umysłowa. O Boże! Nigdy się nie nauczę rozumu. I nie ma się co dziwić, skoro tak łatwo przepuszczano mnie przez liczne niewyraźne półrocza. Chciałoby się wyjść z tej skóry, ale jak? Choćby i z brzemieniem pytań bez odpowiedzi, jak ze szkoły. Dobry mój generalny nie zasłużył na to. Nawet ode mnie. A raczej: zwłaszcza ode mnie!

Nie piję, nie jem i nie śmiem jeść tego, co najbardziej lubię: lodów, kakao, słodczy i tym podobnych. Nie z powodu starości, ale ze względu na długoletnie zdrowie i długowieczność. Wiem, że to zbytek ostrożności i przesąd, komu z nas nie ogląda się za pomocą ultradźwięków wszelkich organów wewnętrznych? I to w takim czy innym, prastarym, zużytym, a nawet rozpadającym się stanie... Mnie, przeciwnie, pochwalono: „Z pana to dobry materiał”, co odpowiadałoby raczej workowi wapna, gdybyśmy się do niego zwracali per pan. Lecz oto „idzie ścieżką złudy”* . Wyrzekam się i cierpię, trudno, taki panuje zwyczaj wśród starszych panów.

Zdarzył się jednak przepiękny, cichy, słoneczny i pachnący, azorski wiosenny dzień w środku kwietnia, nie mogłem więc cierpieć w swoim ogrodzie, który na razie jest jeszcze zacieniony, zwrócony ku północy i zasłonięty domami, wilgotny i chłodny jak mroczny parów. Sięgnąłem odruchowo po moją rozpieszczoną laskę,

przyzwyczajoną do tego, że posłusznie wyprowadzam ją na spacer. Po niekończących się schodach zszedłem na plac, do tonącej w słońcu kawiarenki.

Położyłem laskę na siedzeniu sąsiedniego krzesła, by chociaż o połowę zmniejszyć możliwość, że ktoś się do mnie przyczepi.

- Gorące kakao, dwa pączki i dzień dobry - powiedziałem do czarnobiałej kelnerki z wykrochmalonym płóciennym diademem nad czołem, przypominającej pokojówkę.

Uśmiechnęła się, jakbym był facetem w sam raz dla niej, wygruchała powitanie i zaraz pan wszystko otrzyma, panie profesorze. O tak, to lubię. Nigdy nawet nie zbliżyłem się do tego tytułu, ale pobrzmiwa w nim szacunek. Skoro gotowa jest wykonywać wszystko, co lubię, poprosiłem, żeby złożyła nade mną kolorową kopułę parasola. Przyszedłem się bowiem trochę wystawić na zgubne promienie słońca, nie chcę wegetować w cieniu jak moje niebogi blade róże.

Gdybym jeszcze mógł, tak jak w Wiedniu, zawołać za nią „i proszę o dzisiejszą gazetę!”, ale nie mam zamiaru, wiem, gdzie żyję i co bym w niej znalazł. W Zagrzebiu tylko przerzucam gazetę, patrzę, gdzie się co buduje, które ulice są remontowane, które zamknięte dla ruchu, choć od dawna nie jeżdżę samochodem, a wiadomości nie są zbyt pewne. Przeglądam ją od niechcienia, raczej jako „nasz drogi czytelnik”, miłośnik swojego miasta, który nie cierpi tego wiecznego kurzu odnowy. W mieście przez nią nigdy nie ma porządku i muszę wściekle szcztokować buty, jakbym znowu był w seminarium

duchownym. Zwracam ewentualnie uwagę na porady zdrowotne, różne wygłupy medyczne, sensacje i odkrycia, najnowsze rezultaty osiągnięte przez amerykańskie instytuty i bezimiennych Japończyków. Dowodzą oni, że trzeba wszystko robić odwrotnie do tego, jak się myśli, postępuje i jak nas leczą w tym stuleciu negacji.

Mój stary przyjaciel Vjeko Kaleb* mówił: „Widzisz ty, człowiecze, nas uczono, że tu czyste powietrze, tam tlen, leśne powietrze, górskie powietrze, zmiana klimatu... spanie w przewietrzonym pokoju... Suchoty leczono górskim powietrzem. Hehehe, to jest, bracie, najtańsze lekarstwo, nieprawdaż? A przyglądałeś się kiedyś, jak sypią ptaki, jak sypia pies? Głowa pod skrzydło, pysk pod ogon! Hehehehe. Czyste powietrze wychodzi im spod ogona... Wszystko na odwrót: musisz unikać słońca, które jest źródłem życia.

Podobno dziury są nad głową. Dziury są w głowie!”

Tu, w gazecie „Novi list”, jest jeszcze mniej tego, co by mnie mogło interesować. Nie ma nawet ilustrowanych porad z nowoczesnego ogrodnictwa, choćby o sporządzaniu kompostu. Wśród nekrologów nie mogę się zdziwić znanym nazwiskiem... najwyżej zagadkowymi sentencjami: „Odszedł, kierując się zasadami zbiorowości, a mojej smutnej istocie pozostało poznanie”. Albo tą, którą przeczytał mi pułkownik z gazety podłożonej na zimnej kamiennej szentadzie* i chroniącej przed przeziębieniem nasze wysunięte najdalej na południe gruczoły i kanały. Śmiał się nawet i on ze swoim subtelnym wyczuciem. „Pozostaniesz w tym wąskim

przejściu do kontinuum, które szczerze moczy nasz rozum i naszego ducha”. Nie, nie wymyśliliśmy tego, ręczę, jako że urwałem kawałek gazety i trzymam go w słoiku po papryce. Przechowuję tam różne cytaty, żebym się mógł rozerwać, kiedy ogarną mnie myśli o śmierci i kiedy „w tym wąskim przejściu do kontinuum” zapragnę trochę zmoczyć rozum i ducha. A gdy słoiczek się napęlni, przerzucę się na ogórki, najpierw na te mniejsze... korniszony.

Rozwieram szczęki jak krokodyl do tych niewspółmiernie nadmuchanych pączków, wsysam małą, skąpą i niedostateczną grudkę marmolady, przywodzącą na myśl dziecięcą biegunkę. Powoli pijam cienkie kakao, skoro tak oszczędzają ten importowany proszek, powidła zresztą też, i cukier puder...

I tak planowo uprawiam samotność, „kierując się zasadami zbiorowości”. Nie są to prawdziwe rekolekcje, jakie odbywaliśmy kiedyś; po prostu zamyślony wpatruję się w pustkę, a w swoje wnętrze ostrożnie, ledwie z kraja, żeby nie zepsuć sobie humoru. Nawiasem mówiąc, pustka jest tak bogata, że pod wpływem obfitości spostrzeżeń można się prawie zdrzemnąć. Nie ma odnowy duchowej, tylko tępe trwanie. Nie podnoszę oczu, aby nie musiał mi się kłaniać ktoś, kto mnie unika... i abym ja go nie widział.

Od czasu kiedy onegdaj odszedł w ciemną noc, Generał pojawił się jedynie nazajutrz rano i oddał mi w drzwiach starą kurtkę, o którą od dawna już nie dbam. Po tamtej nocy wydawał się zmęczony i chory. Poskarżył się, że jest bardzo zajęty. Zjawił się na krótko, niby przywidzenie, i został mi tylko obraz z poprzedniego wieczoru, gdy

pochylony, chłostany deszczem, zanurzył się w ciemności i zniknął.

Mam wrażenie, jakbyśmy się od wtedy nie widzieli. Odszedł w mrok i już nie wypłynął.

I oto, stukając palcami po klawiaturze deszczulek pod obrusem, niby po źle nastrojonym ksylofonie, zaczynam rozumieć i powoli przyznaję się przed sobą, że mi go brakuje.

Nawet nie jako pośrednika, partnera albo przedmiotu zaczepek i kalamburów, ale jako rozmówcy. Myślę, że naprawdę przebrałem miarę w swoich naciąganych persyflażach czy, powiedzmy, w niepoważnej quasimizantropii i byłem niesprawiedliwy w stosunku do tej oddanej duszy. Nie doceniłem też jego sposobu rozumowania. Albowiem jest on, podobnie jak ja, nieszkodliwym błaznem, który niechcący może człowieka rozpogodzić i rozluźnić, niby herbata z rumem albo filiżanka przeciętnego kakao. A w dodatku jest oficerem sztabowym, zna strategię i taktykę, czego nie mogę powiedzieć o sobie i czego mi brak. Ale kto potrafi posługiwać się skutecznie tą skostniałą klasyczną dyscypliną dziś, w naszych niezrównanych czasach? Może jaszczurki, psy, gołębie, jako że u nich jest to sprawa rozwichrzonego instynktu, i nie ma reguł... My zaś po prostu źle zaczęliśmy od samego początku i nic się na to nie poradzi; pozostaje nam tylko schować pysk pod ogon i w ten sposób leczyć duchowe suchoty.

Przy końcu ogródka na tle gęstej zieleni Luganiga grał w karty przy stoliku, od którego chwilami dobiegała wrzawa. Chudy i ciemny jak wysuszony strąk chleba świętojańskiego, przewyższał o głowę

swoich karcianych partnerów.

Przewracał oczami, od czasu do czasu oglądając się na mnie; było jasne, że chce mi coś powiedzieć, gdy tylko karty na to pozwolą.

A poza tym od strony ulicy kierował się do mojego stolika, nie wprost, tajemniczy Mister Jozo, były marynarz, którego na własny użytek nazywałem „Misterioso”. Nie szedł prosto, ale ze swoją dwucyfrową dioptrią dawał się prowadzić wewnętrznemu sekstansowi i jakimś gwiazdom, które tylko on mógł widzieć tego świetlistego ranka. Taktycznie albo może na pół ślepo zmieniał kurs w labiryncie stolików.

Udawałem, że go nie zauważam. Po dłuższych manewrach przystanął bokiem, jak statek do podwójnego cumowania, i stuknął w oparcie krzesła, czekając, że go przywitam.

Wskazałem mu ręką sąsiednie krzesło, uniedostępnione laską, której nie podniosłem. Najwyraźniej nie zamierzał rzucić cumy i po dłuższym bezsensownym milczeniu ochryłym głosem wycedził:

- Pyta mnie siostrzeniec wczoraj wieczorem...

Nim zdecydował się mówić dalej, zdążyłem wysączyć zimne kakao i otrzeć z warg resztki cukrowego pyłu po pierwszym pączku.

- Pyta mnie...

- Tak. A o co pyta?

- Mekaniko, mój siostrzeniec.

- Tak, tak. Rozumiem.

- Dlaczego sąsiad milczy.

- Nie wiem. Tego nie wiem.

- Już trzeci miesiąc.
- Też nie wiem.
- Mówi, że pan wie. Bo głosował pan przeciw.

Musiałem przesunąć się z krzesłem, żeby mu spojrzeć w oczy. Mówiąc dokładniej, w kryształowe szkiełka w okrągłych oprawkach. Stał nade mną wysoki, ciągle zapatrzony jak ślepiec w swoje dalekie punkty orientacyjne, i czekał na odpowiedź.

- Ani nie byłem członkiem komisji, ani nie głosowałem.

Tak niech pan powie swojemu siostrzeńcowi. Poza tym nie jestem kompetentny. Niech pan zapyta pułkownika.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Wziąłem się do drugiego pączka, a Misterioso dmuchał w chusteczkę i stłumionym głosem mówił:

- Ja mam zapytać?
- Ach, Mister Jozo, niech spyta on, Mekaniko. To jego rzecz.

Ani moja, ani pańska.

- Pułkownika?
- No pewnie. Przewodniczącego komisji.
- Ale jego już nie ma. Pięknie, szkoda gadać!
- Jak to nie ma? Kto mówi, że go nie ma?!

Misterioso jednak, chyba na złość, już się oddalił tak, jak przyszedł, dmuchając w chusteczkę na sucho, bez potrzeby.

„Jak to nie ma? jak to nie ma?”, powtarzałem w duchu.

Wpatrywałem się uporczywie w karciany stół, chcąc przesłać jakiś znak. Nie mogłem się doczekać zakończenia partii... W martwej ciszy Luganiga pochłonięty był wpatrywaniem się w swój wachlarzyk

kart. To wszystko trwało, aż wreszcie ktoś tam uderzył w stolik przegubami rąk i nagle podniósł się hałas. Luganiga spojrział, czy jeszcze tu jestem, wstał i podszedł do mnie na długich nogach, jak czapła grzęznąca w błocie na bagnach.

- Przeklęte karty. Do diabła z nimi, tylko tracę nerwy!...

Co tam wśród archeologów? Jak Tunina? Hehe, trzeba by trochę... Co u pana?

- E, nic dobrego. Mój pułkownik zniknął.

- A tak, wylądował w szpitalu w Rijece. Podobno szcerce.

W końcu niewiele się dowiedziałem. Pułkownik nie mieści się w kręgu zainteresowań Luganigi. A jednak zauważył on pewne zmiany w zachowaniu mojego Generała.

- Słyszałem, że się niepokoił i rozpytywał o różnych nieznanym ludzi. A mnie zatrzymał na targu rybnym i niby to przypadkiem mówi w przejściu: „Myśmy się troszeczkę poszprzecziali, ale nie było to poważne ani ważne, zgoda?

- A potem jak każnodzieja powiada: - Najważniejsze to żebyśmy byli dobrymi patriotami, mieli jakieś zasady i żeby można było zawsze na nas liczyć”. To wszystko. Do widzenia - do widzenia. Zostałem, za przeproszeniem, jak tabaka w rogu, pomieszał mi w głowie. Nie, wcale się nie śmiałem, teraz też nie żartuję... Zauważyłem, że nie jest z nim najlepiej. To wszystko, co wiem. Czy on może... lubił sobie łyknąć?

- I rozpytywał się o ludzi? Coś takiego! A czemu?

- Ja tam nie wiem, kto go zrozumie! Jeżeli się nie mylę, pytał o

tego... pan go chyba nie zna... No, o swojego, jak Boziekocham, kolegę, oficjera. Tego, co jego rodzina ma dom za dawnym młynem czy co to jeszt ta żapowietrzona szopa, ruina, i tam za nią, właściwie to nad nią, na górze. Wyjechał za młodu, dochrapał się podobno podpułkownika...

Długo nie przyjeżdżał, teraz, osztatnio, znowu odwiedza krewnych... Był też w tych dniach... Chyba ten pański chce się z nim szkontaktować po linii wojszkowej... A dałby już sobie spokój, jest przecież na emeryturze... i chory. Mógłby mu pan powiedzieć, to dobry człowiek, łagodny. Nie jak te oficjery... O tym jego koledze chodzą złe słuchy, że to przemądrzały arogancki wojak. Śmieją się z niego, że na chrzcie doształ nasze imię Bartul i najpierw chciał, żeby do niego mówić Bartłomiej, a teraz jeszcze inaczej, Bartolomije czy jak... Jednym słowem, karkołomnie. Przeniósł się do Bizancjum. Na pana miejscu ja bym powiedział pułkownikowi, żeby unikał tej kreatury, szłowo daję.

- Miejmy nadzieję, że wróci, to mu powiem. Czy jest z nim żona? Jak jej to?...

- Duszka, Duszanka. Wiem od siostrzeńca.

- Tak, Duszka. Nie mogłem sobie... Jest z nim tam?

- Akurat! Pan jej nie zna. Mówią, że to uh, vípera*. Siostrzeniec jeździ karetką kombi, wiózł pułkownika do szpitala, do Rijeki. Prosił, żeby z nimi pojechała, na wszelki wypadek, gdyby czegoś potrzebował po drodze. Mówi, że odburknęła: „Nic mu nie jest. Zasłabł z gadulstwa. Jedź, niech go tam trochę przetrząsną!”

Słyszał pan coś takiego?

Jej chłop traci przytomność z bólu w piersiach, angina pectorisz, może umiera na zawał, a ona... że mu nic nie jest.

Żeby go tam „przetrzęsnać”! Jak na policji, słyszy pan? Nie potrząsnąć, tylko przetrzęsnać, fuj!

- Tak czy owak to świństwo. Nie chodzi o język.

- Wiem, wiem... A o co chodzi?

- Chyba o miłość. Miłość jest ślepa. Otóż to. Ja i pan, inżynierze, mamy zdrowe oczy, nieprawdaż?

- Miałem oczy, miałem. Ale teraz już nie rozumiem tego, co widzę. Un cazzo, nientel* Patrzę, widzę wszystko... a nic nie rozumiem.

- E, to nie jest wina nerwu wzrokowego...

Nowa wiosna rozigrała się, i chwala Bogu, obyśmy dożyli jeszcze jednej. Słońce zakradło się już do północnego kąta ogrodu, gdzie czekaliśmy na nie Wielkanocna Biała Róża i ja. Ona z kilkoma miękkimi, bladobrunatnymi przyrostami na czubkach gałązek, ja ze zwolnionym krwiobiegem, zastała limfą i przezroczystą skórą na nadgarstkach. Jej matkę różę przenieśliśmy ze sporym zapasem ziemi na korzeniach z ogrodu Madony, gdzie świeciła jak lampion nawet jeszcze w grudniu, pewnej dawnej zimy. Jest to jedyna moja zapłata i spadek, jaki wydarłem, a także jedyne wspomnienie o Madonie poza tymi, które z biegiem lat zdołałem, z wielkim wysiłkiem, zapomnieć. Ta róża tutaj, powiedzmy, jest następczynią tamtej. Powstała z macierzystej róży przez nacięcie i odziedziczyła wszystkie jej zalety,

ale i ona już się zestarzała, pachnąc w swoim umieraniu jak cały seraficki ogród różany.

Siedzę rano obok niej i rozmawiamy sobie, dzielimy się pierwszymi promieniami słońca, którymi obdarowuje nas wschód, zapowiadając rozkoszny kwiecień... dla mnie i dla ciebie, moja wierna różo, jeden z ostatnich. Zaskoczony budzeniem się ziemi, znowu będę musiał podnieść na ciebie rękę, ze zwłoką i niewybaczalnym opóźnieniem, kaleczyć twoje rozpustne członki, grzebać i kurzyć u twoich nóg, zasmradzać trucizną twoje pąki, by ich nie wysysały przekłete mszyce i wciornastki, tłumić twój kadzidlany zapach odorem chemikaliów, abyś pachniała dłużej. Jak cię obronić przed chrząszczami kwiaciarkami, nikt mi nie umie powiedzieć. Muszę karmić cię suchymi granulkami, męczyć na różne sposoby, abyś była ładniejsza, przycinać, abyś była strojniejsza i dumna jako jedyna prawdziwa dama w tym skromnym rozarium.

Jaszczurki, dotychczas nieruchome i niewidoczne, szybko budzą się i wysuwają ze szczelin między kamieniami.

Zatrzymują się na progu swojej jamki w murze, by powąchać powietrze i zbadać ciepłotę kamienia. Na słońce jedna czy druga wyjdzie dopiero koło południa, by podgrzać swój uśpiony układ krążeniowy. Ptaki nie wiją jeszcze gniazd, ledwo muskają gałązki, błyskawicznie przelatując nad ogrodem niby przypadkowi przybysze, którzy na razie mają swój słoneczny kącik gdzie indziej. Tu zamieszkają, kiedy tam przypiecze słońce. Będą napełniać dzioby trawkami, wyciągać z ziemi glisty, poić się ustalą wodą, dziobać

ubiegłoroczne przejrzałe niespliki i rozsypane ziarno, nie oglądając się na moją ofertę w domku dla ptaków, wśród gałęzi cienistej trzmieliny. Domek o przepisowych wymiarach zawiera obfity zapas ziarenek słonecznika, konopi i prosa, nietknięty od zeszłego roku.

Trzydzieści pięć lat, przez dwa twoje pokolenia, trwa już nasza przyjaźń. Starzejesz się, pokrywasz naroślami, ale pachniesz zawsze jednakowo - wielkanocnie, a ja zamieniam się w zrzędzącą Madonę rediviva i przynudzam wszystkich naokoło. Coraz dłużej przebywam sam, moi czekają, że wrócę, a ja tu czekam, że oni wstąpią, jak wstępują ptaki, kiedy staje się tu wygodniej niż gdzie indziej. Nie mamy już wspólnego życia, każde z nas starzeje się samo. Draga* szybko się męczy, synowie siwieją. Ona potyka się i czasem skarży na woreczek żółciowy; oni w starych autach wożą bukiety dla swoich dorosłych synów do rektoratu na wręczenie dyplomów...

Tak więc znowu przyszła wiosna, nagle wszechobecna, jakby miała trwać wiecznie, jakbyśmy razem z nią mieli trwać wiecznie, ja z nagłym przyrostem serotoniny we krwi i odmłodziła róża. I jaśniutkie słońce, które przenika przez młode liście kapryfolium jak przez skrzydła śpiącego owada, niczym jeszcze nie zapowiadając gwałtownych upałów ani skwaru letnich południ, lecz tylko przejrzysty ocean odnowicielskiego, życiodajnego światła.

Postanowiłem więc, raz na zawsze i ostatecznie, nigdy nie odejść z tego świata. Jakikolwiek by on był. Wzgardzić tamtym, lepszym, ozłoconym wiecznością i nieśmiertelnością.

A nawet jeszcze głębiej się tu zagrzebać, jeśli to możliwe.

Ale czy to się wie z góry - może mnie pochłonąć pożar lasu, strawić jakiś zabłąkany rekin albo jego samica może podzielić się mną z młodymi. A mogą mnie też w podziemiach spalarni wsypać do dwulitrowego dzbanka - nawet rodzona matka by mnie nie poznała. Postanowiłem jednak wleźć pod ziemię, aby mnie, takiego dobrego i szlachetnego, nie unieśli aniołowie i nie ciągnęli w nieskończoność po jakimś innym świecie, zupełnie nieznanym.

Ten świat może i nie jest najodpowiedniejszy do życia wiecznego ani nawet do wiecznego życia; łatwo dojść do takiego wniosku po doświadczeniach z przekopywaniem cmentarzy. Ale jego piękno jest dojmujące. Naprawdę. Niektórzy zaraz by tu przytoczyli rzeczy oklepane i banalne: a niebo, a lasy, a góry, ptaki... śliczności... słońce, księżyc i czarowny nieboskłon nocą... Ciekawe, pomyślałem zupełnie to samo. Tyle że dodałem morze. Mam nadzieję, że ta banalność nie oznacza kompromitacji.

I chciałbym zaraz zapytać: czy to nie jest niezrównane?

Nie tylko dlatego, że nie ma z czym tego porównać, ale dlatego, że to się nie da zrobić, nawet gdyby się dało, ponieważ nie wiadomo, jak wygląda gdzie indziej. Może w jakimś raju przyroda jest jeszcze piękniejsza, może są tam trzy księżycy i siedem słońc ładnie rozmieszczonych, ptaki, które mówią wierszem haiku, a nie tylko przeklinają i prostacko złorzeczą jak papugi. Może istnieje tam człowiek, który jest stworzeniem naturalnym. Bo tutaj, na tle tej natury, człowiek, jak mamę kocham, to istota nienaturalna. Tak świadomy i zrównoważony, ze wszystkiego wyobcowany, nie chce

wiedzieć, że powstał z niczego, ponieważ mu się schlebia, że ulepiono go z gliny. I nie wie, co z sobą począć. Zapomniał latania, nie wspina się już na drzewa, nie galopuje po sawannie, utracił skrzela, ogon, skrzydła... i nie zauważa, że został okaleczony. Utożsamił się ze swoimi wytworami, i sam jest teraz na tle przyrody sztucznym zjawiskiem, jak jego pałace, szosy, statki, samoloty albo choćby parasole słoneczne; one tylko psują niebo, morze, lasy i zasłaniają boskie słońce, przed którym niegdyś czołgaliśmy się po egipskim piasku, i nie tylko. Zaczął nurzać w smole pelikany i kaczki, które szarpią się potem na brzegu, umierając za człowieka, bez nadziei na jakikolwiek inny świat. I nurki, że nie wspomnę już o mewach. Na tle całej twórczości natury jedynie człowiek stał się tworem nienaturalnym. A skoro nasi naturalni prakrewniaczy, którym zatruliśmy życie, nie chcą iść na tamten świat, ale uparcie czyszczą swoje zlepienie skrzydła - to czemu miałbym iść ja?

Napisałem niedawno krótkie uwierzytelnione podanie, by przydzielono mi miejsce na grób. Gotów byłem czekać tak długo, że czekając, mógłbym, nawet wbrew woli, pójść na tamten świat. Wydawało mi się, że im dłużej to potrwa, tym dłużej pożyję, dlatego się nie upominałem. Szybko jednak odpowiedziano, że dokąd się tak spieszę, że trzeba było napisać „miejsce pochówku”, a nie „miejsce na grób”, że muszę jeszcze dodać, czym za życia byłem i co robiłem.

Czym byłem? Niczym, a czym miałbym być?! Czym byłem, tym, niestety, jestem nadal. A co robiłem, lepiej nie mówić. Ale do diaska, przecież jeszcze żyję. Nie tylko byłem, lecz jestem! Niekiedy

te same pytania podsuwa mi sumienie, ale to co innego. Sumienie to mój prywatny nudziarz... mogę mu dać kopa, kiedy zechcę, chlapanąć dwie mocne... a potem, późnym wiosennym rankiem, spać jak zimowy pąk róży. I właśnie w takim śnie zbudził mnie telefon z Przedsiębiorstwa Komunalnego.

- Czekam na pana pod Krzyżem - odezwał się kierownik zarządu cmentarza jak spod ziemi, zza grobu.

Brrr! O, biedny duchu...

Włożyłem trampki jak na wycieczkę - może tam być błoto nawet w pełni lata, a co dopiero teraz; kobiety zawsze podlewają ponad wszelką miarę... Jeszcze zaspany, ze sklejonymi powiekami, poszedłem, ziewając, przez park. Tam wystraszył mnie nagle czerwony biegacz. Krzyknął zdyszany: „Wifiluńśles?”* - chciał wiedzieć, czy wykonuje normę, starając się przedłużyć to uciążliwe życie. Ale czas płynie, majnher*, biegasz czy nie, wskazówki się poruszają. Trzeba wierzyć w kwarc - w pocie czoła tylko wydaje się, że obracają się wolniej. Ten wariat łatwo mógł na mnie wpaść, wyskoczywszy zza krzaka w bezszmerowych trampkach czy nawet boso, nie zauważyłem... Uciekając od cmentarza, biegł mi naprzeciw. Możesz uciekać, ile zechcesz, ale i tak wrócisz...

Pulvis et umbra sumus* - obwieszczał pewien kulawy frater, walcząc z czkawką.

Pod Krzyżem czekał jako żywo mój przewodnik, oparty obiema rękami o postument i pochylony jak krótkowzroczny kapłan nad mszałem. Na mój widok wyprostował się w całej swojej kościstej

wysokości, niby pogrzebiony duński monarcha*, i powiedział:

- Lego dnia, póki jeszcze jest nam miły. I żyjmy, póki żyjemy.
Niech Bóg da to, co da... nieprawdaż, drogi panie?

Dobre jest to, co nam dał. I ile dał...

- Owszem, tak jakoś, owszem - odparłem. - Gdyby było inaczej,
nie wiedziałoby się, na czym stoimy.

- Brawo, przyjacielu. A teraz idziemy. Nie jest to wielkie halo...
ciasno już, brak miejsca, ale musimy coś znaleźć.

Pan się rozejrzy, i wybierzemy... W końcu zawsze coś się
znajdzie. Nie ma wyjścia, człowiek musi gdzieś spocząć, a gdzie, jak
nie w ziemi... Dobrze mówię?

Prowadził mnie między grobami i grobowcami.
Przeskakiwaliśmy i przechodzili po obmurowaniach, zawadzali o
sztuczne kwiaty z woskowanymi liśćmi, szeleszcząc wyschłymi
bukietami i zaczepiając o chropowate wazony z lastryka.

W górze piękny, rozśłoneczniony, prawie letni poranek świeci
nad cyprysami, gdzieś gwizdzą kosy, ukryte w mroku gęstych
czarnych koron. A mój przewodnik mówi: - Czemu panu przeszkadza,
że trochę się nadeptnie na grób? Widzi pan, jak tu ciasno, po
wszystkich się depcze, bo nie ma jak przejść, a tym bardziej spuścić
trumny u sąsiada albo wepchnąć ją poziomo do grobowca... Ta płyta
na górze jest tylko pro forma, w celach reprezentacyjnych... a trumnę
wrzuca się na dole jak przez drzwi...

-...do garażu.

- Coś w tym stylu... ale nie, to nie tak. Jeżeli trochę się nastąpi,

cóż to szkodzi? To znaczy, że ludzie przynajmniej przychodzą, że nie zapomnieli. Wie pan, gdyby od jutra zniesiono śmierć, nikt by już nie przyszedł na groby. Bo wszystko robimy ze względu na siebie. A to i tak jest tylko fantazja... symbolika... pietyzm...

Nie, nie mogę się zgodzić, żeby pyszałkowaci właściciele tych marmurowych garaży deptali mi po grobie, wstępując uroczyście do swoich bogato zdobionych farańskich sarkofagów. Nie mogę pozwolić, by niedzielne sprzątaczkę grobowców rodzinnych, strojąc swoje małe ogródki, ustawiając flakony i wymachując miotełką między nogami, wyrzucały na mnie zgniłe liście jak na publiczny śmietnik. Nawet jeśli to jest obojętne i nieważne - dla mnie takie nie jest i nie chcę, żeby było. Albowiem cała ta obrzędowa fantazja, sama instytucja cmentarza, wszystko, od złożenia na katafalku aż po mszę żałobną w stulecie śmierci, to tylko i wyłącznie symbolika i forma pietyzmu. A cóż by innego?... No to jak można zaakceptować deptanie grobu jako symboliczną część tego obrzędu, jako wyraz pietyzmu, jak można trep grabarza włączyć w pokój duszy i wieczne odpoczywanie? To tak, jakby w kondukcje pogrzebowym półnagie dziewczyny odstawiały za trumną taniec brzucha albo jakby orkiestra grała skoczną wiązanę Tijardovicia*... albo jakby na krzyżu nagrobnym zatknął prezerwatywy. Deptać mogiłę to tak, jak pluć do kolebki.

- Niech sobie będzie fantazja, ja nie chcę byle gdzie. Niech pan spojrzy na te popękane płyty, obtłuczone obmurowania.

Skąd się to wzięło? Bo ktoś po nich deptał. Nie chcę. Albo

gdzieś w kącie, jeżeli się znajdzie, albo wcale. Niech mnie w takim razie rzuca do ognia! Pojadę do Zagrzebia, tam są jak żołnierze ułożeni na zagonach... Przynajmniej tyle. Nie będą mi szurać podszwami po kościach... Chyba że umyślnie, dla zabawy, jeżeli komuś nie pozwoliłem na to za życia i nadepnałem mu na odcisk.

- Ale tu nie będzie znowu tak strasznie. W Zagrzebiu, pod arkadami, ludzie też chodzą, jak chcą, po katakumbach.

Ach, Bolle*! Wiedeńska nonszalancja i zagrzebska środkowoeuropejskość. Dla nich nawet cmentarz zaplanowano jak promenadę. Ale my nauczyliśmy się umierać dziko. My zostawiamy za sobą krew, nienawiść, wrogów i kładziemy się pośrodku łąki pod ciężką, nieruchomą bryłą kamienia.

Rzeźbimy na swoich stećakach* zaklęcia i pogróżki: „Nie wchodźcie na mnie”, „Nie niszczyć mnie nogami”, „Nie trzęście moich kości”, „Nie tykaj mnie, byś nie był przeklęty” - a nawet i klątwy: „Kto by chciał zniszczyć, niech będzie przeklęty, on i syn jego”...

- Niektórzy, mój panie, w testamencie zamawiają sobie toast zamiast requiem... Prawosławni przynoszą na grób jedzenie i picie... strudel z kapustą... a żegnają się ledwie mimochodem i skąpo, tylko trzema palcami... Któregoś dnia pokazali w telewizji, jak sławnego muzyka wrzucono do zbiorowego, bezimiennego grobu i polano wapnem... zdaje mi się, że w Austrii...

- Dobrze, dobrze, nie jestem prawosławnym ani kompozytorem, ani okazem dla telewizji. Nie jestem też muzułmaninem, i chwała

Bogu, bo im wbijają w siedzenie zaostrzony kołek głogowy, tak głęboko, aż wyjdzie nad obojczykiem.

Niektórych męczenników i buntowników piekli na ruszcie jak faszerowane kalmary i nawet nie wiadomo, co z nimi potem robili. Pewnego naszego magnata, a przy tym biskupa, nie wiem nawet, przed iloma wiekami, wyciągnęli z grobu i spalili na stosie w centrum Rzymu, a popiół wrzucili do rzeki. Są różne obrzędy, ma pan rację. Mój święty imiennik, Liberat, też był męczennikiem, z kamieniem u szyi... Dzisiaj niektórych palą zaraz, ledwie zdążą ostygnąć, wpychają ich jak strucle do pieca, a gdy spłoną, popiół rozsypuje się na łące albo na morzu. Wszystko to dobrze wiem... Ale ja chcę doczekać zmartwychwstania jak należy, z rękami złożonymi na piersiach, palec przy palcu. Szkielet wyciągnięty jak na łóżku, goleń przy goleni... kość przy kości. Po prostu nie chcę, żeby „moje kości trzęśli” tragarze, którzy wkładają lakierowane kapsuły do naziemnych marmurowych sarkofagów. Na Boga, człowieku, jeżeli ziemia trochę lepiej zadrży, rozsypią się te grobowce jak domki z kart, a trupy będą się walać i pływać po alejkach, pomieszają się nazwiska i daty.

Wtedy dopiero nie będzie tu gdzie stanąć!

- Chce pan być gotowy na Sąd Ostateczny. Rozumiem...
- Jaki znowu sąd?
- Boży sąd, przyjacielu. Ja poniekąd... tak samo.
- Na jaki sąd Boży! Raczej na wesołych archeologów... żeby mnie połaskotali pędzelkiem.
- A, o to chodzi! Myślałem... ci, którzy wierzą... Pan nie jest

tym, który...

- Mniejsza o to. Ale też nie jestem zdechłym psem.

- Przychodzi mi do głowy inne rozwiązanie. Ten oto grobowiec.

Nowy, suchy, przestronny... Leży w nim tylko niejaki R. D. Wdowa chce odnająć trzy półki po prawej stronie.

- Po prawej?

- On jest po lewej. Ona też tam pójdzie.

- Po lewej?

- Nie, pan po prawej. Nie mają rodziny. O, to by było w sam raz dla pana.

- Jako lokatora?

- Dopóki nie znajdzie się coś innego...

Podszedłem, zajrzałem. Musiałem ścierpnąć i zblednąć, bo mój przewodnik służbowo wziął mnie pod ramię i zamiast spytać „źle się pan czuje?”, on jak w filmie amerykańskim: - Dobrze się pan czuje?

- Diabła tam dobrze. Muszę na chwilę usiąść.

- Jeżeli może pan trochę posiedzieć... poszukam gdzieś szklanki, przyniosę wody.

Gdybym teraz powiedział parę wielkich słów, na pewno byłyby na miejscu. Ale nie mam siły, krew odpływa mi z pięści i mięśni, trucizna wyciska ze śliny przekleństwa, które utknęły pod kłami, spływają do żołądka i wątroby... Staję się małym, głupim świętym, litościwym, dech mi zapiera jak przy konfesjonale, w pokorze, w skruszonej modlitwie...

Czyżbym miał się po śmierci zbliżyć do kata mojej rodziny*?

Do podstępnego mordercy niewinnych? Położyć się równolegle do niego, podnieść z serca prawą rękę, wyciągnąć ją w grobowej niszy przez „korytarz” ku jego lewej półce?

„Wiem, wiem. Kiedy w dobrej intencji zdradza się swoje ideały, jest to przede wszystkim osobisty dramat, współczuję.” Tak mu powiedzieć, gdy tylko zostaniemy sami? Albo może: „Lepiej było wystąpić z szeregu niż psuć szyk!” Spytać, jak mu się zdaje, co osiągnął swoimi przestępstwami?

Opowiedzieć, że w świecie, do którego we własnym mniemaniu należał i któremu służył, pojawiły się całe pokolenia wytatuowanych, groteskowych krzykaczy? Że jestem tym przerażony. Że jego i to, co robił - jeżeli go w ogóle ktoś pamięta - przeklinają i gardzą nim. I całe szczęście, że tak się dzieje. Powiedzieć mu: Dobry wieczór i dobranoc, kacie, gdzie jest twoja dusza? Czyżby tam gdzie moja, czyli - nigdzie?

Tobie to „nigdzie” sprzyja. Dla mnie oznacza przerwanie świadomości ludzkiej, „wiecznej i niezniszczalnej”. Czy dusza w ogóle istniała? Gdzie zniknęła, wtedy, w czasach powszechnej anestezji? Jak to jest możliwe, że parę kropli chemikaliów na cztery godziny całkowicie eliminuje duszę? Tę świadomość. Wieczną. Niezniszczalną. Czy może to sprawić omdlenie albo i głęboki sen? Czy śmierć, od której zaczyna się rozkład ciała, jest czymś mniej ostatecznym niż trywialny zastrzyk nieszkodliwego preparatu? Śmierć, po której z Ojcem niebieskim żyjesz i królujesz... nie powiem „na wieki wieków”... ale po której chyba ponownie ożywa dusza, ta,

co zniknęła wskutek anestezji lub fanatycznego zaślepienia mordercy. Co poczniemy teraz, wiedząc, że nigdy jej nie było? Czy wyzwoliliśmy się, czy też zniknęli?

Jak moi bliscy, twoje ofiary. Czy zmartwychwstaniemy, tacy albo nijacy? Z jaką duszą, skoro jej nie mieliśmy? Z jakim ciężarem przestępstw, z jaką garścią zasług, ze smutkiem po tym, co utracone, ty i ja, każdy ze swoją nienawiścią? Z jakim doświadczeniem, skoro zostało ono tu, pod krzyżem, nikomu nieprzydatne, w ogóle nieważne, niepouczające i... niepomszczone?

Przeciagnałem dłonią po twarzy, od czoła aż do brody, gestem, jakim zrywa się zasłonę błędów i niewłaściwych założeń, by pójść w nowym kierunku - jak to czynią pisarze gminni, kasjerzy, układacze ogłoszeń, księgowi, kiedy zaplączą się, utkną i nie wiedzą, co dalej. Starłem z twarzy mgiełkę przywidzenia i ukazała mi się szklanka wody, już prawie niepotrzebna. Wypiłem ją i wstałem.

- Rezygnuję. Proszę mi zwrócić podanie.

- A gdzie pan znajdzie miejsce? - spytał.

- Na razie nigdzie. Może na zawsze nigdzie.

- O mało pan nie stracił przytomności...

- Ach nie, nadal ją mam. Mam ją jeszcze. W przeciwnym razie bym się nie wycofał.

Jakiś czas patrzyliśmy na siebie. On z brakiem zrozumienia, ja z pustą głową i pustym sercem. Tak się rozstaliśmy.

Mruczał coś, bardziej do siebie niż do mnie. Dzisiaj jest to normalne, wszędzie, a więc i u nas.

- Tłok wielki... w drodze na tamten świat depczemy jedni drugich... a co robić! Podobnie jak na tym świecie. Tak już jest - westchnął. - Niech panu Bóg da zdrowie...

Generalissimus w końcu wrócił, wychudzony i blady, znacznie bardziej zdecydowany i bezpośredni, prawie odrodzony.

- Kiedy raz spojrzysz jej w oczy, niejedno ci się wyjaśnia, przyjacielu.

- Z czasem... wszystko znowu pięknie się zamąci. Cierpliwości!

- O, nie, nie. Tym razem na zawsze. Niektóre sprawy wyjaśniają się na zawsze. Może trochę późno. Ale lepiej późno niż...

W tym jego osłabieniu przeszliśmy łątko na ty, w czym ja jestem zwykle oporny, i wyruszyliśmy na pierwszy powolny spacer rekonwalescenta nad morzem, z dala od miejskich spotkań. Jeden z tych wielkich, nieregularnych wiosennych odpływów, powodowanych w poranki równonocne przez siły przyływu we Wszechświecie, obnażył kamieniste wybrzeże i dużą plażę z powłoką ciemnozielonych alg. Pachniało morzem, które paruje.

Najpierw powoli, z przerwami dla wytchnienia, kolejny raz wyłożył mi tradycyjne zasady oraz najnowsze osiągnięcia kardiologii w teorii i praktyce, zastosowane na sąsiednim dla mnie sercu. Wyciągał przy tym Kalebowski wnioski w rodzaju: nie wolno ci robić tego, o czym myślisz, że jest konieczne, lecz odwrotnie, masz robić to, o czym myślisz, że ci nie wolno... Po jakimś czasie ostrożnie zmieniłem temat: - Wiesz, ciągle mi się przypomina, jak mówiłeś, że chyba znasz tego typu, który był u Szeszerki... Rozpytywałeś się o

niego?

- O Woboctego? A jakże, a jakie. Czemu chcesz to wiedzieć?

- Bo słyszałem, że pytałeś o niektórych z tych... i o podpułkownika.

- Kto ci to mówił? Owszem, rozmawiałem na ten temat, ale bardzo dyskretnie.

- Czy Woboctego to taki nadęty facet, który wydaje się jakby... nieobecny, zatopiony we własnych myślach?

- Jaki tam zatopiony! Raczej zaprzędany. Jest bardzo mocny. I niebezpieczny. Nie wiem, jak to powiedzieć...

- Ja z kolei wiem, że jego ojciec był donosicielem. Jeżeli to ten. Mój przyjaciel z dzieciństwa przez jego fałszywe oskarżenia wyłądownął na Nagiej Wyspie*.

- To ten. Zrobił to chyba z zemsty... bo pobili się i potem procesowali o parę suszonych ośmiornic - podjął dobrze poinformowany pułkownik.

- Tak, to na pewno ten! - wypaliłem, widząc, że mój pułkownik wyzbywa się hamulców ideologicznych. - Powiedział facetom z bezpieki: „To mój sąsiad, znam go od dawna, jego i wszystkich krewnych. Oni są za Informbiurem*. Dziadek, ojciec, stryjowie, razem dziewięciu mężczyzn... jeden w drugiego zawzięci stalinowcy, intrygują, werbują jeszcze dziś”. Potem okazało się, że dziadek zmarł już przed wojną, w latach trzydziestych, ojciec był od dawna sparaliżowany po udarze, stryjów ten mój przyjaciel w ogóle nie miał, tylko jakiegoś kuzyna matki w Nowej Zelandii... Wiesz, co facet

wtedy powiedział? „Ani mi to brat, ani swat, nie wiem, kogo ma, a kogo nie ma, ale wiem, z jakiej jest rodziny.”

Nawet UDBa nie brała go całkiem na poważnie, ale po jego zeznaniach załatwili człowieka.

Pułkownik cały czas przytakiwał, kiwając głową, jako że wszystko to było ogólnie wiadome.

- A jego syn, zwany Woboctego - dodał - przechwala się na wszystkie strony, że podczas wojny brał udział w zbrodni i morderstwie. W drodze z Bari do Splitu w czterdziestym czwartym roku płynęła z nimi na naszym statku młoda Żydówka, partyzantka, która służyła w Tarencie jako sanitariuszka i tłumaczka... a może była tam z jakimś angielskim oficerkiem, czemu nie? Wiesz, jak jest... zdarza się, że i partyzantkę zaswędzi... Woboctego opowiada to ze szczegółami, ale ja tak dokładnie nie pamiętam. Ktoś tam coś wywęszył, a może nie dopuściła, żeby też sobie osłodził życie, dość że pośrodku Adriatyku wyrzucili ją z pokładu razdwa, jak worek do morza. Złapali znieńacka, bez śledztwa ani dowodów, bez sądu... jeden za ręce, drugi za nogi... rozhuścili... i leć, towarzyszko, za burtę... Nocą, do lodowatego morza, pewnie ją naprędce związali, żeby nie odpłynęła... żegnaj, my sister. A Woboctego do dziś się przechwala, że był bohaterem już jako piętnastolatek... bo czy może być coś naturalniej szego i sprawiedliwszego niż najsurowsza kara dla puszczalskiej, skoro OZNa* tak zadecyduje, a skojuwiec* usłucha?! Ale temu typowi nie dość zbrodni, jeszcze teraz, taki dziadyga, zakrada się do cudzych domów i konspiruje.

Jak zaczniesz jako piętnastolatek, to i koło sześćdziesiątki marzysz z gorszymi od siebie o krwi... po kolana. Taki właśnie jest Woboctego.

A skądinąd... w szpitalu... gdy byłem w Rijece, zatrzymał mnie na korytarzu mój były podkomendny, teraz kapitan pierwszej klasy w kontrwywiadzie... Ja bym go nie poznał... bez munduru, w piżamie... zresztą minęło tyle lat... Ale on mnie zagadnął. A potem spotykaliśmy się nawet po dwa razy dziennie w świetlicy, gdzie były gazety, telewizor i grało się w karty. Pyta mnie, gdzie mieszkam, co robię... wiesz, oni lubią pytać... Jestem, mówię, na emeryturze, nawala mi serce. Przy okazji wspomniałem o moim zajęciu w Obronie Terytorialnej. A on na to ironicznie: „OTe! Wiecie, towarzyszu pułkowniku, my to dzisiaj nazywamy ZwZ”. I pyta, co zamierzamy, jakie są widoki na ostateczną... reorganizację. Myślał pewnie, że ten obowiązek powierzono mi w nowych czasach, po zmianach. Że należę do zaufanej kadry, którą powołano do przeprowadzenia „reorganizacji”. Zaczął się podlizywać: „Dobrze, że przejęliście to wy zamiast tych cywili. Skoro nie możemy zlikwidować żmii w zanadrzu, niech przynajmniej będzie pod skuteczną kontrolą. W razie czego magazyn trzeba przenieść, zanim motłoch go rozgrabi”. Olala! Ugryzłem się zamiast niego w język. Motłoch!

„A co to znaczy ŻwZ?” - spytałem.

„Żmija w zanadrzu. Gdyby to było możliwe, my byśmy jej zaraz łeb ukręcili. Bo po co ludzie, po co przedsiębiorstwa kupowały tę broń i wyposażenie, odejmując robotnikom od ust? To ich własność” -

powiedział.

Zapytałem pułkownika, co to za „my”.

- Sam chciałbym wiedzieć. Pytałem też i jego, czy potrzebna jest ta likwidacja. To była doskonała myśl. Samoobrona. Uzbrojony naród. „Była doskonała - odpowiedział - dopóki mogliśmy liczyć na robotników i naród. Ale widzicie chyba, co oni teraz robią, co mówią, co wypisują, jak plądrują. Chcą - powiada - rozpadu. Już zdążyli rozerwać partię. Byłaby to samoobrona dla rozłamowców, a nie dla przyzwoitych ludzi!”

Długo tak dyskutowaliśmy, aż - każdy ze swojego punktu widzenia, a na oko zgodnie - doszliśmy do wniosku, że uczciwych ludzi jest coraz mniej. On chyba jednak zrozumiał, że łatwo się nie zgodzę na kradzież naszego małego wyspiarskiego arsenału. Teraz doniesie na mnie do swoich.

Ale wierz mi, będę szybszy niż on, ja też coś zrobię. Jeszcze nie wiem dokładnie co, ale nie będę siedział z założonymi rękami. Ci ludzie nie mają czystych zamiarów. Widziałeś, co się działo u Szeszerki... Tak, zanim poczułem się źle, trochę się rozpytywałem. Z tych trzech tylko Czerwony Ban jest, można powiedzieć, w pewnym sensie czysty. Fanatyk... albo karierowicz... idiota. Ale tacy, gdy zaczną konspirować, też są niebezpieczni. Muszę coś wymyślić, coś zrobić!

- Poddał ci myśl ten w szpitalu.

- Jaką myśl?

- Co powinieneś zrobić.

- No co?
- Przenieść magazyn.
- Aha! Łatwo powiedzieć.

Pułkownik długo potem nie wracał do tego tematu, nie wspominał o swoich rozmowach szpitalnych ani o naszych komentarzach. Jakby tego wszystkiego nie było. Pewnego popołudnia w połowie maja spotkaliśmy się na tarasie za kościołem, skąd otwiera się widok na kanał Kvarnerić. Rozłożyliśmy stare gazety na dziecięcym rysunku, dawno wyrytym na zimnej kamiennej ławie, na której kiedyś lekkomyślnie ziębiliśmy gołe kolana, klęcząc i bez końca przesuważąc po niej kamyczki. Kiedy stękając, jak to starzy, siadaliśmy na tej ławie, pułkownik wyjął mi laskę z ręki, narysował linię na piasku, a drugą linią ją przekreślił.

- To jest pierwsze skrzyżowanie... rozumiesz... na drodze od przystani promowej do miasta. Oni nie przyplyną statkiem desantowym do portu... Byłoby to skuteczniejsze i praktyczniej sze, ale nie przyplyną, bo wtedy wszyscy by ich widzieli, zbiegłoby się wielu ciekawskich. Rozumiesz? Wyjdą na wybrzeżu promowym, to pewne, ściągną ciężarówkę albo kilka łazików czy innych samochodów terenowych i pojedą do miasta. To pierwsze skrzyżowanie, drogi prowadzą nad morze, nie ma znaczenia. Drugie skrzyżowanie... wąskie, między domami... też nieważne. A potem mamy skrzyżowanie za stacją benzynową, to jest punkt strategiczny. Tu im trzeba zamknąć przejazd, chyba jakieś pięćdziesiąt metrów wcześniej. Bo stąd obwodnica prowadzi do celu, czyli do miasta. Jak

się zamknie przejazd? Na szczęście jest tu już dużo domów, traktory, samochody i wszystko inne można ustawić na drodze, kiedy się dowiemy, że desant przybił, albo wcześniej, gdy będą płynęli na wyspę. A dowiemy się tak, że da nam znać ktoś z promu albo z przystani, tam jest ten domek z kasą, albo jeszcze inaczej, zobaczymy. Mieszkańcy nam pomogą, tam w pobliżu mają spycharkę i dwie pogłębiarki, mniejszą i większą, one też mogą zdążyć. Trzeba tylko przygotować ludzi, wytłumaczyć im złodziejskie zamiary wojska...

Dopiero teraz zrozumiałem, jaki to poważny plan. I przemyślana strategia.

- Pytasz, skąd to wszystko wiem, skąd mam informacje?

- Jak widzisz, nie pytam. Tylko słucham.

- Ale może pytasz w duchu. Nie pytaj! Dobrze?

- Spytam cię o coś innego, o to, co można. Jak długo będziesz ich trzymał przed tymi barykadami?... Wiesz, na co się narażasz? Kiedy się dowiedzą, kto był pomysłodawcą i organizatorem... I co ci z tego przyjdzie?

- Jeżeli się nie uda, mam atut, którego nikt mi nie odbierze: chore serce. Zawał! Umrę na drodze, i koniec. Niech mnie szukają w piekle. Na razie wszystko się robi w największej tajemnicy. Jak oni, tak i ja. Dopiero dzisiaj się dowiedziałem, a już mam za sobą pół roboty. Rano przystąpili do akcji. Rano oni, rano ja. A jak długo mogę ich zatrzymać? Tyle, ile trzeba. Godzinę. Słuchaj: potrzebuję tylko czterech pomocników.

Jednego w Senju czy w Jablanacu, na promie albo w kasie, ten

mi da znać, gdzie są. Drugiego w osiedlu przy drodze albo na stacji benzynowej - ten zaalarmuje okolicznych mieszkańców i razem z nimi zablokuje przejazd. Trzeci przyjedzie ciężarówką przed magazyn i pomoże w załadunku. Czwarty swoją łodzią przetransportuje broń i wyposażenie na wyznaczone niedostępne miejsce. Plus ja. To się rozumie. Ty to uczciwa inteligencja, na stare lata nieprzydatna, od ciebie oczekuję wsparcia intelektualnego. Moralne wiem, że mam.

- Jeżeli plan nie okaże się, za przeproszeniem, zdecydowanie głupi oraz jeżeli serce w krytycznej chwili nie odmówi ci posłuszeństwa i będziesz musiał stanąć przed zbrodnymi sędziami, możesz na mnie liczyć. Możesz powoływać się na mnie jako na podporę duchową, a jeżeli chcesz, to jako na bezpośredniego uczestnika, pomimo mojej starczej nieprzydatności i uczciwości klasowej. Ale tylko w wypadku, gdy plan nie okaże się głupi, co przeczuwam, można powiedzieć, już to widzę.

- Umyślnie nie wchodzę w szczegóły, przedstawię ci tylko scenariusz. Nie jest głupi, to przecież mój fach... I tylko w najgrubszych zarysach... chociaż z niektórymi ludźmi już rozmawiałem, niektóre sprawy ustaliłem, zapewniłem ciężarówkę. Łodzi jeszcze nie... Będę musiał postarać się o zapasową ciężarówkę albo przynajmniej kombi, na wypadek gdyby się pokiełbasiło... i tak dalej. Czasu nie ma za wiele, oni już ruszyli, już są w akcji w różnych miejscowościach na wybrzeżu...

A teraz łódź. Pierwszym i najśmielszym pomysłem, ale już odrzuconym, była motorówka milicyjna. Zaangażować wszystkich

czterech milicjantów, wyciągnąć ich z posterunku, żeby byli na morzu, dopóki wojsko nie zrezygnuje z poszukiwań. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że milicjanci wskażą żołnierzom kryjówkę. Wiadomo, mundur z mundurem... Wojskowy, który budzi strach, i milicyjny, który jest w strachu. Innym sposobem milicyjnej motorówki nie można zdobyć, bo wszystko musi sprawiać wrażenie, że dyrektywa o przeniesieniu broni przysłała z samej góry.

Tajemnica wojskowa, wszystko służbowo, legalnie, spokojnie. Trzeba było z tego planu zrezygnować. Chłopaki są w porządku, nie da się powiedzieć... ale strach to strach, nigdy nie wiadomo, z czterech jeden może dać plamę. Odrzuciłem też wersję z łodzią klasztorną, nie tylko dlatego, że jest najpowolniejsza i niekoniecznie sprawna, ale wiem, że fratrów nie powinno się wciągać w takie sprawy. Pozostaje Mekanik ze swoją łodzią i motorówka kapitanatu portu. Zobaczymy.

Akcję zamierzam zorganizować tak: kiedy otrzymam wiadomość o zbliżaniu się statku desantowego, telefonuję do swojego człowieka na skrzyżowaniu. Szybko jadę z kierowcą ciężarówki przed wejście do magazynu, we dwóch, ewentualnie z pomocą jeszcze kogoś, ładujemy dwieście karabinów, pozostałą broń i wyposażenie. Są jeszcze dwa karabiny maszynowe, parę szmajserów, trochę granatów, ale też cztery skrzynki z nabojami. Stanowi to osobny problem, może umieścimy je u któregoś chłopca albo na cmentarzu, jeszcze zobaczę, nie jest mądrze trzymać amunicję razem z bronią... ale tego jeszcze nie opracowałem do końca.

Zapomniałem ci powiedzieć, że przed ładowaniem ciężarówki,

zaraz po zaalarmowaniu ludzi przy stacji benzynowej, zawiadamiam człowieka z łodzią, by ruszał do umówionej zatoki, do której doprowadza droga. Ty też znasz tę zatokę, nie ma ich stu... Po załadowaniu ciężarówki najważniejsza rzecz jest za nami i można by odblokować drogę... ale lepiej nie, dopóki nie wyruszymy łodzią do naszej kryjówki i nie znikniemy z oczu.

Tym bardziej że mogą być komplikacje. Może do mnie podejść komendant milicji, a jest to bardzo prawdopodobne, i zaproponować samochodową eskortę dla bezpieczeństwa transportu. W takim wypadku ładniepięknie bym mu wyłożył, że otrzymałem zaszyfrowany rozkaz przeniesienia broni na nową lokację i że eskorta nie jest potrzebna ani pożądana, bo mogłaby zdekspirować tajny transport... Nie wiadomo, czy dałby to sobie wyperswadować. Może by chciał, aby jego ludzie pojechali naszą ciężarówką z bronią...

Jeżeliby się upierał, a mógłby też być ostrzeżony, byłoby podejrzane, gdybym mu stanowczo odmawiał, musiałbym wykombinować coś innego. Właśnie w związku z tym przydałaby się zapasowa ciężarówka albo jakiś zamknięty samochód towarowy. Umówiłbym się z milicjantami, żeby na nas zaczekali przy wyjeździe z miasta od północy, bo tu by zanadto zwracali uwagę. Po pewnym czasie wysłałbym tam pustą ciężarówkę, szczelnie zamkniętą ceratowymi plandekami, która by pojechała do Loparu pod eskortą, na migających światłach, na wyjcu, na czym tylko by chcieli. Na tamtejszym skrzyżowaniu nasz kierowca by stanął, wyszedł i wyjaśnił, że milicja nie może dalej jechać - nowa lokacja ładunku to

tajemnica wojskowa. Dzięki, towarzysze, do widzenia. Trochę by się pokręcił po Loparze i wrócił... A my byśmy tymczasem wyładowaną ciężarówką pojechali na Suchą Puntę*, wszystko przenieśli do łodzi i popłynęli do kryjówki, o której wiedzielibyśmy tylko ja i człowiek z łodzią.

Najpierw chciałem na pewien czas zatopić broń przy wysepce Mali Laganj, od strony morza, ale zmieniłem zdanie, bo po co, skoro jest dużo dogodnych miejsc, w których też nie trzeba jej pilnować. To w zarysie wszystko, co najważniejsze. Teraz opracowuję szczegóły. Co ty na to?

- Poza zastrzeżeniami, które ci już przekazałem, nie będę niczego krytykował. To ty jesteś wyszkolonym strategiem i taktikiem... Przewidziałeś wszystko. Ale dlaczego nie postąpisz prościej?

- Och, wiem, że to nie jest najprostsze, ale tak musi być.

Jeżeli chce się przygotować wszystko ze szczegółami.

- Nie potrzeba ci traktorów ani pogłębiarek, ani mnóstwa ludzi, nawet tego trzeciego człowieka przy stacji benzynowej i czwartego, który ma przekazać wiadomość z lądu czy z promu. Wszystko możesz załatwić z dwoma. No, z trzema. Ta rezerwowa ciężarówka to mądry, dalekowzroczny pomysł. Z trzema, a nie z pięcioma. Niepotrzebna jest wojna, wrzawa, spektakl, demonstracje ludu i konflikt z wojskiem. Oszukiwanie zawiedzionej milicji. Hałas, rewizje, podejrzenia, obławy w Loparze. Mniej nerwów, pośpiechu i paniki!

- To są wady tego planu, zgoda, niestety nieuniknione.

Sam wiem, najlepiej by było załatwić wszystko po cichu, przy najmniejszej liczbie świadków.

- Nie są nieuniknione. Wszystko można zrobić o wiele dyskretniej.

- Jak? Powiedz. Prosiłem cię przecież o usługi intelektualne. No, mówże! Chociaż musisz wiedzieć, że niełatwo jest zmieniać plany. Czas leci, parę osób już zaangażowałem...

No, słucham.

- Nie ma czego zmieniać. Wszystko będzie według twojego planu.

- Więc o co chodzi?

- Po prostu: załatw sprawę od ręki. Nie czekaj, aż tu wtargną złodzieje.

- Od ręki. Ech, natychmiast! Gdyby to było takie łatwe!

- Jak tylko zbierzesz ludzi. Najlepiej nocą.

- Nie mam jeszcze statku...

- Opowiedz Mekanikowi, jak nas przyjęła Urica. Jego to interesuje.

- Nie mogę. Komisja chce, żebym milczał.

- Jaka komisja?! Obiecuj mu, że nie będziesz się liczył z niepoczytalną Uricą, a uwzględnisz zeznanie Luganigi. Ze w Księdze będzie o nim cała opowieść, z ilustracjami i fotografią. Przedstaw mu, jak bardzo ryzykujesz, nie licząc się z instrukcjami i rozmawiając z nim szczerze. Przyłączy się do akcji całym sercem i ze swoim statkiem. Po wszystkim będzie cię chwalił przed komisją. Jeżeli

jeszcze będzie istniała. Poprzez cię Luganiga, a i frater. Nie bój się, pragmatyzm nie jest im obcy.

- Nie wiem nawet, czy po tym wszystkim ja będę kończył Księgę...

- Jasne, że ty. Tamta wojna, ludzie, którzy walczyli tak ofiarnie, to jedno, a ta soldateska to drugie. Jakkolwiek by miało być, przyrzeknij, że mnie usłuchasz. Skorzystaj z doświadczeń swojej byłej partii.

Właściwie trudno pojąć, dlaczego znakomity Strateg przeoczył rozwiązanie, które narzucało się samo. Prawdopodobnie sprowokowany i przejęty wizją bezpośredniego, spektakularnego najazdu falangi z morza tak pogrążył się w opracowywaniu swoich planów, że nie wracał już do początku całej sprawy. Trudno mu było przyznać się do tego przed sobą i przede mną, coraz to zmieniał decyzje, czemu w tej sytuacji nie można się dziwić. W końcu zdecydował, że broń należy przenieść jak najprędzej, lecz do tej pory, na wypadek zaskoczenia, zachować gotowość do szybkiego zablokowania drogi.

Wszyscy wiemy, jakie marne jest życie na Wyspie poza sezonem, ale w całej Chorwacji i też nie mniej ponure, nawet i w sezonie... A może by takie samo było życie na tym całym malutkim świecie, gdyby nie sprawiedliwe wojny, zamachy samobójcze, dramatyczne masakry i kataklizmy, gazy łzawiące i kamienowanie, mnóstwo kolorowych transparentów, działka wodne, gumowe kule, spektakularne kopanie i pałowanie na wielkich bulwarach i znanych

placach.

Gdzieś się nawet wałą olbrzymie domiszcza z całą zawartością, ale to zdarza się rzadziej i nie jest takie ciekawe, wszystko wskutek oszczędności na materiałach i złodziejstwa. Wielu udaje się przeżyć, i w ogóle wszędzie jest żywiej niż u nas. Tylko nieprzeciętnie uzdolnieni dziennikarze i, że tak niezręcznie powiem, chroniczni kronikarze potrafią z każdej daty wycisnąć jednakową liczbę linijek, jakby co dzień było Boże Narodzenie, chociaż między wschodem a zachodem słońca jedynie oddzwoni południe i gwizdnie kos.

Ale wczoraj i dzisiaj drga na niektórych twarzach ledwo widoczne tremolo. Rozpoznajemy je tylko my, wprowadzeni, choć nie jesteśmy kronikarzami. Na podstawie tego domyślamy się przebiegu spraw. Nic się nie dzieje, a jednak tajemne przygotowania zapowiadają, że będzie się działo. Podskórne wibracje na twarzach aktorów zdradzają powściągliwą niepewność co do rezultatów i obawę przed fatalnym zwrotem sytuacji.

Dziś przyleciały na mój próg dwie ważne nowiny. Nie są to owe trzy decydujące, historyczne dramaty, które zdarzyły się zimą, ale jednak dwa ważne zdarzenia, może nieco bardziej prywatne, które mogą wypełnić pusty dzień, przelicytować dzwony południa i wiosennego kosa.

Pułkownik nadleciał z hukiem jak wodolot, nie rozpoznałem nawet jego kroków na ulicy. Nie zastukał do drzwi, ani od ogrodu, ani od domu, nie dał sygnału jak z cieśniny Otranto. Wpływa z szumem jak poduszkowiec, w obłokach piany, w martwe wyciszenie mojego

portu.

- Żona wyjeżdża do Banoviny. Do krewnych w Balinacu*.

Jeżeli coś ci to mówi. Rzekomo stęskniła się do rodziny.

Wróci podobno za dwa tygodnie. Akurat! Wiem, że nie wróci. Nigdy tam nie jeździła, nie utrzymywała z nimi kontaktu. Wyjeżdża raz na zawsze. Nie tylko do krewnych, ale do swoich, do swojego plemienia. Niech ją diabli porwą!

- Hm.

- No tak. Ja też tak powiedziałem, kiedy o tym oznajmiła: hm.

- Nie bierz mi za złe, ale... jeśli tak zdecydowała... Sam widzisz, na co się zanosi...

- No, dokończ. Dokończ!

- Nie wiem, co ci powiedzieć... Odhacz ją! Odstrzel!

- Już to zrobiłem. Ale jeżeli przypadkiem wróci...

- No? Ty też dokończ!

- To co mam, u diabła, zrobić? Przyjmę ją, i tyle. Przyznam, że mi odbiło i przesadziłem.

Naprawdę nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Wszystko to jest zgodne z regułami naszego świata. Co można i co kiedykolwiek mogłoby się począć z taką kobietą? Począć raczej nic, ale jak ciągnąć dalej?... Niełatwo też jest kochać prześliczną starą pannę, naszą chorwacką ojczyznę: tylu rozpustników i skurwieli opowiada o niej z intymnymi szczegółami, tylu bandziorów chciałoby ją kochać i jej bronić, tylu egoistów i złodziei ją zawłaszczają, obłudnicy przysięgają jej miłość, bezdusznicy ją opiewają, rabusie i kieszonkowcy wychwalają

jej bogactwa. Dlaczego całe to towarzystwo ją wielbi?... A co dopiero mówić o tak nieciekawej osobie, o jego Duszcze. Jak ją uznać za swoją?

- Obawiam się, pułkowniku, żeby to dla ciebie nie był za wielki wstrząs. Co się niezupełnie udało w szpitalu w Rijece, mogłaby teraz dokończyć ta twoja Duszka.

- W porządku. Rozumiem. Sam sobie pościeliłem. A teraz jeszcze coś, posłuchaj: „Mmm... towarzysz pułkownik rezerwy... mmm... z powodu nadszarpniętego zdrowia zostaje zwolniony z obowiązków dowódcy Obrony Terytorialnej na terenie gminy... mmm... i tak dalej... Pragnąc odciążyc go i oszczędzić również ze względu na wiek, Komenda mianuje na powyższe stanowisko towarzysza...”

Jak myślisz, kogo?

- Kogoś z komory Szeszerki?

- Prawidłowo. Towarzysza Woboctego! Co to karmi rekiny pięknymi Żydówkami... Dalej piszą tak: „Obowiązki i stan magazynu, księgi, klucze, po przeprowadzonej zgodnie z przepisami inwentaryzacji, należy przekazać towarzyszowi Ivanowi... i tak dalej, najpóźniej do piętnastego maja tego roku, w obecności przedstawiciela gminnego wydziału wojskowego... albo członka gminnej rady...”, i tak dalej.

A wiesz, dlaczego piszą „do piętnastego”, chociaż dzisiaj jest już osiemnasty? Dlatego że jutro, czyli szesnastego, dwa dni temu, Borisav Jović* kazał zarekwirować tę broń.

Jak widzisz, sprawa jest pilna. Dla nich i dla mnie.

- Oczywiście maczał w tym palce ten szpicel z Rijeki?

- Zapewne, zapewne. Ale może nie tylko on - mruknął jakoś dwuznacznie.

- Kto o tym wiedział? Mekanik?

- Wiedział Mekanik, Luganiga, Pilot i pewien młody elektryk, co to siedział za „przestępstwo słowne”... Ale za nich włożyłbym rękę do ognia. Oni są absolutnie poza podejrzeniem.

Zamilkliśmy. Na dworze, na tarasie, nałalem mocnej domowej. Wychyliliśmy ją na stojąco, jak stare pijusy. Obu nam chodziła po głowie chyba ta sama bluźniercza myśl.

Pułkownik odkaszlnął i skrzywił się z bólu.

- To ona! Może nikt poza tym, ale ona tak - wycedził.

- Wygadałeś się przed nią, nieszczęsny konspiratorze?

- Chyba tak, jak to w domu, przekleństwo! Człowiek jest dożywotnim idiotą. Pewnie ja też się przy niej rozPierdziłem! Wypnie się człowiekowi... Chcesz czy nie chcesz, coś się zawsze wypnie. Kto ma nastawione uszy, nic mu nie umknie. Taka oto jest moja śpiewka... A teraz ona się pakuje, wywozi swój zdradziecki tyłek do Balinacu, mam nadzieję, że tam go już zostawi. Myślę, że przydarzyło jej się to nie tylko tak sobie. O nie! Tu wchodzi w grę polityka.

Decyzja: przegrupowanie, każdy na swoją stronę... zanim zaczniesz się rumor.

Chociaż jeden kieliszek to już było dla niego za wiele,

naląłem drugi. Pułkownik zmierzył mnie wzrokiem, jakbym nie wiedział, co robię. Nie wziął, jak ja, kieliszka ze stołu, tylko wyszedł na środek tarasu i stanąwszy w pozie mówcy, wyrecytował półgłosem:

- Co ja mam dziś zrobić, przed jutrem? Co? Unieszkodliwić broń... wyrzucić zamki do morza? Ukryć bodaj część tego wszystkiego? Otworzyć drzwi i rozdać broń ludziom?

Poprzerabiać dane w księgach inwentarzowych? Poradź mi, co teraz zrobić?

Wziąłem ze stołu jego drugi kieliszek, umieściłem w gniazdku podniesionej dłoni, stuknąłem moim kieliszkiem i wypilem. Zaczekał, chcąc sprawdzić na moim przykładzie, czy można przeżyć ten drugi.

- Będą mnie obserwować - powiedział. - Od dziś jestem śledzony... Trzeba by uzbroić ludzi i zmusić wojsko do odwrotu. Zaskoczyć je z zasadzki, z kryjówek na kamienistym terenie, i zapędzić z powrotem na jednostkę desantową.

- Uspokój się trochę, dowódco. Widzę już obraz pobojuwiska: wszyscy wstają, a tylko jeden leży skoszony zawałem. Wokoło zapach szaławii i kocanki. Przepiękny księżyc.

„Pełny księżyc nad nocnym widokiem boju skończonego”*

Uspokój się i nareszcie zdemobilizuj. Oczywiście, że będziesz śledzony od dziś, jeżeli nie byłeś już przedtem. Widzisz, że im się spieszy. Możemy oczekiwać desantu. Pogódź się z tym, że już za późno. Nie jest to jedyne nasze spóźnienie. Nie tylko twoje i moje, ale... Stuknijmy się jeszcze raz, ja wezmę... trzeci. Wypij!

Przysięgam... wlał w siebie wszystko, do ostatniej kropli, jak

Sokrates truciznę.

- A teraz idę się tam pokręcić, zobaczyć, kto mi depta po piętach - powiedział.

- Tam jest za duży ruch, a ty będziesz widział podwójnie.

Cokolwiek teraz postanowisz... nie rób tego!

- Idę. Jestem dziś trzeźwiejszy niż doktor Hudolin*, nie martw się. Nie mam znowu takiej słabej głowy. Ten alkohol tylko mnie pali, ale dziś i tak płonę!

Domyślałem się, że pułkownik, nie przyłapawszy przed drzwiami ani jednego kapusia, zdrzemnął się w półmroku swojej kryjówki. Później potwierdzili to ci, którzy wprawdzie nie mogli niczego widzieć, ale zawsze wiedzieli wszystko, co dzieje się za cudzymi zamkniętymi drzwiami. Siedział na jednej ze skrzyń pełnych karabinów w ciasnym, zagraconym pomieszczeniu Domu Strażackiego, które ustąpiono mu czasowo na skład broni. Co trochę wyglądał przez otwór w drzwiach wjazdowych, w których wyrwano zamek wraz z klamką i zamykały się teraz na łańcuch z kłódką.

Nie mogąc stwierdzić, czy ktokolwiek z przechodniów kręci się tu albo zatrzymuje, pułkownik na straży od czasu do czasu zapadał w drzemkę, w niebyt, i tylko zgrzytał zębami, jak to my, starzy. I kiedy kto wie który już raz wyjrzał na zewnątrz, zobaczył, że przed kawiarenką na rogu opustoszał taras, bo wieczór zapędził gości do ciasnego wnętrza.

Zza dużej szyby zadymionego lokalu też nikt się nie wpatrywał w półmrok i nie wyglądał przez drzwi, oprócz może mojego syna,

który mnie tam szukał. Wszystko było jak co dzień. Na pobliskim parkingu mężczyzna śleczął nad swoim trójkołowym pojazdem, łatając chyba dętkę, ale nie można go było podejrzewać o szpiegostwo. Nazbyt zajęty swoją robotą, ani razu nie spojrzał w stronę zasadzki pułkownika i cały czas był do niego odwrócony plecami. Zostałem go i ja, kiedy tam później przyszedłem.

Zmarznięty i zniechęcony pułkownik zdecydował się opuścić posterunek. Założył kłódkę na łańcuch i kiedy już miał odejść, jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Wtedy zobaczył na zboczu skradającego się z hałasem ku jego strażnicy szarooliwkowego kolosa. Wojskowa ciężarówka właśnie się zatrzymała, a kierowca, którego ubrania nie można było rozpoznać w ciemności, wychylił się przez okno i machnął na przechodnia. Ten automatycznie podszedł, w pierwszej chwili wzruszył ramionami, lecz potem, jakby wciąż się wahając, wyciągnął jednak przed siebie obydwie ręce w stronę Domu Strażackiego. Na to z kabiny, po przeciwnej stronie, wyskoczył młody oficer, cały w rzemieniach jak pański pudel, ruszył zdecydowanie ku pułkownikowi, który wciąż jeszcze stał w miejscu, i zawołał z daleka: - Gdzie tu jest Dom Strażacki, towarzyszu?

Pułkownik patrzył bez mrugnięcia okiem, mierzył wyelegantowanego, pyszałkowego smarkacza.

- A na co ci Dom Strażacki?

- Pytam, gdzie jest? Odpowiadaj, skoro pytam!

Pułkownik nadal przeszywał go surowym spojrzeniem zwierzchnika. Zapomniał, że jest już zwyczajnym niepozornym

cywilem.

Jakiś przechodzień wskazał napis wysoko w górze, na całą szerokość frontonu. Oficer podniósł wzrok i rzuciwszy na pułkownika jeszcze jedno wzgardliwe spojrzenie, podszedł do drzwi. Pochwycił dłonią kłódkę, jakby mierzył ciężar koziego jądra, po czym wrócił do ciężarówki, która stojąc na środku placyku, trzeszczała tak, jakby się miała rozlecieć.

Oficer machnął ręką i zakrzyknął: - Wychodzić!

W tej samej chwili podniosła się ceratowa klapa i zaczęli wyskakiwać żołnierze w pełnym umundurowaniu, z ładownicami, ale bez broni i plecaków. Tylko dwaj z podniesionymi karabinami maszynowymi szybko stanęli obok porucznika, innych popychał ku drzwiom, jakby ich przeliczał.

- Do roboty, chłopcy, żwawo, wykonać zadanie! - pokrzykiwał.

Zgrana grupka żołnierzy niezwłocznie zajęła się wielkimi drzwiami. W rękach jednego z nich znalazł się żelazny łom, który żołnierz usiłował przecisnąć przez ucho kłódki, ale bez powodzenia, było za delikatne i za wąskie. Nadział więc jedno z ogniw łańcucha na czubek metalowego pręta i kilkoma szarpnięciami rozerwał go tak, że łańcuch razem z kłódką poleciał pod nogi oficera. Porucznik kopnął łańcuch na bok. Rozchwiane dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się i zakołysały, grożąc wypadnięciem z zawiasów.

Wtedy stanął w nich pułkownik, którego dwaj żołnierze z karabinami usiłowali odciągnąć za rękawy. Wyrwał się, zagroził napastnikom drogę i zawołał: - Jestem dowódcą Obrony Terytorialnej!

Pułkownikiem Armii Jugosłowiańskiej! Zawiadomiliście kogoś o tej akcji?

Nic to jednak nie pomogło.

- Odsuń się. No, odsuń się! - zawarczał oficerek dyszkantem. Po chwili jednak powiedział niepewnie: - A więc to wy... Mówiono mi, że nie powinienem mieć z wami problemów.

- Tę kłódkę zamykało się na klucz. Broń to własność ludu, a nie wojska!

- Nic mnie nie obchodzi, mam rozkaz. Armia też jest ludowa.

- Ja odpowiadam za magazyn. Nie pozwalam.

- Odsuń się stąd, rozumiesz?! - tym razem ostrzej burknął oficer.

- No odsuń się, odsuń, bratku - powtórzył niemal perswazyjnie żołnierz z karabinem, lecz przy tym dość brutalnie szturchnął pułkownika łokciem.

Pułkownik zachwiał się, ale bez wysiłku ustał na nogach.

Żołnierze przepchnęli się obok niego do wnętrza. Z placyku widać było skrzynie z bronią. Porucznik dał znak szoferowi, aby podjechał do wejścia tyłem. Żołnierz z karabinem pomagał mu wykonać manewr.

- Bliżej, jeszcze bliżej... no... możesz, śmiało...

Teraz już i ja byłem przy tym. Zaalarmował mnie telefon od syna, który właśnie przyplłynął promem w swoich sprawach.

- Tato, hej, tato! - wołał. - Jestem na Glavinie. Właśnie przybija statek desantowy... maona*... podobny do promu... nie wiem, jak się nazywa to gówno z wojskiem i ciężarówkami. Wyskakują żołnierze,

rzucają cumy. Spiesz się! Będą, jak Boga kocham, okupować Wyspę! Pilnuj się.

Nie wychodź. Zamknij wszystko. Niedługo będę, słyszysz?!

Zaraz przyjadę, jeżeli mnie nie zatrzymają... - Był poruszony i przejęty.

Zanim przerwał połączenie, zawołałem do słuchawki, że znajdzie mnie przed Domem Strażackim. Zaprotestował, że nie ma to związku ze strażakami...

- Nic się nie pali, ale zajmują Wyspę, człowieku, to okupacja! Jaki tam pożar! Rozumiesz? Czekaj na mnie w domu, nie mam klucza, nie wychodź!

Nie wiem, ile minut później, kiedy szukałem, co na siebie włożyć, gdybym jednak poszedł na plac rozboju, znowu zadzwonił telefon i odezwał się niezbyt znajomy, ochryply starczy głos:

- Ten się tam naraża...

- Kto się naraża? - pomyślałem o synu.

- Ten pana... Ten... co pilnuje broni. Przypłaci to swoją szaloną głową! Wzywam ludzi, żeby przyszli przed straż...

Wszyscy powinni tu przyjść, koniecznie. Wszyscy!

Narzuciłem na siebie co popadło i złapałem laskę. Zostawiłem ogród niezamknięty. Z daleka widać było, że ludzie się tam zbierają... Przyszedłszy, zastałem już syna, który opowiedział mi jednym tchem wszystko, co widział od początku, jako że jechał tuż za ciężarówką. Kiedy ten z karabinem odepchnął od drzwi pułkownika, jakaś kobieta półgłosem zapytała zgromadzonych ludzi: „Po co popychać takiego

starego człowieka?” Na to porucznik zwrócił się do publiki: „Rozejść się!”, a temu, który pomagał ustawić ciężarówkę, rozkazał: „Rozpędź to, ale już!” „To” cofnęło się jednak tylko parę kroków i znowu się zatrzymało, nie na znak protestu, ale z inercji i czezej ciekawości. Żołnierz okazał się bezradny, nadchodzili nowi widzowie i cała ta wojna, sądząc choćby po liczbie publiczności, przybierała niepożądane, spektakularne rozmiary, chociaż z ogólnej wrzawy nie wybijał się już ani jeden głos. Skrzynie z karabinami ładowano na oko sprawnie, ale wszystko to musiało trwać, gdyż amunicja, zamiast w skrzynkach, była w małych kartonowych pudełkach, maski gazowe leżały luzem, namioty złożone prawidłowo, ale niepowiązane; pasy, manierki i inne wyposażenie też w nieładzie...

Nagle rozległ się grzmiący głos:

- Bandyci! Rabusie! Złodziejska zgraja!

Ludzie oglądali się. Na niski murek wspiął się wyniosły prorok, Misterioso. Widziałem, jak błyskają szkła jego okularów, chociaż wszystko działo się w gęstniejącym mroku, przy bladym świetle dalekiej latarni ulicznej, i tylko okno kawiarenki jaśniało za naszymi plecami.

Nikt z żołnierzy nie zareagował na ten krzyk, jakby ich to nie dotyczyło. Pewnie już gdzie indziej słyszeli, jak przeklina rozgoryczony naród. A może mieli instrukcje, żeby się nie wdawać w porachunki, tylko dokonać grabieży i spokojnie, bez incydentów opuścić miasto. Na niedalekim posterunku milicji nawet okno się nie uchyliło i nikt nie wyszedł na schody przed budynkiem. Gdyby

pośrodku kręgu nie operowała ta niema łupieżcza soldateska, wszystko sprawiałoby wrażenie nieograniczonej wolności słowa i zgromadzeń, małego Speakers' Corner w Hyde Parku, idylli społeczeństwa liberalnodemokratycznego albo po prostu: państwa, które się rozpada.

Pułkownik, wypchnięty z terenu akcji, wciąż krzyczał coś do oficera, obracając się wokół siebie jak pies, który wybiera miejsce, gdzie się położyć. Wyrywając się synowi, który ciągnął mnie za rękę, podszedłem do przyjaciela, z laską wymierzoną w piersi żołnierza, który chciał mnie zatrzymać. Namawiałem pułkownika, żebyśmy stąd poszli. Za nic się nie godził, choć może przekonałem go, że jest bezsilny i niczego nie zmieni.

- Chcę być przy tym obecny. Dokąd mam iść?! Widzisz, na Boga, że muszę zdać magazyn. Czytałem ci przecież: „Po inwentaryzacji przeprowadzonej zgodnie z przepisami... należy przekazać najpóźniej do piętnastego maja...” - wierzchem dłoni uderzał w papier.

- Jeżeli to był wasz obowiązek, przedstawcie księgę inwentarzową - polecił pułkownikowi oficer.

- A co, chciałbyś się upewnić, czy zrabowaliście wszystko? Żeby coś nie zostało właścicielom?

- Nie pieprzcie, towarzyszu! Mówię poważnie. Gdzie macie spis wyposażenia?

Pułkownik, wzór przyzwoitego i uprzejmego oficera rezerwy, chwycił się mocno za jaja i zasyczał: - Oto mój spis! Chcesz coś

jeszcze? Tylko powiedz! - I rzucił w niego dokumentem o „zwolnieniu z obowiązków” oraz „inwentaryzacji przeprowadzonej zgodnie z przepisami”.

Gorsząca i malownicza scena w duchu słowiańskiego folkloru, niewyobrażalna w cywilizowanym świecie, może poza kilku zacofanymi kontynentami, nie była czymś, co by przystało mojemu pułkownikowi, jemu przede wszystkim, podobnie jak ów niedawny „bośniacki herb”. Ale rozegrała się, serce człowieka boli, wstyd ogarnia. I co teraz? Mamy poniewczasie rumienić się na darmo? My, tacy łagodni i prości?... Tylko na wygoloną dziobatą twarz wypiełgnowanego i wypachnionego porucznika wystąpiły matowo czerwone plamy, z pewnością nie wskutek brzydkiego gestu, lecz cywilnej zuchwałości tego rezerwisty... a przy tym wyższego oficera. Na szczęście przybiegł żołnierz z grubą teczką w twardej oprawie.

- Jest, towarzyszu pouczniku, leżała na stole, pod sekretatorami!

- Przynieś wszystko, segregatory też, co tylko tam znajdziesz.

- Ro... zumiem, towarzyszu pouczniku!

- Ty też nareszcie zrozumiałeś? - spytałem pułkownika.

- Nie ruszę się stąd aż do końca tej haniebnej grabieży!

- Więc żegnaj. Walcz dalej, szalony pułkowniku, jeżeli ci to sprawia przyjemność - powiedziałem. - A potem zajrzyj do mnie. Dłużej nie mogę tu być, doczekałem się syna.

Zdumiony pułkownik nawet w tej swojej opresji roześmiał się cierpko - zrozumiał z moich słów, że zostałem ojcem.

- Idź, idź, ale nie sam! Zaproś z tej okazji jakąś babkę. Ja tu

zostanę w końcu sam jak palec...

Syn mnie odciągnął, burcząc, że się mieszam. Dopiero w połowie drogi, kiedy trochę ochłonął, pocałował mnie i spytał:

- Co to za człowiek?

Odrzekłem patetycznie, że to głos narodu.

- Jak widzisz... daremny - powiedział.

Wyjaśniłem mu, że nie chodzi o jakąś nową okupację, pod okupacją żyjemy od wieków, ale o powszechne rozbrojenie narodu, czyli o coś właściwie bardzo podobnego, zgodnego ze stanem rzeczy, o coś oczywistego i bezczelnego. A jednak to nie to samo, jeżeli... spojrzeć głębiej. Naród bowiem ma dobrze ukrytą, nielegalną i dywersyjną broń moralną, tak zwane umiłowanie wolności i ojczyzny, patriotyzm oraz inne typy i kalibry staroświeckiej, a dzisiaj współczesniejszej, coraz nowocześniejszej broni duchowej... i tak dalej.

- Zwłaszcza dobrze ukrytej! - dodał ironicznie.

Wyliczyłem wszystkie bezskuteczne zrywy, od buntu chłopów*, buntu hvarskiego* i tak dalej, bo mogło to zadziałać pedagogicznie, uspokajająco i leczniczo na rozgoryczonego młodego ducha, który najwyraźniej się burzy. I kicha na całe to dziedzictwo. Natchnął mnie, oczywiście, obojętny tłum, który gapił się w milczeniu na swój opróżniony magazyn. Chwała Misterioso, jedynemu, który się ocknął! Ale nie chciałem go wyróżniać, bo każdy pozytywny wyjątek naruszałby ogólne wrażenie hańby.

Było już całkiem ciemno, kiedy usiedliśmy we dwóch na ławce

nad brzegiem, po drugiej stronie portu. Chciałem, by odpoczęły moje nabrzmiałe nogi, zanim wejdziemy na te niezliczone, niekończące się schody, które prowadzą do naszego domu. Pomiedzy dwoma koćarami* otwierał się widok na drogę przez port, skąpo oświetloną kilkoma latarniami - tędy po zakończeniu akcji musi przejeżdżać wojskowa ciężarówka. Czekaliśmy na nią w milczeniu, by na naszych oczach potwierdził się i zamknął ten uciążliwy dzień.

- Ty, stary, nawijasz mi tu o twoich zakichanych Gubacach i jak się nazywali wszyscy ci zasrańcy, Ivaniciowie i inni... Mam gdzieś tę waszą broń, karabiny, tę waszą terytorialną czy ogólnonarodową... Ale jeżeli już tam byliście, ty i twój Generał, to czemu nie zagraliście ludzi do oporu, żeby sprzeciwili się rabunkowi i powstrzymali tę szarańczę?! Żebyście im chociaż przebili opony... poświecili zapał - ką czy zapalniczką koło prochu... albo weszli z pochodnią do Domu Strażackiego... albo razdwa powrzucali zamki do worka...

Spod synowskiej różgi wyciągnął mnie na pewien czas wielebny proboszcz, nie znam nazwiska, kilkoma konwencjonalnymi słowami powitania, a zaraz po nim kapitan portu, który dopłynął do naszej ławki dostojnym „cichym chodem jak cesarski okręt, spętawszy rufę potężną”*. Ich zachowanie i słowa świadczyły, że nie wiedzą, co się dzieje.

Proboszcz psalmodycznie opiewał łagodną i spokojną wiosnę, która pozwala nam siedzieć późną porą nad morzem, mirando le Stelle*; na widok zbliżającej się karłowatej kapitańskiej bryłki błyskawicznie pierzchnął.

- O, szor profesur! - zapiszczał kapitan ze swego tenorskiego podbródka. - Proszę sobie nie inkomodować*. Tylko uwiąże tu jacht, który właśnie wpływa, a wy siedźcie, nic się nie przejmujcie, nie będziecie zawadzać linom, jacht wam nie będzie diszturbać*, mam nadzieję. Wszystko orajt.

- Jeżeli jacht jest duży - odezwał się mój syn - to bardziej będzie przeszkadzała koca.

- O, duży. Trzydzieści kilka metrów, kurna! Transoceaniczny. Basztiment*Dlatego stawiam go tu, żeby nie zawadzał szybkiej linii... A wy się nie ruszajcie! - Zakrzętnął się przy jednym z koćarów i zawołał do kogoś w ciemność: „Daj rękę, pociągniemy tego czorta ździebko do przodu”.

Zdjął z cumownicy pętlę, jedną, potem drugą, i zaczął ciągnąć statek. Z pomocą przyszedł mój syn, sprawniejszy od niego, a zaraz potem wyłonił się z ciemności wzywany stary tragarz. Statek poddał się ociężale i zaczął ledwo dostrzegalnie ocierać się o przystań. Kiedy wystarczająco odsunęli go i umocowali, zdyszany kapitan, zwany też Pilotem, podszedł do ławki i półgłosem podziękował mojemu synowi za pomoc.

- Miliun razy mówiłem - powiedział - że w porcie nie ma cumowania bez deżurów. Niech taki śpi, ile mu się podoba, dzień i noc, ale chcę, żeby zawsze jeden z nich był na statku.

Nie wiem, kiedy powieje jugo, i bede ich musiał ratować od sztigi*. Wiążą się cumkami po dwajścia milimetrów, wszystko może pójść w diabły, porwać się na strzepy jak jedwabna nitka, jeżeli morze

grzmotnie jak się patrzy... Czasem należy, jak teraz, przesunąć statek. Zmienia się porzondek, z tymi żeglarzami nie mogę z góry wiedzieć, kto i kiedy będzie wpływał. Nie jest to regularna linia, ale aprowizacja... tego... improvizo, wszystko niespodziewane, nieprzewidziane i znenacka. Teraz mają telefony, radio, zawiadamiają, że są, dopiero od punkty Frkanj, a niektórzy od punkty Luna...

Żądają zacumowania i nie tylko: benzyny, wody, prądu, obsługi, a ja nie mam nic do tego, ja daję umocowanie, to do mnie należy, o inne sprawy niech się martwią sami. A trzeba się tu uwinąć, wszystko wywrócić sotosovra* w ćwierć godziny. I nie bede ja statków, co mają po pięńdziesiont metrów, remucial* zębami po porcie. Owszem, jestem Matija i moja żona jest Matija, ale nie jestem, osztija, Matija Matijević, bohater z Liki, co to zębami ciąga samoloty po polu.

- Ani Matija Ivanić, ani Matija Gubecbeg... - zakpił sobie mój ironista.

- Masz rację, synku... Ale mnie ten sjasz, porco ladro*, ścisza jak dyby, no wie pan, kłody. Trzyma i nie puszcza.

A jak by miało być, wilgoć, całe dni przy morzu... auto zardzewieje, to i człowiek. Człowiek też ma żelazo we krwi, prawda? A w takim razie? Słyszał pan o tym, szjor profesor? Że jest żelazo w człowieku? Pan to na pewno słyszał.

Może tak być?... A może, dijanbrla*, skoro ludzie tak mówią, wszystko może być. Zawsze mnie drapie, kiedy kaszlę, ale to nie będzie kawałek żelaza, tylko diabelny katar i ta azma. A w środku

pewnie jestem ruzinawy*. Bo jak by nie, niech pan sam powi, metr od morza co dzień, a prawie i co noc, całe życie, odkąd się urodziłem, żeby oddychać wilgocią i cierpieć ją naokoło. Wilgoć i smród, jak Boziekocham.

Czuje pan fńszkin* od tych statków? Aleście sobie wynaleźli miejsce, zresztą nie ma wyboru, bo w całym porcie śmierdzi. Nie myją dobrze pokładu, chlusną dwa kubły z morza, i gotowe. Boją się, biedacy, nóg zamoczyć, więc statki śmierdzą, co im to! A mnie nos odpada, wyobraźcie sobie, teraz, jak przyplyną fureszti z jachtami i ten... „Al trochę”... czy jak mu tam... za parę minut zrobi ze mnie mutriję*. I co mu powim? Że tak musi być? Ale niech pan słucha, jeszcze coś: poniektórzy to lubią. Jak Boziekocham! Mówią tak: Jiach!

Szejn, szejn. Dazist ajn szpecijeler mediteraner Duft!”* Udają wilków morskich, że im to fajnie wonią, ale ich kobity zatykają nos, a jak! O, płynie. Oo!

Wstał i ruszył brzegiem w stronę wejścia do portu, ociężale, szorując gumowymi podeszwami po wytartym chodniku i wymachując ręką w ciemności. Na statku rozległ się sygnał, a na maszcie zabłysło światło dziobowe. Pilot machał nadal - skąd można wiedzieć, co znaczy to buczenie: że go widzieli czy że go wzywają? Odwrócił się do nas i zachrypiał: - Gdybym miał radio, byłbym jak panisko. A tak to drzyj się, wołaj, machaj jak mamaluko. Dawniej mieliśmy chociaż ten ręczny feral na naftę...

Jacht zasłoni widok na drogę, którą będą jechać żołnierze.

Wstaliśmy i poszli w stronę naszych schodów, oglądając się jeszcze, ale na drodze mijały się auta i nieliczne ciężarówki.

Z tej odległości nie odróżnilibyśmy wojskowej.

- Czy to możliwe, że ci dwaj nie wiedzą, co tam robi wojsko? - zdumiewał się mój waleczny syn. - Dobrze, ksiądz. Ale ten drugi to urzędnik, osoba publiczna, pan całego portu...

Byliśmy już u podnóża schodów, kiedy z wybrzeża zawołał za nami kapitan:

- Profesorze! Mógłby pan na mnie jeszcze trochę zaczekać? Mam coś do pana...

Syn poszedł po schodach, a ja zawróciłem do ławki, przed którą już manewrował „Altrove”, jasnoblękitny, luksusowy trójmasztowy krążownik z niewidocznymi pasażerami i tylko trzema marynarzami w kolorowych bermudach, biegającymi po pokładzie. Kapitan polecił tragarzowi pomóc przy cumowaniu, ale jeden z marynarzy wyskoczył i sam podjął linę. Niby to obojętnie przyglądał się tym manewrom szyper, trzymając skrzyżowane ręce na jednej z dwóch obręczy steru. Nikt z pasażerów nie wyjrzał jeszcze na pokład.

- Mam do zamienienia z panem dwa słowa - powiedział kapitan w przejściu. - Nie mogę przyjść do was na górę, bo jestem na służbie. Ale zaraz... Niech pan zaczeka jeszcze trochę.

Statek pocałował się z nabrzeżem, a ja niby to się oddaliłem, żeby mnie nie wzięto za portowego gapia, który działa żeglarzom na nerwy. Ale na statku było dużo interesujących rzeczy, od wielkich niklowanych wind fałowych, przypominających beczki z piwem, do

automatycznego pilota za sztakiem na rufie, radaru masztowego, anodyzowanego drzewca do napinania spinakera i bębna z rolfokiem na dziobie.

Szalupa zawieszona na rufie byłaby dla mnie prawdziwym jachtem, w którym zmieściłaby się cała moja rodzina ze wszystkimi jej szerokościami, grubasami i grubaskami.

A kiedy wszystko się uspokoiło, kiedy marynarze pogasili światła nawigacyjne, pozycyjne i sami zniknęli, przyłączył się do mnie zmęczony już Pilot.

- Myśli pan, że człowiek dostanie jakiś napiwek od tych bogaczy?! Figę, i to suchą! Rano odpłyną, nie powiedzą nawet addio, szjor sztokfisz, a gdzieby tam zostawili jakąś małą manczę*.. Ale chciałem pana zapytać: gdzie jest nasz Generał? Miał dzisiaj przyjść, żeby się umówić w związku z tą naszą akcją, co to pan wie. I jakoś go nie widać. Co z nim? Może znowu zasłabł?

- Nie, nie... O, niech się pan odwróci!

Na odcinku drogi pod górę pięła się właśnie wojskowa ciężarówka z hałasem, który przez całą szerokość portu niosło aż na tę stronę. Obciążona ludźmi i bronią, poruszała się wolno i grzmiała.

- Co? Generał jedzie? Tą ciężarówką? Może go aresztowali?

- Nie. Zabrali broń.

- Żołnierze? A kiedy przyjechali, że nawet nie słyszałem?

- Przed wieczorem. Niech pan zapomni o planach i akcji.

Generał ledwo żyje, zdenerwował się. Ubiegli was.

- Mnie? Bóg z panem! Nie mam z tym nic wspólnego.

Była to taka sobie mała zajebanej a, i tyle. Kto by sie tam ścigał i rywalizował z wojskiem! On poprosił: przewieziesz mnie, Pilocie, mnie i pewien towar, do Świętej Mary? O inne sprawy sie nie martw, wszystko biorę na siebie. No dobra, powiedziałem, jak zapłaci za benzynę, czemu by człowiekowi nie pójść na rękę. Widziałem, że to dla niego ważne... i chciałem też coś zrobić dla obrony narodowej... Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem, co ma być przewożone... tyle że jakieś rzeczy wojskowe... namioty... Znaczy, że wszystko to mu sprzątnęli sprzed nosa? Patrzcie no! A będzie odpowiadał? E, na pewno. Z nimi, Jezuchryste, nie ma zabawy.

W mroku nabrzeża zobaczyliśmy, Pilot i ja jednocześnie, wysoki cień. Wydłużonym krokiem nadchodził Mister Jozo, rozprawiając o czymś sam ze sobą. Pilot podszedł do niego.

- Jak tam, Jozo - spytał - jak to sie skończyło?

Ale nieziemski Misterioso kroczył dalej, kołyszając górną połowę swej wysokości i - oddalając się szybko. Pilot usiłował go dogonić, wciąż nawoływał. Nareszcie Jozo zwolnił kroku i nie odwracając się, powiedział: - A jak... się miało skończyć?

- Zabrali wszystkie strzelby, co? Wszystko sprzątnęli?

A czy choć troche walczyliśmy... tego... czyśmy sie opierali?

- A jakże! Tu, na ławce.

- Mój Boże! Pozwolili im zabrać wszystko?!

- Zatkajże się! Naród - tu Misterioso splunął - to bydło, kurna!

Na pół ślepy, rozpoznał chyba po sylwetce, że siedzę na kamiennej ławie. Podszedł i wykaszłał: - Pan uciekł! A tamten pański

zasłabł...

Wstałem.

- Niosą go... do ambulatorium na... płachcie namiotowej... go niosą. - I odchodząc, ciągnął: - Przynajmniej to nam... zostało. Ta sztraca*. Może go przerzuci... swoim statkiem... litościwa nasza armia. Jeżeli przeżyje. Do Rijeki... - Odwrócił się jeszcze, podniósł rękę i zaczął kręcić otwartą dłońią, jakby chciał powiedzieć: „To koniec. Nic już z niego nie będzie”. - Nie oddycha - dodał, znikając jak duch. - Nie daje znaku...

Miałem go spytać, jak zwykle głupio i nie w porę, czy dowiedział się czegoś w sprawie stażu Mekanika, ale na szczęście nie zapytałem... Życie ludzkie jest najważniejsze.

- Zawiadomiliście jego żonę? - wołał za odchodzącym Pilot.

Mister Jozo tylko wzruszył jednym, ledwo widocznym ramieniem i przepadł w ciemnościach.

- Zadzwońię do niej z kapitanatu - powiedział Pilot i zaraz o tym zapomniał. - Jak tylko skończę z tymi tutaj...

„Altrove”. Gównu altrove*Jeżeli są altrove, to czemu nie popłynęli gdzie indziej, tylko dokładają mi roboty? - Zbliżył się do statku, postawił nogę na odbijaczu, oparł się ręką na kolanie i zawołał: - „Altrove”! Gdzieście się, u diabła, wszyscy pochowali? Alo! Benvenuti! Alo! „Altrove”! Buona sera! Ben arrivatü*...bię was!

Skądś wyjrzała siwa głowa i Pilot zapytał, jak długo zostają w porcie: - Quanti giorni? Ile? Quanto tempo resta?*

Nie otrzymawszy odpowiedzi, rozłożył ręce i oglądał się to na

mnie, to na statek.

Wkrótce z salonu wyszedł krzepki sześćdziesięciolatek w obcisłym niebieskim dresie i przeskoczył po małym mostku na nabrzeże. W prawej ręce miał butelkę alkoholu, lewą podniósł, rozstawił palce i nałożył na nie trzy kryształowe kieliszki, które iskrzyły się i dzwoniły jak na Boże Narodzenie.

- Capitano di porto! - podszedł do Pilota i podał mu kieliszek. - Quanto... quanto! Su, via!... vedremo ancora. Non si sa insomma.* - Potem nachylił się, ocenił mnie widocznie po okularach i wyświechtanym płaszczu. - Dottore! - podał mi kieliszek. - Facciamo un brindisi! Due gocce di vodka! Originalissima! Fredda!*

Ani się obejrzeliśmy, a już trzymaliśmy w ręku ciężkie jachtowe kieliszki z grubym dnem, z litego kryształu. Iskrzył się w nich alkohol, lekki, rzadki i przejrzysty jak płynne powietrze, a jego zapach tłumiał smród ciągnący od pobliskich łodzi. Choćby kieliszki nalane były do pełna, nie czułoby się różnicy w wadze.

Pilot wzbraniał się, że nie pije, nie wolno mu...

- Ma non devo, ma non bevo*... Ma non bevo, ma non devo...Altrove nalegał, niech nie mówi głupstw, i stukał się z nim kieliszkiem: - Dai, dai, ma che dice! Non ne dite di quelle!*

- częstował i domagał się, by wypić do ostatniej kropli - sino all' ultima! - Podnosił kieliszek wysoko nad głowę.

Po wszystkim, co się dziś zdarzyło, czułem, że dobrze mi zrobi ta rosyjska trutka.

- Benvenuto, signor Altrove! - wzniosłem toast.

Pilot nadal zachowywał się jak ofiara gwałtu, ale w końcu też podniósł kieliszek.

Altrove zakrzyknął po włoskochińsku: - Cincin! Salute! - wychylił do dna, stanął jak panisko na rozstawionych nogach, przeciągnął się, odrzucił do tyłu głowę i zaczął z rozkoszą wdychać nocne powietrze, słodko postępując: - Aaa, oltre ogni dire! Son proprio ebbro di gioia*.

Pijany niewysłowionym zadowoleniem, jakie odczuwa każdy żeglarz po osiągnięciu dziennego celu, znowu nachylił się nade mną, z retorycznym pytaniem, czy może zastanawiam się, dlaczego jest taki uszczęśliwiony. I zaraz sam sobie odpowiedział: bo znajduję się naprawdę gdzie indziej.

Zawsze gdzie indziej - altrove\parA pan, dottore, ma chyba wątpliwości... Czy się mylę?

Nie, nie mylę się. Wiem, myśli pan: ale z jakiego powodu?

Vero? Difatti*, oto dlaczego: ponieważ tego wieczoru znajduję się zdecydowanie gdzie indziej, i nie da się tego wyrazić słowami. Altrove. Zawsze gdzie indziej, byle gdzie indziej!

Zawsze, ale nie na zawsze, hahaha! Sempre altrove, ma non per sempre! - dodał ironicznie, śmiejąc się ze swojej uszczypliwej, a może tylko żartobliwej riposty.

- Viene da lontano?*

- Beh, per dire si e no. Da Manfredonia*

Jego „tak i nie” skwitowałem bardziej kurtuazyjnym niż wyrażającym prawdziwe zdziwienie grymasem: no, raczej jednak z

daleka.

On zaś nonszalancko pochwalił się swoim stateczkiem, który może pruć fale na pełnym morzu: - Drobiazg. Tyle co nic. La mia barchetta puó affrontar l'alto mare, soleare oceani! Moja łódeczka potrafi stawić czoło pełnemu morzu, przemierzać oceany!

- No pewnie - odezwał się Pilot. - Pewnie. Taka wielka!

Z takim motorem... Quanti... koni?

Poczułem jakąś zgagę na myśl o naszym marnym losie i jego drogim azylu. Jak zwykle w chwilach beznadziei i głupiej zazdrości, zacząłem złośliwie medytować, że to jego „gdzie indziej” jest właściwie do niczego, że wprawdzie przybywa „skądinąd”, ale nie dotarł „gdzie indziej”, jak mu się wydaje, chybiony jest bowiem cel i zamiar. Obawiam się, że wszystko to tylko absurdalne oszukiwanie samego siebie, omyłka i złudzenie. Sącząc jeszcze ogniste krople, przy nieustannym dolewaniu, z oczyma trochę już zamglonymi i stwardniałym językiem, bredziłem do kieliszka jak do mikrofonu: - Donde? Si, si. Da dove... si, forse. Skąd? Tak, tak... Dokąd?... może. Ale obawiam się, że donikąd. Nigdy. Choć może się wydać absurdem, że tak właśnie jest. Sbagliata la mira e i calcoli. Mylny zamiar i rachunek. Jednym słowem, wielkie oszustwo. Un inganno! Un gran inganno!

Najpierw udawał zdziwionego:

- Come mai? Caro lei, ma che dice? Mannaccia san Gennaro, ma che sta dicendo?!*

- E, si - dokuczałem mu nadal, odstawiając kieliszek i podnosząc

na niego oczy. - To gdzie indziej niestety nie istnieje. Może pan go szukać, owszem, ale nic z tego.

Nie znajdzie pan. *Altrove non esiste!* Nie ma go!

Z miejsca obrócił to w persyflaż, nie pozwalając się wytrącić z alkoholicznożeglarskiej euforii: - Jak to nie istnieje, *mamma mia*, przecież każdy widzi je przed sobą dwojgiem zdrowych oczu! Oo, pan go nie widzi?! - Tak nagle wskazał butelką na swój statek, że z szyjki trysnął długi strumyczek wódki. - Gdyby nie istniało, to jak bym tu przyплыnął? Z Manfredonii aż tutaj? O, proszę - podszedł do szalupy, poklepał ją żwawo. - Istnieje, Boże miły, naprawdę. Nie wierzy pan? Co mam jeszcze zrobić?

Chce go pan dotknąć, chce pan go obmacać? Ech, istnieje, drogi *dottore*, *volens nolens!* - W tej przekornej paradzie, ignorując moją defetystyczną gadaninę, zwrócił się do zmartwiałego Pilota: - *Capitano, o capitano!* Niech pan rzuci okiem na to moje... ale widać nawet z zamkniętymi oczami.

Widzi pan moje „*Altrove*” czy nie widzi? Piękne, wielkie.

Widzi pan je, prawda? Tu stoi. A poza tym... nie jest nawet drogie... *hahaha!* parę głupich milionów... *qualche decina di milioni, ecco. Una minuzia!**

Nie odpowiadała mu moja filozofia... a komu by mogła odpowiadać! Lecz trochę go zabawiła, mile znużyła, jeżeli nie zdeprymowała. Dała mu okazję do wychwalania jachtu i wyrażenia z entuzjazmem usprawiedliwionej dumy.

Umilkliśmy. Uspokoił się, już nie dolewał. W ciszy dopijaliśmy

resztę. Zrezygnowany Pilot, po łykach przykrych, jakby podczas anginy zapuszczał do gardła coś drapiącego i suchego, siedział, trzymając na kolanach kieliszek jak żebracze pudełeczko na drobne.

Al trove wyrwał się wreszcie z pozornego letargu.

- Ach, pytał mnie pan, ile dni zostaję - zwrócił się ochryple do Pilota. - Lepiej byłoby spytać, ile godzin. Ze względu na to, że altrove nie istnieje, już chyba bardzo krótko. Zgodnie z wolą pana doktora. Powiedzmy, do świtu. A potem... poszukamy nowego, prawdziwego gdzie indziej. - Mówił to bez goryczy i bez pretensji, chyba jednak zamierzał trochę tu pozostać.

- Przepraszam... ale muszę wiedzieć... persapoco* - uniósł się Pilot.

- Pewnie, że musi pan wiedzieć. Byle nie tak nagle, z góry i zniecka. Nie tak już! Subitosubito! Niech pan trochę zwolni, spokojnie, signor capitano. W tej chwili jeszcze nie wiem. Może jutro. Rano. Zobaczymy. Ale wam nie ucieknę, nie. Non scappo mica!* Chciałbym naturalnie chociaż przejść się po mieście, zobaczyć... le chiese*.

Zebrał kieliszki, po sportowemu przeskoczył schodki - żwawo, raźnie i sprężysto. Z pokładu życzył nam dobrej nocy.

Jego pasażerowie wypełzli z półmroku, zaciągnęli zasłonkę i rozsiedli się wokół stołu w kokpicie. Przyłączył się do nich nieco już zmęczony Altrove, kręcąc czemuś siwą głową.

Rozstaliśmy się także z Pilotem. Szedł kołyszącym się krokiem nad samym morzem, po wyszczerbionym brzegu, jakby to nie była

granica. Jakby mógł, kiedy tylko zechce, pójść w prawo albo i w lewo. Co do mnie, to lekko się zataczając, dotarłem do podnóża moich bezkresnych schodów, które kończą się w obłokach. Zatrzymałem się małodusznie, dymiąc pod ciśnieniem spirytusu jak kipiący samowar. Lecz potem z nogi na nogę i z niezastąpioną wreszcie pomocą wyżej wspomianej laski, wolno ruszyłem pod górę... do pierwszego podestu... do drugiego... i do trzeciego... zdyszany, ze skrzypiącym oddechem dychawicznych, niewydolnych płuc jak pod uciskiem odmy, do swojego kavezu.

Rozmawiając z sobą hipnotycznie, a z tamtym, który przypląnął, alkoholycznie, słowo po słowie na każdym podeście.

- Może jednak, panie Al trove, tia... może jednak, co?

Może.

Może tak jest, może wszystko to jest normalne.

Jedyne, co chyba nie jest normalne, to być tak rozbawionym, pijanym radością dlatego, że dotarł pan do nas, do tego brzegu. Zresztą nie tylko do tego. Do byle którego. Do jakiegokolwiek. To jest jakieś gdzie indziej, ale nie jest tu inaczej. Tutaj nie jest nawet tak, jak tam, skąd pan ucieka.

Normalne byłoby... nie tyle wyjechać, nie tyle dotrzeć gdzie indziej... ile być.

Nie jechać gdzie indziej, ale być gdzie indziej. Być innym. Wśród innych.

Nie w innym miejscu, ale w innym świecie. Jeżeli to możliwe...

...jeżeli w naszej galaktyce istnieje „gdzie indziej”, jak

przypuszcza tkwiący w panu zadziorny żeglarz, który łatwo zmienia hals i brzegi...

Jeżeli rzeczywiście istnieje „gdzie indziej” w jakiś inny sposób, którego pan nie wyczuwa... jakby pan w ogóle nie potrafił myśleć...

Może w takim razie naprawdę wystarczy rozwiązać cumki, podnieść odbijacze, zwinąć liny, wciągnąć mostek, wszystko, co łączy nas z brzegiem, może jeszcze uda się uruchomić zdarty diesel, znaleźć paliwo... zdecydowanie ruszyć i obrócić statek...

...z lewej burty zostawić zieloną latarnię, z prawej czerwoną i wszystkie te smrodliwe, zaspane koćary, które przyłgnęły do przystani.

Wypłynąć z portu na ciemne, otwarte morze... bez zatrzymywania!

...spuścić banderę, wszystkie kolorowe chorągiewki... i nawet te niewinne icki na żaglu... które służą takiemu jego ustawieniu, by płynęło się lepiej...

...zgasić wszystkie światła, sygnałowe, postojowe i pozycyjne...

Zanurzyć się w przestrzeń, w której niebo i morze łączą się w mroku pustki... bez sekstansu, bez urządzeń nawigacyjnych...

Wpłynąć w bezkres... bez ustalonego kursu...

...wyrzucić drgającą busolę, wiatrowskaz, wiatromierz, stary log z szybkościomierzem i głębokościomierzem...

Może gdzieś tam na pełnym morzu, bez wyznaczonego azymutu i współrzędnych, można znaleźć owo gdzie indziej, w miejscu, z którego nie widać lądu ani światła oprócz nieuchwytnych, nierealnych

gwiazd dantejskich... gdzie nie jest już potrzebne całe to żeglarskie rekwizytorium...

Może istnieją takie przestrzenie oceaniczne, dalekie, oderwane, uniesione nieodkrytymi prądami. Może je odnajdziemy, jeżeli bezpowrotnie i na zawsze nie zostawiliśmy za sobą na starym brzegu resztek swojej duszy, godności własnej, dumy i nieszczęścia naszego rodu.

Jeżeli możemy tam dotrzeć, pozbywszy się ładunku, tłustych wód odpadowych i ciężkiej, zardzewiałej kotwicy na łańcuchu. Jeżeli nie ciągniemy za sobą dryfkotwy na grubej, zniszczonej linie ratunkowej, zwanej przez wyspiarzy cumą nadziei, cima delia speranza. Jeżeli nie nosimy pod żebrami zmęczonego mięśnia, drżącego w skurczu obrazy i strachu.

Jeżeli nie wlecemy swojej niewoli, idąc jak Edyp na opuchniętych nogach, z zakrwawionymi nadgarstkami, i nie gniewamy swojej nędzy pod fałszywym płaszczem podręcznej małostkowej filozofii, fizyki, chemii. Jeżeli nie skrywamy swojej biedy i ślepoty głęboko pod pancerzem płata czołowego, wznosząc toast na pozór beztrosko uśmiechnięci: Cin - - cin! Cincin!

Albo drżąco zbuntowani. Albo drżąco...

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi kavezu i zobaczywszy przy stole syna pochłoniętego jakąś pilną robotą... o wszystkich zbawiennych możliwościach niepogodzenia i ucieczki - w jednej chwili zapomniałem...

Znowu nastawimy herbatę... „Wyrób ten jest przystosowany...”

Był przystosowany. Pozostała tylko plama po kleju na białej emalii.
Ale wszystko umiem na pamięć... „Trzeba wymienić... sprawdzić i uregulować...”

Albowiem jak wyrzucić za burtę wszystko, co nam sądzone, wrodzone, wyuczone, odziedziczone...

I w gruncie rzeczy - pozytywne!

Jak bez żeglugowych złudzeń, jak bez tego wszystkiego znaleźć się na dryfującej wyklętej łupinie?

Ale też jak ją przekazać innym taką ogołoconą?

Albo... w końcu - jak szczęśliwie zatonać?

2004.